

**MARY BALOGH**

**ZATAŃCZYMY?**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Uzdrowisko Bath w lecie było przepiękne, być może nawet najpiękniejsze w całej Anglii. Szlachetnie urodzony Frederick Sullivan zgadzał się z owym stwierdzeniem w zupełności, a jednak podczas spędzonego tu tygodnia wiele razy miał wrażenie, że wolałby być gdziekolwiek indziej, byle tylko nie w Bath. Była w tym oczywiście pewna przesada, ponieważ dobrze wiedział, że bez trudu mógłby na poczekaniu wymyślić przynajmniej kilkanaście różnych miejsc, w których czułby się o wiele gorzej. Tak czy owak, Frederick generalnie nie był zadowolony z pobytu.

Zajechał do hotelu York, co było zresztą dość ekstra-waganckim posunięciem, złożył uszanowanie mistrzowi ceremonii, opłacił wpis do księgi subskrypcyjnej, który upoważniał go do udziału we wszystkich akcjach i imprezach towarzyskich w uzdrowisku oraz dawał wolny wstęp do ogrodów i czytelnicy, a także z satysfakcją odnotował pojawienie się anonsu w „Kronice Bath”, oznajmiającego o jego przybyciu. Odwiedził dom zdrojowy, pijalnię i sale koncertowe, przespacerował się po Sydney Gardens i wokół Royal Crescent, przeczytał gazety w jednej z czytelnicy - krótko mówiąc zrobił wszystko, co powinno się robić w Bath.

I nudził się.

Mógł oczywiście pojechać do Primrose Park w Gloucestershire na ślub kuzyna, hrabiego Beaconswood, z Julią Maynard. O dziwo, został zaproszony. Może zresztą nie było to takie dziwne, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że rodzina zawsze utrzymywała ścisłe kontakty i ani Dan, ani Jule nie chcieliby wprowadzić w rodzinnym gronie zamieszania, ostentacyjnie pomijając go na liście gości. Ale Frederick i tak zaproszenia nie przyjął. Przed opuszczeniem Primrose Park skreślił parę słów usprawiedliwienia i był święcie przekonany, że czytając ten list po jego wyjeździe, para młodych odetchnęła z taką samą ulgą jak on. Za żadne skarby nie chciał uczestniczyć w tym ślubie.

Mógł też pojechać do Londynu, choć spędzanie tam lata nie było ostatnio w dobrym guście. Mógłby też się wybrać do Brighton. To było w dobrym guście i pewnie tam właśnie by się znajdował, gdyby miał możliwość wyboru. W Brighton spotkałby całą masę przyjaciół, zawarł mnóstwo interesujących znajomości, nie mówiąc już o wielu dostępnych tam rozrywkach i przyjemnościach. Ale nie mógł pojechać do Brighton.

Tuż przed wyjazdem, przed tygodniem z okładem, w Primrose Park odnaleźli go wierzyciele. O ileż łatwiej zdołaliby go dopaść i nękać, gdyby pojechał właśnie do Brighton! Ale skoro tego nie zrobił, to jakie kroki ma teraz podjąć, by zdobyć pieniądze na spłacenie

długów? W każdym razie tych najpilniejszych - nikt nie oczekuje przecież, by dżentelmen nie miał długów w ogóle, w takim przypadku przypuszczalnie uznano by go za niespełna rozumu.

Cóż, w Bath można zdobyć majątek w jeden tylko sposób. Próbował grać, i wyglądało nawet na to, że szczęście mu sprzyja, ale wygrane raczej go jeszcze bardziej frustrowały, niż pocieszały. W Bath gra o wysokie stawki była surowo zakazana, ponieważ z założenia miała dostarczać grającym tylko przyjemnej rozrywki, a nie przysparzać zmartwień. Tak więc nawet wszystkie jego wygrane razem wzięte nie pokryłyby ułamka najmniejszego z długów. Nie, do Bath zdecydowanie nie przyjeżdża się po to, by odzyskać majątek przy stoliku do gry. Do Bath przyjeżdża się, by znaleźć bogatą żonę.

Rzecz jasna, najlepszym do tego miejscem jest Londyn po otwarciu sezonu. Wielkie Targowisko Panien na Wy-daniu, na którym - wydawałoby się - Frederick powinien wybierać i przebierać. Istniały jednak dwa szczególne powody, dla których nie mógł tak postąpić. Po pierwsze, nie mógł sobie pozwolić na czekanie aż do następnej wiosny. Do tego czasu zapewne wylądowałby w więzieniu za długi, chyba że spłaci je za niego ojciec. Na samą myśl o tym przeszły go ciarki. Po drugie, żaden ojciec lub opiekun dbający o dobro córki ani przez chwilę nie wzięłyby pod uwagę możliwości wydania jej za szlachetnie urodzonego Fredericka Sullivana.

Pozostawało jedynie żywić nadzieję, że w Bath reputacja jeszcze go nie dogoniła. A zresztą, jeśli nawet tak się stało, to kogo tu można znaleźć? Opowieści o przyjeżdżających do Bath zgrzybiałych starcach i ukrywającej swe nędzne położenie biedocie wcale nie wyglądały na mocno przesadzone. Wszystkie młode kobiety z najmniejszymi bodaj śladami urody, jakie zauważył po przyjeździe, z całą pewnością nie miały pieniędzy. W ciągu tygodnia dokonał selekcji negatywnej i zawęził swe matrymonialne perspektywy do trzech panien, z których żadna nie była szczególnie pociągająca. No, ale w końcu nie liczył w tym związku na miłość czy szczęście.

Pomyślał o Julii Maynard oraz o tym, jak zmusił ją do małżeństwa w Primrose Park, i poczuł wstrząsający nim dreszcz. Nie, lepiej o tym nie myśleć.

Tak więc w Bath były trzy możliwości. Pierwsza to Hortensja Pugh, najmłodsza z tej trójki, siedemnastolatka, pulchna i ładniutka, jednak wyjątkowo nieinteresująca. Była córką fabrykanta kapeluszy, który - dość znacznie się wzbogaciwszy - zaczął myśleć o zajęciu wyższej pozycji w hierarchii społecznej dzięki wydaniu jedynaczki za kogoś z beau mondu. Zarówno ojciec, jak i córka zabiegali o Fredericka całkiem otwarcie i mogłoby się wydawać, że z wdzięcznością powinien skorzystać z nadarzającej się okazji. O to mu przecież chodziło! Nie mógł się jednak pozbyć uporczywej myśli, że nawet więzienie za długi byłoby lepsze niż

związanie się na resztę życia z tą wulgarną, pustogłową szczebiotką. Jej głównym tematem konwersacji był aktualny stan garderoby oraz zawartość kasetki z biżuterią.

Lady Waggoner była już w lepszym guście. Atrakcyjna hoża wdówka, o jakieś siedem czy osiem lat od niego starsza, dysponująca niezgorszą fortunką. A do tego miała na niego chrapkę! Znał się na kobietach wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że do łóżka wdówki może się wślizgnąć w każdej chwili. Była to dość ponętna perspe-ktywa. Ale czy lady Waggoner zechciałaby wyjść za niego? No właśnie, to zasadnicze pytanie. Podejrzewał, że to taka sama specjalistka w dziedzinie flirtu jak on i że równie zręcznie potrafi wymigiwać się od małżeństwa. W ten sposób mógłby zmarnować całe lato na romansik, który być może okazałby się satysfakcjonujący pod względem fizycznym, ale, niestety, pod żadnym innym. Nie, nie stać go na takie ryzyko.

Zostaje więc panna Klara Danford - najmniej kusząca perspektywa. I przypuszczalnie najbardziej intratna. Jej ojciec, dżentelmen, dorobił się w Kompanii Wschodnioindyjskiej fortuny powszechnie uznawanej za bajeczną i po śmierci zostawił wszystko córce. Frederick oceniał Klarę na jakieś dwadzieścia kilka lat, w każdym razie chyba nie na więcej niż dwadzieścia sześć, a więc nie była od niego starsza. Podczas spotkania, jakie Frederick zaaranżował któregoś popołudnia w sali koncertowej, była dla niego bardzo uprzejma, a potem codziennie rano w pijalni dosyć chętnie poświęcała kilka minut na konwersację. Nakłonie-nie jej do małżeństwa mogłoby się zatem okazać niezbyt trudne. Już od pierwszego spotkania wysilał cały swój wdzięk, by oczarować tę pannę.

A mimo to, na myśl o poślubieniu Klary Danford oblewał go zimny pot. Pewnego ranka zjawiał się w pijalni - o właściwej pod względem towarzyskim porze - i kon-wersując z nowo poznanymi znajomymi, z rozbawieniem obserwował skrzywienie i niesmak na twarzach kuracjuszy, unoszących do ust szklanki z wodą mineralną. Obserwował również pannę Danford, która rozmawiała w drugim końcu sali ze swą wierną damą do towarzystwa, młodą i śliczną, choć nieprzyzwoicie biedną panną Harriet Pope, oraz z pułkownikiem i panią Rutledge.

Pomyślał, że powinien podejść i porozmawiać z nią, nie ma przecież czasu na długotrwałe zabiegi i zaloty. Powinien zapomnieć o niechęci do małżeństwa i zacząć działać. Klara była najmniej pociągającą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Była chuda, prawdopodobnie na skutek kalectwa, za każdym razem bowiem gdy ją spotkał, siedziała na wózku inwalidzkim. Miała cienkie ramiona, a jej nogi, odznaczające się pod lekką wełnianą suknią dzienną, wcale nie wyglądały na grubsze. Jej twarz była chuda, wąska i nienaturalnie blada. Z tego co słyszał, panna Danford spędziła z ojcem kilka lat w Indiach i tam właśnie

nabawiła się choroby, która uczyniła z niej inwalidkę.

Miała za dużo włosów. Pewnie na każdej innej kobiecie wyglądałyby jak wieńcząca urodę korona: grube, lśniące i bardzo ciemne sploty. Ale dla niej były za ciężkie. A oczy miała zbyt ciemne do tak jasnej twarzy. W pierwszej chwili pomyślał, że są czarne, ale w rzeczywistości były ciemnoszare. Byłyby piękne, ale w jakiejś innej twarzy. A zresztą, może naprawdę były piękne. Może tylko był im niechętny, ponieważ za każdym razem gdy się odzywał, spoglądały wprost i tak głęboko w jego oczy, że miał wrażenie, iż zdzierają z niego starannie dobraną maskę i widzą całą prawdę.

Zdecydowanie nie była łakomym kąskiem dla żadnego mężczyzny - chyba że się wzięło pod uwagę jej olbrzymi majątek. Frederick przeprosił towarzystwo i ruszył powoli ku niej, rozdając po drodze ukłony i uśmiechy nowym znajomym.

W Bath znalazł trzy możliwości zawarcia małżeństwa. A teraz bez dłuższych przemyśleń zawęził je do jednej - i wstrzymał oddech czując przyływ paniki. Panna Klara Danford.

Zbliżając się patrzył na nią wzrokiem, który stopiłby jak воск dziewięć z dziesięciu, lub nawet dziewięćdziesiąt dziewięć na sto kobiecych serc, a jego półuśmiezek przyprawiłby owe serca o przyspieszone bicie.

Ona zaś spojrzała na niego tymi wszystkowidzącymi oczami i uśmiechnęła się.

Właśnie nadchodzi - powiedziała Harriet Pope, kiedy pułkownik z panią Rutledge wyruszyli na promenadę wokół pijalni, a Frederick Sullivan niemal w tej samej chwili porzucił swe towarzystwo w drugim końcu sali i zbliżał się do nich powoli.

- Tak - potwierdziła Klara Danford. - Dokładnie tak, jak przewidywałaś, Harriet. A ja się z tobą nie spierałam, prawda? Musisz jednak przyznać, że to najprzystojniejszy mężczyzna w tej sali. A właściwie w całym Bath.

- Nigdy temu nie zaprzeczałam - odpowiedziała Harriet.

- To prawda. - Klara uśmiechnęła się leciutko i popa-trzyła na przyjaciółkę. - Twoje zastrzeżenia dotyczyły jedynie tego, że jest to również najbardziej pozbawiony zasad mężczyzna w Bath. Cóż, temu także nie zaprzeczyłam.

- A mimo to uparłaś się, by dać mu szansę.

- Jest bardzo przystojny - podkreśliła Klara.

- I doskonale zdaje sobie z tego sprawę - zauważyła Harriet z dezaprobatą.

- Zgadza się. - Klara ponownie się do niej uśmiechnęła.

Rozmawiały o nim już wcześniej. Dokładnie rzecz biorąc, wczorajszego wieczoru, po tym jak przysiadł się do nich na herbatę w sali wypoczynkowej, spędziwszy chwilę z panną

Hortensją Pugh.

- To łowca posagów - powiedziała wtedy Harriet z lekceważeniem. - Klaro, on szuka bogatej żony. Panny Pugh albo ciebie.

Klara przyznała jej rację. Zdawała sobie sprawę, że nawet gdyby nie była inwalidką, to choć z daleka nie przypomina kobiety, która byłaby atrakcyjna dla tak pięknie wyglądającego dżentelmena jak pan Sullivan. Gdyby miał zostać rażony afektem, to jego wzrok z pewnością skierowałby się ku Harriet, będącej niezaprzeczną pięknością o jasnozłoty włosach i różanej karnacji. Mimo to, od czasu gdy zostali sobie przedstawieni, Sullivan ledwo spojrział na Harriet. Rzecz jasna, że poluje na posag. Klara spotkała już kilku mu podobnych, zwłaszcza po śmierci ojca. Dopiero niedawno zrzuciła żałobę roczną po nim.

- Wydaje mi się, Harriet, że małżeństwa z rozsądku i dla zdobycia majątku są dozwolone - odpowiedziała przyjaciółce. - Mężczyzna albo kobieta, którzy tak postępują, niekoniecznie muszą być niegodziwcami.

- Ale on jest - upierała się Harriet. - Klaro, te oczy, ten uśmiech... i cały ten wdzięk.

Istotnie, oczy Fredericka były ciemne i spoglądały na świat spod ciężkich powiek. Uśmiech odsłaniał bardzo białe i mocne zęby. A wdzięk był niemal oszałamiający. Jeszcze bardziej od wdzięku zniewalał urok całej postaci. Wysoki, mocno zbudowany, z długimi nogami, wąskimi biodrami i talią, potężną klatką piersiową i ramionami, stanowił niemal uosobienie ideału. Oraz zdrowia i siły.

- On jest piękny - powtórzyła.

- Piękny?! - Harriet spojrzała na nią z zaskoczeniem, po czym się roześmiała. - Tak się mówi o kobietach.

Ale właśnie to określenie najlepiej pasowało do pana Sullivana. Aczkolwiek nawet z daleka nie dało się w nim zauważyć nic kobiecego.

- Musisz mu okazać nieprzychylność - powiedziała Harriet. - Klaro, musisz mu powiedzieć wprost, że się na nim poznałaś i wiesz, kim jest. Musisz go zniechęcić. Niech się zwróci do panny Pugh. Oboje są siebie warci.

- Czasami, Harriet - odparła Klara uśmiechając się - potrafisz być bardzo złośliwa. Biedna panna Pugh próbuje dopiero zaistnieć na tym świecie, natomiast pan Sullivan usiłuje zapewnić sobie majątek. Dlaczego nie mój? I tak nie mam go na co wydawać. A w zamian zyskam cały ten urok i powab.

Roześmiała się na widok przerażenia malującego się na twarzy Harriet i rzuciła jakiś następny żart na ten temat. Ale gdy później o tym myślała, wcale nie miała pewności, czy były to żarty. Większość życia spędzała w domu na szeszlengu lub na wózku inwalidzkim

poza domem. Do towarzystwa miała Harriet i kilkoro innych przyjaciół, przeważnie małżeństw i przeważnie starszych od niej. Skończyła już dwadzieścia sześć lat i widoki na zawarcie małżeństwa były coraz bardziej mizerne. Perspektywa małżeństwa z miłości lub nawet z afektu była całkowicie nierealna. Mógł się nią zainteresować jedynie taki mąż-czyzna, który miał na uwadze jej majątek.

Klara była samotna. Straszliwie samotna. Natomiast jej potrzeby w niczym nie różniły się od potrzeb innych kobiet, chociaż nie była piękna i nie mogła chodzić. Odczuwała także pożądanie. Czasami, mimo towarzystwa Harriet oraz obecności innych przyjaciół, Klara czuła się tak samotna, że ogarniała ją rozpacz.

A przecież może mieć Fredericka Sullivana. Zrozumiała to już podczas pierwszego spotkania. Jeśli on zamierza się do niej zalecać nienagannie i cierpliwie, to tylko traci czas. Od razu przecież wiedziała, dlaczego zależało mu, by zostać jej przedstawionym, i dlaczego każdego ranka przychodzi do pijalni po jej codziennych kąpielach mineralnych w Queen's Bath. Po prostu chce się z nią ożenić. Chce przejąć kontrolę nad jej majątkiem.

Do tej pory od łowców posagów odwracała się plecami. Innymi słowy, odwracała się plecami od każdego starają-cego się, jakiego mogła oczekiwać. Frederick Sullivan był pierwszym mężczyzną, któremu okazała jakieś względy, choć wiedziała, że wcale jej nie kocha, pewnie nawet nie lubi i w ogóle nie ma o niej pochlebnego zdania. Możliwe, że nawet się jej obawia. Cóż, takie są fakty i trzeba będzie o nich pamiętać, jeśli okaże się na tyle szalona, by rozważyć możliwość wyjścia za niego. Być może on nigdy nie będzie żywił do niej żadnych cieplejszych uczuć.

To nie byłoby dobre małżeństwo. Nigdy nie stałoby się takim, o jakim marzyła, tak jak każda inna kobieta. Ale czy lepiej byłoby w ogóle nie wychodzić za mąż? To pytanie nurtowało ją przez całą noc. Teraz, gdy zbliżał się do niej przechodząc przez pijalnię i przywołując specjalnie na tę okazję cały swój urok, pomyślała, że nie jest w nim zakochana. W żadnym wypadku nie mogłaby się zakochać w mężczyźnie, który nie jest sobą i odgrywa jakąś rolę i który interesuje się nią wyłącznie z powodu jej majątku. Ale Frederick jest piękny, silny i zdrowy, a Klara była ciekawa, czy ta kombinacja okaże się nieodparta. Podejrzewała, że tak będzie.

- On jest taki piękny - zdążyła jeszcze szepnąć do Harriet, zanim się uśmiechnęła na jego powitanie.

Był już zbyt blisko, by Harriet zdążyła odpowiedzieć.

Witam, panno Danford. - Ujął jej chudą i zimną dłoń nie unosząc jej do ust, ale przytrzymując w obu dłoniach odrobinę dłużej, niż to było konieczne. - Spodziewam się, że

wczoraj nie przemarzała pani zbyt po drodze do sali koncertowej?

- W taki ciepły dzień? Nie, proszę pana. Dziękuję za troskę.

Wyprostował się, opuścił jej dłoń i uklonił się pannie Pope. Gdyby te dwie kobiety można było zamienić ze sobą miejscami! Gdyby to panna Pope a była właścicielką takiej fortuny, nawet jeśli to ona siedziała na wózku! Ale panna Pope, jak się dyskretnie wywiedziało, była córką zubożałej wdowy, z którą panna Danford poznała się i zaprzyjaźniła podczas pobytu z ojcem w Bath przed kilku laty.

- Ze swej strony - rzekł zwracając się ponownie do panny Danford - uważam zwyczaj picia herbaty w salach koncertowych za czarujący. Bath bez wątplenia jest jednym z najbardziej uroczych miejsc na świecie i trzeba z tego korzystać, na ile tylko to możliwe.

- Całkowicie się z panem zgadzam - odparła. - Herbata jest jeszcze większą przyjemnością, gdy spożywa się ją w stosownym towarzystwie.

Klara zwróciła się ku dżentelmenowi, który podszedł, by przywitać się z obiema damami i wymienić parę uprzejmości przed zaproszeniem panny Pope do odbycia rundki wokół pijalni.

- Ależ naturalnie - przyzwoliła, gdy Harriet spojrzała na nią wyczekująco. - Sprawci ci to przyjemność, Harriet.

Panna Pope popatrzyła z powątpiewaniem na Fredericka.

- Do pani powrotu dotrzymam towarzystwa pannie Danford - zapewnił Sullivan. - Jeśli dostanę pozwolenie - dodał.

Panna Danford uśmiechnęła się do niego.

- Będę panu wdzięczna, sir - odpowiedziała.

- Wdzięczna? - Skierował na nią całą uwagę. - To ja powinienem żywić to uczucie, madame. Podziwiam pani odwagę. Jest pani tak promienna i radosna pomimo tej wyraźnej i nieszczęsnej niedomogi. - Z trudem się po-wstrzymał przed przykucnięciem obok niej.

Wyglądało na to, że Klara domyśliła się, w czym rzecz.

- Jediną niewygodą wiecznego siedzenia w fotelu jest to, że bardzo często muszę zadzierać głowę, by spojrzeć na kogoś stojącego obok mnie. Czy zechciałby pan przysunąć mój fotel bliżej tej ławki i spocząć na niej?

To było zachęcające. Najwyraźniej miała ochotę na rozmowę. Uczynił zadość jej prośbie i po chwili mogli już rozmawiać bez wspomnianego utrudnienia i bez zwyczajnego dotąd towarzystwa osób trzecich. Doszedł do wniosku, że Klara ma jednak wspaniałe oczy, choć czuł, że wolałby nie być wystawiony na ich bardzo badawcze spojrzenie z tak niewielkiego dystansu.



- Jak pani znajduje tutejsze wody, czy są skuteczne? - zapytał.

- Działają na mnie odprężająco - odparła. - Zażywam kąpeli, ale wód nie piję. Na szczęście nie cierpię na chorobę, którą można by leczyć tym sposobem. Przypuszczam, że musiałabym być doprawdy bardzo, bardzo chora, by się codziennie nimi raczyć. A pan ich próbował?

- Raz - odparł patrząc jej w oczy z uśmiechem. - Raz jeden. A właściwie dwa razy, pierwszy i ostatni. Ale cieszę się, że kąpiele pani pomagają. Czy jest pani zadowolona z pobytu w Bath?

- Jak słusznie pan zauważył, jest tu bardzo pięknie, a do tego zawarłam kilka sympatycznych znajomości.

Kiedy jeszcze żył mój ojciec, przyjeżdżaliśmy tu razem kilkakrotnie.

- Przykro mi z powodu jego śmierci. Musiała to być dla pani wielka strata.

- Tak. A czy panu się tutaj podoba, panie Sullivan?

- O wiele bardziej, niż się mogłem spodziewać - pospieszył z zapewnieniem. - Zamierzałem spędzić tu zaledwie kilka dni, pomyślałem, że obejrzę sobie uzdrowisko, skoro już bawię w tej części kraju. Ale obecnie mam ochotę zabawić tu dłużej.

- Istotnie? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Czyżby było tu ładniej, niż pan oczekiwał?

- . Tak, sądzę, że tak - potwierdził. - Ale to ludzie nadają charakter miejscom, myślę, że zgodzi się pani ze mną? Są tu ludzie, ze względu na których nie mam ochoty wyjeżdżać. - Na moment powędrował wzrokiem ku jej ustom, po czym ponownie spojrzał w oczy. - Właściwie mógłbym nawet powiedzieć, że to jedna osoba.

- Ooo? - Zamierzała jeszcze coś dodać, ale się po-wstrzymała.

- Poruszyła mnie pani cicha cierpliwość, urok i zdrowy rozsądek - kontynuował. - Od kilku lat obracam się w towarzystwie młodych dam przybywających tłumnie na sezon do Londynu. Stałem się niemal odporny na ich wdzięki. Jak dotąd, nie spotkałem nikogo takiego jak pani, madame. Czy nie jestem zbyt impertynentem? Czy nie pozwalam sobie na zbyt wiele?

Patrzył jej prosto w oczy, obserwując jednak kątem oka zbliżającą się do nich pannę Pope i jej towarzysza. Usilnie pragnął, by zrobili drugą rundkę po pijalni, i jego życzenie się spełniło, choć odniósł wrażenie, że panna Pope przechodząc obok nich bardzo dokładnie mu się przyglądała.

- Nie - odparła panna Danford bardzo cicho, niemal szeptem.

Delikatnie musnęła dłonią jej palce spoczywające na oparciu fotela na kółkach.

- Myślałem już, że jestem zmęczony i odporny na wdzięki kobiet - zwierzył się. - Nie

byłem przygotowany na to, że tak silnie zareaguję na znajomość z panią, madame.

- Poznaliśmy się niecały tydzień temu, panie Sullivan - zaoponowała delikatnie. Jej ciemne oczy pały w jasnym obliczu.

- A jednak .czuję się tak, jakby to było przed wieczno-ścią. Nie przypuszczałem, że w ciągu jednego tygodnia tak wiele może się wydarzyć. To znaczy tak wiele, jeśli chodzi o czyjeś serce.

- Ja nie mogę chodzić - powiedziała Klara. - Nie mogę przebywać poza domem tak wiele, jak bym pragnęła. - Głęboko patrzyła mu w oczy. - Trudno byłoby uznać mnie za urodziwą.

To była sprawa, którą musiał rozegrać bardzo ostrożnie.

- Czy to właśnie ktoś pani powiedział? - zapytał. - Czy to właśnie podpowiada pani lusterko? Czasami, gdy patrzymy w lustro, czynimy to zupełnie bezosobowo, widząc tylko to, co jest na powierzchni. Czasami prawdzi-we piękno niewiele ma wspólnego z tym, co jest widoczne gołym okiem. Znam kobiety powszechnie uznawane za piękności, a jednak kompletnie niepociągające, ponieważ pod tą urodą nie kryje się charakter. Pani nie jest piękna w ten sposób, panno Danford. Pani uroda jest we wnętrzu. Widać ją w pani oczach.

- Ach tak. - Lekko rozchyliła wargi i na moment powędrowała wzrokiem ku jego ustom, po czym ponownie spojrzała mu w oczy.

- Czy wprowadziłem panią w zakłopotanie? - zapytał. - Czy w jakikolwiek sposób uraziłem? Za nic w świecie nie chciałbym tego uczynić. Być może nie wierzy pani w moje słowa, gdy mówię o pani urodzie czy o mych uczuciach do pani, panno Danford. Jeszcze przed tygodniem sam bym sobie nie uwierzył. Myślałem, że nie jestem zdolny do zakochania się.

- Zakochania? - zdziwiła się.

- Sądzę, że to właściwe określenie - potwierdził. Uśmiechnął się powoli, z rozmysłem.  
- Określenie, z któ-rego dotąd zawsze sobie drwiłem.

- Zakochać się - powtórzyła. - To dobre dla młodych ludzi, panie Sullivan. Ja mam już dwadzieścia sześć lat.

- Ja tyle samo - powiedział. - Czy pani się czuje tak, jakby młodość miała już za sobą? Bo ja przez cały ostatni tydzień czułem się jak młody chłopiec. Byłem pełen entuzjazmu, niepewności, niezręczny i, tak właśnie, zako-chany.

Klara otworzyła usta chcąc coś na to odpowiedzieć, ale zaraz zamknęła je z powrotem.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć - wyszeptała po dłuższej chwili.

Frederick pomyślał nagle, że panna Danford pędzi zapewne bardzo smutne i samotne

życie. Z pewnością musiała mieć do czynienia z wieloma łowcami posagów, ale z bardzo nielicznymi prawdziwymi konkurentami, jeśli w ogóle jacyś się pojawiali. Czy marzyła o miłości? O ko-chaniu? Och, na tym polega jego kłopot, że za dużo myśli. Tak właśnie było z Jule, aczkolwiek w tym wypadku trudno by mu było przyznać, że żałuje, iż przestał myśleć. I tak czuł się wystarczająco winny.

Czy i teraz powinien się czuć winny? Czy oferuje jej marzenie, którego w gruncie rzeczy nie będzie mógł urzeczywistnić? Ale właściwie dlaczego nie? Jeśli ją poślubi, będzie ją dobrze traktować i okazywać względy. Poświęci jej część swego czasu i zainteresowania. Przecież nie ma zamiaru jej wciągać w jakiś okropny związek, w którym by ją całkowicie zaniedbywał.

- Proszę uwierzyć - powiedział po chwili, pochylając się i spoglądając jej w oczy z dużo większym współczuciem, niż sam mógł się tego po sobie spodziewać. - Jesteśmy tu na oczach wszystkich, więc ani to miejsce, ani pora na formalne deklaracje. Ale jeśli udzieli mi pani przyzwolenia, to znajdę i miejsce, i stosowną porę. Jak najprędzej.

Czy nie był zbyt porywczy? Przychodząc dzisiejszego ranka do pijalni nie zamierzał się posunąć aż tak daleko. Ale okazja, jaką stworzył dżentelmen, który odciągnął od nich pannę Pope, nawinęła się sama, a panna Danford sprawiała wrażenie podatnej na jego zaloty.

- Ma pan moje przyzwolenie, panie Sullivan.

Z początku pomyślał, że się przesłyszał, tak cicho wyszeptano te słowa. Kiedy jednak zrozumiał, że naprawdę tak powiedziała, poczuł przyływ uniesienia i... paniki! Miał wrażenie, jakby uczynił jakiś nieodwracalny krok. Odpowiedź Klary sugerowała, że dobrze go zrozumiała, że jest przygotowana na wysłuchanie formalnych oświadczeń i przypuszczalnie je zaakceptuje. Dlaczego zgadzałyby się na rozmowę, gdyby nie miała zamiaru przyjąć oświadczeń?

Po raz drugi się od niej odsunął. Zbliżała się ku nim panna Pope wraz ze swym towarzyszem. Prawdopodobnie nie zdecydują się już na trzecią rundkę wokół pijalni.

- Jutro? - zapytał. Odrzucił myśl o spotkaniu jeszcze tego samego dnia. Musi mieć trochę czasu na uporządkowanie myśli, choć między Bogiem a prawdą nic tu nie było do uporządkowania. Musi się jak najszybciej bogato ożenić i teraz nadarzyła się okazja, jakiej się nie spodziewał w najśmielszych marzeniach. - Czy mogę odwiedzić panią jutro po południu, madame?

Zastanawiała się przez moment.

- Dzień później, jeśli pan łaskaw - powiedziała po chwili. - Jutro spodziewam się gościa z Londynu.

- A więc pojutrze - potwierdził wstając, po czym odwrócił jej wózek w ten sposób, by Klara mogła widzieć całą salę i nadchodzącą przyjaciółkę. - Tej chwili będę oczekiwał pełen niepokoju.

Powiedział szczerą prawdę. Przypuszczał, że jego oświadczenia zostaną przyjęte. Prawdopodobnie nie wszystko potoczyła się idealnie gładko, a do tego docho-dziła jeszcze ogarniająca go panika. Spojrzał w dół na drobną, chudą postać na wózku inwalidzkim, na bladą twarz i zbyt obfitą masę włosów pod pięknym czepeczkiem. Perspektywa, że zostanie jego żoną, zaczęła przy-bierać realne kształty. Już na całe życie przywiąże się do niej tylko dlatego, że narobił długów, które przy dobrej passie mógłby zlikwidować w jeden wieczór przy karcia-nym stoliku. Całe życie wobec jednego wieczoru.

Uniosła ku niemu oczy i jeszcze przed nadejściem przyjaciółki zdążyła się uśmiechnąć.

- Będę czekała, panie Sullivan.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego dnia Klara istotnie miała gościa. Wmaszerował do bawialni wynajętego przez nią domu, depcząc pokojówce po piętach.

- Klaro, kochana! - zawołał i przemierzył cały salon z rękami wyciągniętymi na powitanie. - Przyjechałem natychmiast po otrzymaniu wiadomości dostarczonej przez twego posłańca. - Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Witam, panie Whitehead. - Uśmiechnęła się serdecznie i odwzajemniła uścisk rąk. - Wiedziałam, że pan przyjedzie. Mam jedynie nadzieję, że nie była to zbyt uciążliwość.

Nie mogli jednak kontynuować rozmowy, dopóki nie pożegnali panien Grover, bliźniaczek w bliżej nie sprecyzowanym wieku, oraz pułkownika z panią Rutledge, składowanych popołudniową wizytę. Klara przedstawiła nowo przybyłego gościa z Londynu, bliskiego przyjaciela jej zmarłego ojca.

Harriet odprowadziła gości do wyjścia. Przed drzwiami pokoju popatrzyła na Klarę.

- Gdybyś mnie potrzebowała, Klaro, to będę u siebie.

Mam nadzieję, że panu Whiteheadowi uda się nakłaść ci trochę oleju do głowy.

- Dość groźnie to zabrzmiało - powiedział Whitehead, kiedy Harriet zamknęła za sobą drzwi. Usadowił się na fotelu obok Klary i uśmiechnął się. - O co chodzi, moja droga? Masz jakieś kłopoty?

- Przykro mi, że zmusiłam pana do tej podróży tak nagle - przeprosiła. - Nie zabrał pan ze sobą pani Whitehead?

Whitehead roześmiał się.

- Miriam potrzebuje co najmniej tygodnia na przygotowanie się nawet do naglej i niespodziewanej podróży. Jest teraz zajęta przygotowaniem do zamknięcia domu na resztę lata, ponieważ przenosimy się do Brighton. Jeszcze tydzień, a twój posłaniec by mnie nie zastał. W czym problem, Klaro?

- Och, mój Boże - westchnęła. - Nie jestem pewna, czy to w ogóle problem. Być może, że jednak tak. Rozważam propozycję zawarcia małżeństwa.

Whitehead uniósł brwi i ujął szczupłą dłoń Klary.

- Ależ to wspaniała wiadomość - powiedział. - Miriam będzie bardzo żałowała, że nie mogła tu ze mną przyjechać. Kto jest tym szczęśliwym wybrankiem?

- Jeszcze się nie oświadczył, choć odnoszę wrażenie, że ma taki zamiar. Problem polega na tym, że to łowca posagów. Sądzę, że brak mu środków do życia.

Pan Whitehead ściągnął krzaczaste brwi.

- Klaro, o co właściwie chodzi? Zakochałaś się w tym mężczyźnie? - zapytał.

- Nie - odparła. - Ale myślę, że wyjdę za niego, jeśli mnie o to rzeczywiście poprosi.

Harriet bardzo się na mnie złości, co chyba zresztą sam pan zauważył.

Pan Whitehead wypuścił jej dłoń z uścisku i oparł się wygodnie w fotelu.

- Chyba lepiej będzie, jeśli mi o wszystkim opowiesz. Wnioskuje, że po to właśnie mnie tu wezwałaś.

- Wezwałam pana, ponieważ od śmierci taty uważam pana niemal za drugiego ojca - odpowiedziała z uśmiechem. - Tak jak pan sobie tego życzył. Cóż, w gruncie rzeczy najbardziej mi zależy na poradzie finansowej. Czy kiedy wyjdę za mąż, to cały mój majątek oraz pieniądze przypadną memu mężowi?

- W normalnym postępowaniu, tak - potwierdził. - Ale, aby stało się inaczej, można zawrzeć przedmałżeński kontrakt.

- Aha. To właśnie chciałam wiedzieć. Będzie pan musiał mi to wytłumaczyć, jeśli się pan zgodzi. Pomógł mi pan w załatwianiu wszystkich spraw po śmierci taty, sama nie wiem, jak bym sobie bez pana poradziła. Pan zajął się stroną praktyczną, a pańska żona i Harriet otoczyły mnie opieką, jakiej potrzebowałam. Pan pomógł mi mądrze zainwestować pieniądze. Rzecz w tym, że mam do pana absolutne zaufanie.

- Tak powinno być, Klaro. Twój ojciec był moim współnikiem w Indiach, a w dodatku bardzo bliskim przyjacielem. No więc, kim jest ten człowiek? Czy ja go znam?

- To pan Frederick Sullivan - odpowiedziała. - Starszy syn lorda Bellamy. Zna go pan?

- Sullivan? - Whitehead zeszywniał. - Chyba nie mam powodu uważać, że nie mówisz poważnie, Klaro? Nie ściągałabyś mnie z Londynu, gdyby tak było. Co ty o nim wiesz?

- Że jest nieprzyzwoicie przystojny - odparła z lekkim uśmiechem. - I czarujący. Ach, i jeszcze coś. Odczuwa do mnie niepohamowaną namiętność.

- Tak uważasz? - Whitehead wstał z fotela, stanął przed Klarą i popatrzył na nią z namysłem. - A to łajdak.

Uśmiech zgasł na jej ustach.

- Czy istotnie tak trudno w to uwierzyć? - zapytała smutno, ale zaraz uniosła rękę i dodała: - Nie musi pan odpowiadać. Oczywiście, że to niemożliwe. Nawet przez chwilę się nie łudziłam, że może być inaczej.

- A mimo to poważnie rozważasz możliwość poślubienia tego oszusta, Klaro? - zapytał. - To do ciebie całkiem niepodobne. Czyżby istniało coś, o czym nie wiem?

- Owszem, całkiem sporo. A więc uważa go pan za łajdaka, panie Whitehead? Co pan o nim wie?

- Bellamy, ogólnie rzecz biorąc, jest dość bogaty - odparł Whitehead. - I do tego całkiem hojny. Ale Sullivan jest ekstrawagancki, Klara. Do tego kompletnie nieodpowiedzialny i lekkomyślny. Hazardzista i, trzeba to powiedzieć, kobieciarz. Jak mniemam, nadal jest przyjmowany w dobrym towarzystwie, ale doszły mnie słuchy, że ojcowie córek na wydaniu, zwłaszcza stanowiących dobrą partię, trzymają je od niego z daleka. Teraz uznaję ich postępowanie za nader rozsądne.

- A więc jest tak, jak myślałam. Nie powiedział mi pan nic, czego bym się sama nie domyślała. Jest zatem oczywiste, że przed ślubem muszę mieć bardzo starannie sporządzoną intercyzę.

- Klara - zaczął Whitehead, po czym zamilkł i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę bez słowa, aż wreszcie ponownie usiadł w fotelu. - Przecież znając już całą prawdę, z pewnością nie możesz dalej poważnie myśleć o tych planach! Sama zrozumiałaś, że dowody jego afektu wobec ciebie są nieszczerze, a poza tym przyznałaś, że nie jesteś w nim zakochana. A może to nie była prawda? Czy w grę wchodzi twoje uczucie?

- W żadnym wypadku - zapewniła go. - Nie jestem ślepa, dostrzegam wszystkie szczegóły, które mogłyby mnie doprowadzić do fałszywych wniosków i oczekiwań. Nie będę więc rozczarowana, ponieważ niewiele się spodziewam i niewiele oczekuję. Ale nie zmieniłam zamiaru.

Whitehead przyglądał się jej w milczeniu.

- Widzi pan, w swych rozważaniach pominął pan jeden aspekt, a mianowicie czynnik ludzki - kontynuowała Klara. - Wciąż jestem dosyć młoda i z całą pewnością dosyć bogata, by stać się dla męża atrakcyjną. Nie mogę oczekiwać, że jakiś mężczyzna mnie pokocha, przeciw temu przemawia zbyt wiele czynników. Nie, proszę nie próbować zaprzeczać, jest pan dla mnie bardzo uprzejmy, ale ja znam prawdę. Męża mogę tylko kupić za swój majątek. Bez względu na to, jak nieprzyjemnie i okrutnie zabrzmi dla pana moja zgoda na takie traktowanie, proszę jednak wziąć pod uwagę właśnie ów czynnik ludzki. Pragnę mieć męża. Pragnę zawrzeć związek małżeński.

- Ale nie taki, w którym brak uczuć - zaproponował, ponownie ujmując jej dłoń. - Nie taki, w którym nie ma racjonalnych perspektyw, że takie uczucia się rozwiną, Klara. Nie rób nic, czego żałowałabyś do końca życia. A tego byś pożałowała, kochanie.

- Może tak. A może nie. Lub nie tak bardzo, jak się pan obawia. W każdym razie uważam, że jeśli nadal będę żyła tak jak dotąd, w końcu stanie się to dla mnie nie do

zniesienia.

- Hm... Klaro. - Poklepał ją po dłoni. - Zamieszkaj z nami, z Miriam i ze mną. Będiesz dla nas córką, a do tego towarzyszką Miriam. Po śmierci ojca odmówiłaś nam, ale zgódź się teraz. Nie musisz żyć sama. Nie musisz być samotna.

- Ależ ja nie jestem ani sama, ani samotna - zaprote-stowała. - A przynajmniej nie w ten sposób, który ma pan na myśli. Harriet jest moją ukochaną przyjaciółką, a oprócz niej mam jeszcze innych znajomych. I chociaż uwielbiam wychodzić z domu tak często, jak to tylko możliwe, to nie czynię tego z powodu potrzeby towarzystwa. Dzisiejsi goście u mnie nie byli niczym wyjątkowym. Ale jeśli jutro on mi się oświadczy, a zapowiedział oficjalną wizytę na popołudnie, to zostanie przyjęty.

- Ale, Klaro, dlaczego właśnie Sullivan? - zapytał. - Możemy ci znaleźć dużo lepszego męża niż on. Kogoś, kto być może będzie zainteresowany twym majątkiem, ale jednocześnie będzie człowiekiem właściwie przygotowanym do tego, by cię dobrze traktować. Sullivan to darmozjad.

- Bardzo przystojny darmozjad - odparowała. - Być może mam ochotę kupić sobie trochę piękna, panie White-head. Tak bardzo mało go w moim życiu.

Whitehead puścił jej dłoń.

- Chciałbym, żeby Miriam była tu z nami. - Westchnął. - Nigdy nie miałem talentu do udzielania rad osobistych, Klaro, ograniczałem się jedynie do finansowych. Ale mam wrażenie, że przez ciebie przemawia ktoś zupełnie obcy. Ty przecież zawsze byłaś taka rozsądna.

- Proszę się o mnie nie martwić - odpowiedziała z uśmiechem. - Ja potrzebuję od pana rady z pańskiej specjalności. Otóż musi mi pan powiedzieć, jeśli łaska, jak mam się zabezpieczyć, by mój piękny darmozjad nie uczynił ze mnie żebraczki.

Ostatecznie rozmowa zeszła na konkretne kwestie związane ze sporządzeniem przedmałżeńskiej intercyzy, która zostanie przedstawiona panu Sullivanowi, jeśli istotnie w dniu następnym złożą przewidywane oświadczenia. Klara zawsze miała zaufanie do umiejętności i przebiegłości pana Whiteheada w dziedzinie finansów, w tej mierze polegała na nim bardziej niż na własnym nieżyjącym już ojcu, tak więc i w tym wypadku zdała się na niego. Z jednym wszakże wyjątkiem.

Uparła się, że jej wiano musi być na tyle wysokie, by całkowicie pokryć długi pana Sullivana. W końcu nie ulega wątpliwości, że właśnie w tym celu ma zamiar ją poślubić. Rzecz jasna, że nie wiadomo, jak wielkie są te długi, ale Klara odmówiła zwrócenia się z tym pytaniem do pana Sullivana, jak i zasięgnięcia informacji z innych źródeł.



- Nie wyjdę za człowieka, którego już przed ślubem zdążyłam upokorzyć lub zaczęłam go szpiegować.

- Ależ Klaro, nie ma innego sposobu, by się o tym dowiedzieć - nalegał pan Whitehead.

- Czy możemy przypuścić, że jego długi nie przewyższają sumy dziesięciu tysięcy funtów? - zapytała.

- Miejmy nadzieję, że tak - odparł Whitehead z kwaśną miną. - Nawet jak na takiego człowieka to chyba za wiele.

- A więc mój posag wyniesie dwadzieścia tysięcy funtów - zakomunikowała Klara i nie dała się odwieść od tej decyzji pomimo wielokrotnych zapewnień pana Whiteheada, że to nierozsądna, wręcz granicząca z szaleństwem rozrzutność.

Pan Whitehead zgodził się wystąpić w charakterze doradcy finansowego Klary i przedyskutować intercyzę z panem Sullivanem. Wyjaśnił, że trudno by mu było odgrywać rolę jej opiekuna, ponieważ już kilka lat temu doszła do pełnoletności, ale śmiało może odegrać rolę powiernika majątku jej ojca, zaznaczając, że Klara nie może nim dowolnie dysponować wedle swego życzenia. W małżeństwo wnosi bardzo hojny posag, natomiast reszta majątku będzie zapisana na jej nazwisko i zarządzana w jej imieniu.

Klara zastanawiała się nad tym kłamstwem. Nie chciała, by jej małżeństwo już od samego początku opierało się na oszustwie, aczkolwiek u przyszłego męża można by się dopatrzeć bardzo wielu oszustw. Do tego jeszcze nie chciała rozpoczynać nowego życia przy boku męża, który czułby się upokorzony wiedząc, że nie zaufano mu w sprawie generalnej opieki nad majątkiem, jak się zazwyczaj czyni. Nie chciała, by znał prawdę. A więc trzeba kłamać.

Za radą pana Whiteheada, jej spadkobierczynią, przy-najmniej na razie, miała zostać daleka kuzynka.

Pan Whitehead w końcu wstał i zaczął się zbierać do wyjścia. Pochylił się nad Klarą i ucałował ją w policzek.

- Spotkam się z tym ladaco, jak tylko oświadczyzny zostaną złożone i przyjęte - powiedział. - Zastanów się dobrze, moje dziecko, i słuchaj rad panny Pope, która jest rozsądną młodą damą. Nie czyń nic, czego miałabyś później żałować przez całe życie.

- Nie mam takiego zamiaru - oświadczyła z uśmiechem. - Dziękuję, że zechciał pan przejechać taki kawał drogi, mimo iż wezwałam pana w ostatniej chwili. Nigdy nie zdołam wyrazić panu swej wdzięczności oraz podziękować za to, że czuję się o wiele lepiej przygotowana do stawienia czoła jutrzejszym wydarzeniom.

Pan Whitehead smutno pokiwał głową i po zapewnieniu, że wróci wieczorem, by towarzyszyć obu damom przy kolacji, wyszedł z pokoju.

Po jego wyjściu Klara długo wpatrywała się w zamknięte drzwi. Jeśli pan Sullivan po tym wszystkim odstąpi od zamiaru złożenia jej wizyty lub jeśli owa wizyta będzie miała charakter czysto towarzyski, to zanoszą się na bardzo niemiłe rozczarowanie. Dzisiaj się nie widzieli, bo chociaż jak zwykle zażywała kąpiele wczesnym rankiem, to później nie odwiedziła pijalni. Poszła do powozu i odjechała prosto do domu.

Teraz jego wizyta wydawała się Klarze prawie niemożliwa. Trudno jej było uwierzyć, że ujrzy go znowu. I czy wyjdzie to jej na dobre, jeśli rzeczywiście już go nie zobaczy? Cóż, Harriet i pan Whitehead zapewne tak sądzą. I jej zdrowy rozsądek również tak podpowiadał. Ale Klara wiedziała, że byłaby bardzo rozczarowana. Gorzko zawiedzioną. Ponieważ już podjęła decyzję, a wraz z postanowieniem w pełni uświadomiła sobie, jak puste i samotne było jej dotychczasowe życie, zwłaszcza po śmierci ojca. Wszystko to wypłynęło teraz gwałtownie na powierzchnię, jakby puściły wszelkie tamy.

Pragnęła go. Pragnęła Fredericka Sullivana. Pragnęła, by wszystko, co uosabia - zdrowie, siła i uroda - należało do niej. W ten sposób te przymioty stawały się w jakimś sensie także jej udziałem! Jakby mogła się zmienić poprzez poślubienie go. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że te pragnienia są szalone, ale serce i tak się do nich rwało. A serce bardzo trudno uciszyć, gdy się ma dwadzieścia sześć lat, jest się kaleką i osobą przez nikogo nie kochaną. Kiedy życie jest puste. Absolutnie wyprane z wszelkich uniesień.

Miała nadzieję, że pan Sullivan przyjdzie. Nie do końca w to wierzyła, ale miała nadzieję.

Frederick ubierał się z nerwową starannością, odrzucając jedną krawatę za drugą, gdy kunsztowny węzeł nie odpowiadał jego oczekiwaniom, aż ostatecznie wezwał lokaja, aby go wyręczył w tej czynności. Nie jest przecież dandysem i nigdy nim nie był. Gardził dandysami. Tylko dandyś wiąże krawatę w przemyślny sposób, bo zwykły węzeł mu nie wystarcza.

Pragnąłby czuć się trochę bardziej rześko. Przejrzał się uważnie w lustro. Czy istotnie ma takie czerwone i spuszczone oczy, czy tylko tak się czuje? Wczorajszy wieczór i część nocy spędził przy stoliku do kart, choć w Bath nie było to dobrze widziane, i znowu wygrał nędzną sumkę. Później zaś odprowadził do domu lady Waggoner, wyczuwając wcześniej, że zezwoli mu na to i na coś więcej. Nietrudno wyczuć coś takiego, gdy człowiek ma doświadczenie ze sztuczkami, jakimi posługiwała się owa dama.

Uznał, że nie ma powodu wyrzekać się chwili lekkomyślności, jako że nikogo nie skrzywdzi ostatnie wytchnienie przed niemal pewnym przeznaczeniem. Skorzystał więc z nie

wypowiedzianego zaproszenia i spędził wyczerpującą, prawdziwie bezsensną noc w łóżku owej damy. W rzeczy samej, byłaby to w pełni satysfakcjonująca noc, gdyby następnego dnia nie był zobligowany do złożenia oświadczenia innej damie. Pora rozpoczęcia owego romansu była zaiste niefortunna. A na romansie się zaczęło i tylko na nim by się skończyło. Kiedy wspomniał bowiem, jakby żartem, o małżeństwie, lady Waggoner wsparła na nim swe obfite kształty i wydając senny pomruk satysfakcji całkowicie rozwiła jego nadzieje.

- Małżeństwo nie jest dla takich jak ty i ja, Freddie - powiedziała. - Po dwóch tygodniach doprowadziłabym nas oboje do szaleństwa. Mojemu zgasłemu małżonkowi byłam wierna akurat jakieś dwa tygodnie. Wcale nie był ze mnie zadowolony.

- Masz absolutną rację - zgodził się, leniwie całując ją, gdy układali się do jednej z króciutkich drzemek, jakie ucinali sobie w nielicznych antraktach. - Dla ludzi naszego pokroju o wiele lepsze są krótkie namiętne związki.

- Ummm. Wyczuwam w tobie, Freddie, bratnią duszę. Reasumując, opuścił ją rankiem o wiele za późno, by się pojawić w pijalni, chociaż pewnie wyszło mu to na dobre. Teraz jednak był śpiący i jednocześnie niecierpliwie wyglądał nadejścia nocy. I w żadnym wypadku nie miał takiego nastroju, jaki powinien mieć mężczyzna, który właśnie zamierza się oświadczyć.

Cóż, należy to traktować jak interes; po prostu trzeba go załatwić. I cały czas o tym pamiętać. Bo w końcu te , oświadczyzny nie są niczym innym jak interesem, choć nie należy tego tak sformułować wobec panny Danford. Jej pieniądze za jego nazwisko i opiekę. Ona stanie się kobietą zamężną. Taki status ma dla kobiety duże znaczenie. Oprócz tego pewnego dnia będzie mógł jej ofiarować tytuł baronessy, choć, broń Boże, nie życzy ojcu żadnej choroby. Bardzo go lubi. Nawet za bardzo. Ech, czasami byłoby lepiej, gdyby rodzina w ogóle nie istniała.

Po raz ostatni obejrzał się w lustrze. Błękitny zakiet od Westona, najlepsza biała koszula, piaskowe wąskie spodnie, a do tego lśniące wysokie buty z białymi chwaścikami - mi. Oczu nie miał zaczerwienionych. Włożył cylinder, naciągnął rękawiczki i zabrał laskę. Pora iść. Panna Danford będzie go oczekiwała.

Kierując się ku jej domowi pomyślał, że przecież, na litość boską, ma dopiero dwadzieścia sześć lat! Nie zamierzał myśleć o małżeństwie przynajmniej przez najbliższe parę lat. I zawsze gdy przychodziła mu na myśl przyszła narzeczona, wyobrażał sobie młodą dziewczynę, nadzwyczaj czarującą, która będzie ozdobą jego życia i domu. Żadna miłość. Nie wierzył w miłość, dopuszczał jedynie pożądanie i przyjaźń. Ale z ową narzeczoną na pewno łączyłyby go przyjacielskie stosunki. Z Julie zawsze byli przyjaciółmi. Ale teraz

zdecydowanie odsunął od siebie myśli o nowej hrabinie Beaconswood.

Za to z niesmakiem pomyślał o panie Klarze Danford, kiedy ujmował mosiężną kołatkę na drzwiach. Jest kaleką. Zastanowił się, czy to oznacza, że nie będzie zdolna do...? Był absolutnie przygotowany na to, że właśnie tak jest. Bo przecież przy swojej wątłej budowie i delikatnym zdrowiu nie będzie w stanie podołać wysiłkom małżeńskiego łoża. Miał nadzieję, że sprawy tak właśnie wyglądają, chociaż nie czuł do niej niechęci. Zamierzał traktować ją po ślubie z całą uprzejmością. Ale nie to, nic z tych rzeczy. Nigdy w życiu nie zmusiłby się do pójścia do łóżka z kobietą, która wydaje mu się odpychająca. Nie skonsumowane małżeństwo będzie mu bardzo odpowiadało. Ale nie jest to najwłaściwszy moment na tego typu rozważania. Drzwi się otwarły i Sullivan wszedł do środka.

Harriet z uporem poruszała temat pogody i opowiadała o ludziach, których spotkała w trakcie porannej wyprawy po zakupy na Milsom Street, dopóki najpierw Klara nie popatrzyła na nią poważnym wzrokiem, a po niej Frederick, również z pełną determinacją patrząc jej prosto w oczy, nie zapytał, czy mógłby zamienić z panną Danford kilka słów na osobności.

Harriet opuściła ich z bardzo wyraźną niechęcią. Na Fredericka, który otworzył jej drzwi, popatrzyła z góry, mocno zaciskając usta.

- Obawiam się, że uraziłem pani towarzyszkę - powiedział cicho, zamykając drzwi i wracając do pokoju.

- Harriet uważa, że potrzebna mi przyzwoitka - wytłumaczyła mu.

Przez chwilę stał i patrzył na nią, zanim zasiadł na krześle na wprost Klary.

- Zależy jej na pani szczęściu - powiedział. - Mogę ją za to tylko cenić. Czy myśli pani, że poczułaby się lepiej, gdyby wiedziała, iż dzielam jej troskę?

Klara się nie odezwała.

- Wygląda pani dzisiaj czarująco, madame - dodał po chwili.

Jej bardzo ciemne włosy bez czepka wyglądały na jeszcze bardziej gęste i cięższe. Były bardzo starannie uczesane w węzeł na czubku głowy, drobne loczki zdobiły kark i szyję, a faliste kosmyki okalały twarz. Jasnobłękitna suknia była starannie dobrana do bladej karnacji, dzięki czemu cera Klary nie sprawiała wrażenia ziemistej.

- Dziękuję panu.

Taki komplement był rażącym pochlebstwem, zupełnie nie na miejscu. Mogłaby się mu zrewanżować takim samym, w tym wypadku absolutnie szczerym, ale w końcu nikt nie prawi takich komplementów dżentelmenom.

- Nie spotkałem pani dziś rano - kontynuował rozmowę. - Przykro mi, że interesy zatrzymały mnie z dala od pijalni wód.

- Mnie tam również dzisiaj nie było - odpowiedziała. - Zmęczyłam się kąpielą, więc zaraz po niej wróciłam do domu.

- Mam nadzieję, że nie czuje się pani gorzej? - spytał z wyraźnym zaniepokojeniem.

- Nie - odparła kręcąc głową.

Pomyślała, że to będzie niemożliwe. Różnica między nimi była tak wielka, że aż śmieszna. Trzeba więc będzie znaleźć odpowiednie, uprzejme słowa na osłodzenie mu odmowy. Siedząc w jej bawialni wyglądał jeszcze bardziej męsko i urodziwie niż w pijalni.

- Pani z pewnością się domyśla, dlaczego poprosiłem o przyzwolenie złożenia tu wizyty - zagaił ponownie, wstając z fotela z nagłym zdenerwowaniem.

Z prawdziwym czy udawanym? - zastanawiała się Klara.

- Musi pani wiedzieć, że przez cały ubiegły tydzień mój podziw dla pani i uwielbienie narastały, aż wreszcie mogłem nazwać moje uczucia miłością do pani, madame. Kocham panią. Czy uważa pani moje wyznanie za obraźliwe? - Popatrzył na nią uważnie tymi ciemnymi oczyma, które niechybnie już od lat łamały niewieście serca. Ale teraz czaiła się w nich obawa.

- Nie, proszę pana - odparła kręcąc głową.

Pochylił się ku niej i ujął ją za rękę. Jego dłoń wyglądała na bardzo dużą i bardzo ciemną. I była bardzo ciepła. Klara spojrzała na nią i na swój wąski biały nadgarstek.

- Czy mogę mieć nadzieję - kontynuował - że żywi pani do mnie jakieś cieplejsze uczucia, madame? Choć wiem, że wcale na nie nie zasługuję.

Klara pragnęła spojrzeć mu prosto w oczy, powiedzieć, że wszystko rozumie, i wytłumaczyć, że mogą się pobrać na uczciwych warunkach, każde z własnych, innych po-wodów. Ale nie mogła. Należało zachować konwenanse.

- Nie jestem obojętna, panie Sullivan. Chociaż moje uczucia nie są tak gwałtowne jak te, które pan opisał.

- Nie mogłem oczekiwać, że takie będą - powiedział przyklękając na jedno kolano.

Klarze przyszło do głowy, że klęczący mężczyzna podczas oświadczyn wcale nie wygląda tak śmiesznie, jak zawsze sobie wyobrażała. W rzeczywistości wyglądał nad wyraz pociągająco.

- Przecież pani jest damą, madame - ciągnął. - Nawet pani nie podejrzewa, jak uradowało mnie pani wyznanie, że nie jestem jej obojętny.

Przyglądała się, jak unosi jej dłoń do ust i przytrzymuje ją dłuższą chwilę. Usta miał ciepłe, cieplejsze od jej ręki. Poczowała na skórze ciepło jego oddechu. Odruchowo prze-łknęła ślinę.

- Panno Danford - zaczął Sullivan. - Czy uczyni mnie pani najszczęśliwszym z ludzi? Czy wyjdzie pani za mnie?

- Tak - odpowiedziała. Ta chwila wydała się jej dziwnie nierealna. Czuła się niemal tak, jakby stała z boku i obserwowała całą scenę. Miała wrażenie, że to ktoś inny wypowiedział za nią to słowo. A więc, stało się. Oświadczył się, a ona go przyjęła.

Sullivan spoglądał w górę na jej twarz.

- Tak? - zapytał. - Powiedziała pani: tak? Ledwo śmiałem mieć nadzieję. Nawet teraz trudno mi uwierzyć własnym uszom. Proszę, niech pani zechce powiedzieć to jeszcze raz.

- Tak - posłusznie powtórzyła. - Wyjdę za pana. Dziękuję.

Wtedy zaczął się uśmiechać, powoli, najpierw uśmiech zagościł w jego oczach, przeszedł na usta, aż wreszcie objął całą twarz. Klara bez trudu mogła sobie wyobrazić, że kobiecie mającej więcej powodów, by wierzyć w jego szczerą, w takiej chwili zaparłoby dech w piersiach. Ogarnął ją nagły smutek, że nie może nagle stać się piękna młodzieńką i zwinną dziewczyną. Ale postanowiła dłużej nad tym nie deliberować. Trzeba się pogodzić z czekającą ją rzeczywistością.

- Zrobiła to pani! - zawołał i roześmiał się, wzmacniając uścisk dłoni na jej ręce. - Uczyniła mnie pani najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Jakże... jakże jestem szczęśliwy!

Klara również się uśmiechała. Tak, on chyba rzeczywiście jest szczęśliwy. Ona również. Dobry Boże, ona również!

- Ja także, panie Sullivan - powiedziała. - Sullivan - powtórzył ze śmiechem. - Na imię mam Frederick, madame. Freddie dla rodziny i przyjaciół. A pani będzie jednym i drugim.

Freddie. A więc będzie członkiem jego rodziny i jego przyjaciółką. Tym pierwszym z pewnością, być może także tym drugim. Przecież w końcu nie ma powodu, dla którego nie mogliby zostać przyjaciółmi.

Pragnęłabym zostać zarówno jednym, jak i drugim. Jestem Klara. - Ponownie się uśmiechnęła. - Dla mojej rodziny i przyjaciół.

A teraz, gdy pierwsza i największa przeszkoda została już pokonana, zaczynam się niecierpliwić - powiedział.

Kiedy pani... Klaro, kiedy zostaniesz moją żoną? Czy wkrótce? Nie mogę nawet znieść myśli, że muszę czekać mi zapowiedzi. Pojadę do Londynu po specjalne zezwolenie. Dobrze? Jutro? Tylko nie mów: nie!

Zgadzam się na specjalne zezwolenie, Freddie - odpowiedziała. - Ale nie jutro. Do Bath przyjechał mój doradca finansowy. Pojawił się u mnie już wczoraj, ale żadne z nas nie

przypuszczało, jak korzystny i potrzebny będzie jego przyjazd. Ten człowiek jest również powiernikiem majątku mego ojca i z pewnością będzie chciał z tobą porozmawiać o intercyzie przedmałżeńskiej.

Być może lekki błysk, który dojrzała w głębi oczu Fredericka, był jedynie tworem jej wyobraźni, ponieważ tego właśnie w nich poszukiwała. Jeśli jednak istotnie się pojawił, to został znakomicie opanowany. Frederick roześmiał się.

- Intercyza przedmałżeńska - powtórzył. - Jak to zasadniczo brzmi. Czy to konieczne? Przypuszczam, że tak, ale w tej chwili mogę myśleć tylko o tobie, Klaro, o tobie jako pannie młodej. Czy zamierzasz pełnić w naszym małżeństwie rolę głosu rozsądku? A więc, niech tak będzie, mogę odczekać jeszcze jeden dzień i porozmawiać z tym wilkołakiem, który będzie mnie wypytywał, w jaki sposób mam zamiar cię utrzymywać. Zapewniam cię, że mój ojciec okaże się hojny. Nie będziemy biedować, ukochana.

Ukochana! Nawet nie przypuszczała, jak bardzo jej serce było spragnione takich słów, dopóki Freddie ich nie wypowiedział, chociaż wcale tak nie myślał. Tak bardzo chciała być ukochaną jakiegoś mężczyzny. Ale nie należy myśleć o gołąbku na dachu, gdy się ma wróbla w garści. Tego przecież także nie oczekiwała. Wychodzi za mąż za najpiękniejszego mężczyznę, jakiego w życiu spotkała. Powinna się z tego cieszyć.

- Nie, oczywiście, że nie - potwierdziła. - Mam olbrzymi majątek, Freddie, a pan Whitehead nie jest skąpy. Ale muszę cię ostrzec, że on bardzo dba o moje dobro i korzyści. Prawdopodobnie potraktuje cię jak łowcę po-sagu, którego jedynym motywem małżeństwa jest pozba-wienie mnie fortuny.

- Już go polubiłem - zapewnił ją Sullivan. - Cieszę się, że masz kogoś, kto cię chroni od czasu śmierci twego ojca, Klaro, i będzie to czynił nadal nawet po naszych zaręczynach i ślubie. Już niebawem przekona się, że jedynym skarbem, jakiego pragnę dzięki naszemu małżeństwu, jest ten, na który właśnie w tej chwili spo-glądam.

- Dziękuję ci, Freddie - odpowiedziała wysuwając ręce z jego uścisku, zanim zapomni, że to wszystko gra, zanim zapomni, że Freddie spędzi pełną trwogi, bezsennej noc, zastanawiając się, czy przypadkiem nie wpadł w pułapkę niepotrzebnego małżeństwa, i deliberując nad jakimś ho-norowym wyjściem z tej sytuacji. - Dołożę starań, by stać się dla ciebie prawdziwym skarbem.

Wstał i z uśmiechem popatrzył na nią z góry.

- Byłem tak zdenerwowany, że prawie nie spałem wczorajszej nocy - powiedział.

- Gdybyś zechciał pociągnąć za dzwonek za twymi plecami, to Harriet zaraz się pojawi - poprosiła go Klara.

Uważam, Freddie, że powinniśmy się z nią podzielić naszą tajemnicą.

- Ależ oczywiście - rzekł odwracając się szybko. - Nie powinienem cię zbyt długo zostawiać samej, kochanie. - Pociągnął za taśmę i ponownie odwrócił się ku Klarze. - Ona nie przepada za mną, prawda? Podejrzewa mnie o nieczne motywy. Już niedługo się przekona, jak jest naprawdę. Kocham cię, Klaro.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Frederick nie wybiegał myślami w przyszłość. Jeśli już myślał o ślubie, to tylko o tym, że powinien jak najszybciej wybrać się do Londynu po specjalne zezwolenie i szybko mieć to za sobą. Pomyślał też, że w celu zachowania całej sprawy w sekrecie oprócz młodej pary w ceremonii powinni uczestniczyć jedynie świadkowie. Nie wszystko ułożyło się po jego myśli.

Głównie dlatego że pojawił się ten piekielny Whitehead, który okazał się tak całkowicie pozbawiony poczucia humoru, jak Frederick się tego spodziewał, i tak bardzo oddany Klarze i jej interesom, jak sama go ostrzegała. Mężczyźni spędzili razem trzy godziny następnego ranka po oświadczeniach - teoretycznie na śniadaniu w hotelu White Heart, gdzie stanął Whitehead, i na konwersacji o wszystkich ważnych tematach związanych z interesami, ale praktycznie na wzajemnej obserwacji, chłodnej ocenie, próbach zorientowania się, czy przypadli sobie do gustu i czy mogą sobie ufać. Próbowali się nawzajem wybadać, na ile każdy z nich lubi i szanuje Klarę i ma na sercu jej dobro.

Z jednego tylko powodu Frederick poczuł ulgę. Ogromną wręcz ulgę. Choć miał otrzymać jedynie wiano narzeczonej, to przekraczało ono znacznie sumę, jaką sobie wyobrażał podczas przyjemnej, lecz wyczerpującej drugiej nocy z lady Waggoner. Dwadzieścia tysięcy funtów! Wystarczy na pokrycie wszystkich długów i jeszcze trochę zostanie. Kusilo go z początku, by ustalić listę najpilniejszych długów, wymagających natychmiastowej spłaty, oraz takich, o których można zapomnieć, dopóki nie staną się tymi z pierwszej kategorii. Ale oparł się pokusie. Spłaci wszystkie, co do jednego. Będzie to całkiem nowe uczucie, pozostać bez długów!

Równie nowym uczuciem będzie stan małżeński, po-myślał wchodząc w końcu na wzgórze, gdzie stał jego hotel. Nadal myśląc o ślubie odczuwał coś na kształt paniki. Ale te sprawy należy rozważać chłodno i rozsądnie. Teraz nie ma już wyjścia. Trzeba się będzie ustatkować. Postanowił, że koniec z hazardem, no, przynajmniej z grą o wysokie stawki. Dostał już nauczkę. I koniec ze spódniczkami, a w każdym razie nie będzie tak dokazywał, jak przez ostatnie kilka lat. Powinien znaleźć sobie kochankę, czego do tej pory nie czynił, i mieć tylko jedną. Będzie to także o wiele zdrowsze niż chodzenie na dziwki. Po ostatniej nocy z lady Waggoner nie umawiał się już na następne, nie jest to odpowiednia pora na dłuższy romans, choć nie wiadomo, jak przyjemna byłaby jego kontynuacja.

Wchodząc do hotelu i kłaniając się pełniącemu służbę personelowi pomyślał ze zdumieniem, że choć jeszcze nie jest żonaty, to już planuje całkowite przeobrazenie

własnego stylu życia! Czy to możliwe? Czy to w ogóle możliwe?

Na sofie w bawialni jego apartamentu siedziała matka, a przy oknie stał ojciec Fredericka. Kto im, do diabła, powiedział? - zastanawiał się idiotycznie w pierwszej chwili zaskoczenia. Matka wstała; uściskał ją i ucałował w policzek, po czym wyciągnął rękę do ojca.

- A cóż to ma znaczyć? - zapytał ze śmiechem.

- Wracaliśmy do domu z Primrose Park - wyjaśniła lady Bellamy - i postanowiliśmy wpaść po drodze do ciebie z wizytą, Freddie.

- Cóż. Jestem zachwycony. A gdzie Less?

- Twój brat pojechał do Londynu - poinformował go lord Bellamy. - Ma bzika na punkcie podróżowania. Pragnie spędzić zimę we Włoszech. Wygląda na to, że Julia mu wmówiła, że zawsze chciał podróżować.

Jule. Czyżby nie było ucieczki przed winą?

- Zastanawialiśmy się, dlaczego nie zostałeś na ślubie, Freddie, tylko niemal bez słowa wyjechałeś w takim pośpiechu - wtrąciła się matka.

Uśmiechnął się do niej.

- Znasz mnie przecież, mamo. Zawsze był ze mnie niespokojny duch. Zawsze podążający za nową przygodą.

Ojciec cicho odchrząknął.

- Myśleliśmy, że mogło to mieć coś wspólnego z Julią - powiedział.

Dobry Boże, czyżby coś słyszeli?

- Myśleliśmy, że może sam się jej oświadczyłeś i do-tknęła cię jej odmowa - odezwała się matka. - Wiedzieliśmy, Freddie, że zawsze bardzo ją lubiłeś.

A więc nie słyszeli. Znowu się uśmiechnął, tym razem z ulgą.

- Wuj postąpił złośliwie, zapisując Primrose Park temu z bratanków, którego Julia zgodzi się poślubić - zauważył.

- Rzecz jasna, że przez pewien czas byłem tym zainteresowany, mamo. To bardzo atrakcyjna posiadłość, a ja bardzo lubię Jule. I nawet się jej oświadczyłem. Ale nie miało to nic wspólnego z moimi uczuciami. Życzę jej, żeby była szczęśliwa z Danem. Czy ślub się udał? I czy reszta rodziny została, by wziąć w nim udział?

Wszyscy, oprócz ciebie - poinformował go ojciec. Frederick wzruszył ramionami. Obawiałem się, że moja obecność będzie dla nich kłopotliwa. Biorąc pod uwagę, że się jej oświadczałem i tak dalej, a Dan o tym wiedział... Sam byłbym mocno zakłopotany. - Postanowił brnąć dalej, póki odwaga go nie opuści. - Mam pewne ważne nowiny. - Pomyślał,

że będzie to oświadczenie dziesięciolecia. Oboje spojrzeli na niego z uwagą.

Wczoraj się zaręczyłem. W ciągu tygodnia wezmę ślub.

Matka nagle usiadła, a ojciec zeszywniał. Frederick roześmiał się.

- Nawet mi nie pogratulujecie? - zapytał. - Nie macie zamiaru spytać, kim ona jest?

- Kim ona jest? - zapytała matka.

- Zaskakujesz mnie, Freddie - powiedział ojciec. - Czy to ktoś, kim już wcześniej byłeś zainteresowany? I dowiedziałeś się, że ta dama przebywa w Bath? I dlatego tak szybko wyjechałeś, nie zostając na ślubie?

- Kim ona jest? - spytała ponownie matka, tym razem z lekkim zniecierpliwieniem w głosie.

- Panna Klara Danford - oznajmił. - Z Ebury Court w Kencie. Jej ojcem był sir Douglas Danford.

- Ale dlaczego nie powiedziałaś nam o niej wcześniej, Freddie? - nalegała matka. - Jak długo się znacie?

- Od tygodnia, mamo - odparł. - Poznałem ją tutaj i natychmiast się w niej zakochałem. Przyznaję, że brzmi to niedorzecznie. Mnie to również zaskoczyło.

Matka Fredericka wzniosła oczy do nieba i złożyła dłonie na podołku.

- Danford? - powtórzył lord Bellamy marszcząc brwi. - Powiedz mi, Freddie, czy to ten Danford z Kompanii Wschodnioindyjskiej? Był bogaty jak sułtan, prawda?

- Myślę, że tak. - Frederick wzruszył ramionami. - Biorąc pod uwagę to, co Klara wczoraj powiedziała, kiedy się jej oświadczałem, i co powiedział mi jej doradca finansowy, to owszem.

- Czy ona wszystko odziedziczyła? - dopytywał się ojciec.

- Wydaje mi się, że tak. To dość nieprzyjemne w gruncie rzeczy, ponieważ jest bogatsza ode mnie. Mężczyzna lubi mieć wrażenie, że żona jest od niego zależna pod każdym względem. Ale my nie pozwolimy, by taka sprawa zepsuła nasz związek.

Ojciec przypatrywał mu się bacznie i przenikliwie.

- Musimy później odbyć męską rozmowę w cztery oczy, Freddie - odezwał się po chwili. - Teraz jednak nadeszła pora na lunch.

- Kiedy poznamy twoją narzeczoną, Freddie? - zapytała matka. - Och, Raymondzie, czyż to nie brzmi tak dziwnie i wspaniale? Czy ona ma na imię Klara? To rozsądne imię. Czy jest ładna? O, z pewnością tak. Co za głupie pytanie. Nikt nie jest większym znawcą kobiecej urody niż ty. Mam tylko nadzieję, że jest również rozsądna. Och, no i proszę, okazało się, że to taki wspaniały dzień! Właśnie zaczynam sobie uświadamiać, o czym nas właściwie

poinformowałaś, Freddie. - Roześmiała się. - A więc będzie następny ślub. Tym razem naszego własnego syna. Będziemy mieli synową. A może nawet i wnuka za rok.

- Lunch, Eunice - powtórzył zdecydowanym tonem lord Bellamy biorąc żonę pod rękę.

Krawat Fredericka nagle stał się trochę za mocno zawiązany.

- No więc kiedy będziemy mogli ją spotkać, Freddie? - zapytała matka po raz drugi.

Gdy wczesnym popołudniem dostarczono z hotelu York list z pytaniem, czy pan Sullivan będzie mógł później złożyć wizytę wraz z rodzicami, lordem i lady Bellamy, aby przedstawić ich swej narzeczonej, Klara była wstrząśnięta.

- Harriet - zwróciła się do przyjaciółki, jeszcze bledsza niż zwykle - nie spodziewałam się, że tak wcześnie poznam jego rodzinę. To chyba oznacza, że oni się wszystkiego dowiedzą, prawda? Wystarczy, że na mnie popatrzą, a od razu się domyśla, że wykorzystałam okazję zamążpójścia kosztem ich syna.

- Być może domyśla się również, że on wykorzystał okazję wzbogacenia się twoim kosztem - dodała gniewnym tonem Harriet.

- Ciekawa jestem, co on im o mnie powiedział - zastanawiała się głośno Klara. - Myślisz, Harriet, że wiedzą wszystko? Chyba nie mogę ich nie przyjąć, prawda? Czy mogłabym udać nagłą chorobę? Na przykład ospę? A może tyfus? - Wybuchnęła śmiechem. - W co ja się ubiorę? Znowu na niebiesko? I co zrobię z włosami? Tak trudno je ułożyć.

Tego się naprawdę nie spodziewała. Wyobrażała sobie cichy ślub we własnej bawialni, w obecności pastora oraz Harriet i ewentualnie pana Whiteheada w charakterze świadków - nikogo więcej! Rzecz jasna, zdawała sobie sprawę z konieczności poznania rodziny Fredericka, ale ponieważ miało to według niej nastąpić w jakiejś bliżej nie sprecyzowanej przyszłości, wołała o tym nie myśleć. Nawet nie wiedziała, jak wielka jest ta rodzina.

Trzeba się także liczyć z tym, że na ślub przybędzie pani Whitehead. Jej mąż podczas krótkiej wizyty przed lunchem, mającej na celu poinformowanie jej o przebiegających w niemal przyjaznej atmosferze ustaleniach z Frederickiem, zapewnił Klarę, że pani Whitehead za nic w świecie nie darowałaby sobie, gdyby nie była obecna na tej ceremonii.

Nagle cała prawda stanęła jej przed oczami. Uświadomiła sobie, do czego doprowadziła w ciągu ostatnich kilku dni. Harriet była bardzo niezadowolona.

- Och, Klaro - powiedziała, gdy tylko zamknęły się drzwi za Frederickiem. - Coś ty zrobiła? Czy dobrze się nad tym zastanowiłaś? Co on ma na myśli nazywając cię swoją ukochaną i patrząc na ciebie tym uwodzicielskim spojrzeniem?

- Pragnie stworzyć wrażenie, że jest we mnie zakocha-ny - odparła Klara.

- Och, Klaro. - Harriet była bardzo zasmucona. - Wyślij go na scenę, gdzie jego miejsce.

Po raz pierwszy w życiu omal się nie pokłóciły.

- Nie wolno ci więcej powtarzać takich opinii, Harriet - upomniała ją cicho Klara. - To mój narzeczony. Wkrótce zostanie twoim mężem. Nie życzę sobie, aby ktokolwiek go obrażał.

W oczach Harriet zabłyśły łzy. Przygryzła dolną wargę.

- Przepraszam. Bardzo cię przepraszam, Klaro. A więc mimo wszystko zależy ci na nim?

- To nie jest istotne, Harriet. Ważne jest to, że zostanie moim mężem. Od tego momentu nie spodziewaj się, że będę z tobą omawiała mój związek z Frederickiem.

- Muszę więc poszukać sobie innego zajęcia. W Bath nie powinno to nastroczać większych trudności - powiedziała Harriet. - A poza tym jest tu moja mama, zamieszka ze mną przez ten czas, kiedy będę czegoś szukała. Mogę być jedynie wdzięczna, że przez ponad dwa lata moja pracodawczyni była dla mnie przyjaciółką.

Klara pomyślała nagle, że to właśnie Harriet powinna wyjść za mąż. To ona jest piękną. Fakt, że nie posiada majątku, jest doprawdy godny pożałowania. To Harriet powinna wyjść za Freddiego. Oboje bardzo pasowaliby do siebie. On być może nawet mógłby się zakochać w kimś takim jak Harriet.

- Nie odchodź ode mnie, Harriet. Proszę. Zostań przynajmniej tak długo, dopóki nie dojdiesz do wniosku, że sytuacja staje się dla ciebie nie do zaakceptowania. Po ślubie będę cię potrzebowała tak samo jak do tej pory. Mój mąż będzie miał własne życie, tak jak wszyscy inni dżentelmeni, a ja nie podołam trudom towarzyszenia mu przy tak wielu różnych okazjach jak inne żony. Będę z nim dzielić zaledwie cząstkę jego życia. Będzie mi potrzebne twoje towarzystwo i przyjaźń. Zostań ze mną.

Tak więc ostatecznie obie sobie trochę popłakały, za-pewniając się przy tym wzajemnie, że więzy ich przyjaźni są zbyt mocne, by komuś tak łatwo udało się je rozerwać. Harriet zapewniła przyjaciółkę, że zostanie. Że zostałyby choćby ze względu na przyjaźń, nawet gdyby nie miała otrzymywać wynagrodzenia. I że współczuje Klarze, że choć za niecały tydzień zostanie mężatką, to może mieć nadzieję na zajęcie zaledwie cząstki życia przyszłego męża.

Klara jednak nie żałowała niczego. Osiągnęła więcej, niż tydzień temu mogła sobie zamaryć. Samotność stawała się już nie do zniesienia, a małżeństwo stawiało jej tamę.

Przecież nie kocha Fredericka, więc nie będzie to takie straszne. Zależy jej tylko na tym, by żyć w taki sposób, jaki inni ludzie uważają za naturalny.

A jednak czuła zdenerwowanie na myśl o spotkaniu jego rodziców. Lord i lady Bellamy. Są przecież jedynie baronem i baronową. A jej ojciec był baronetem! A więc nie stoją o wiele wyżej od niej. Mimo to czuła pewien respekt wobec ich tytułów. Spodziewali się pewnie dla syna lepszej partii. Zastanawiała się, co Freddie im o niej opowiedział.

Okazało się, że niewiele. Kiedy wszyscy wkroczyli do jej salonu, a Harriet wstała, by okazać im szacunek, nastąpiła ogromnie kłopotliwa chwila. Baronowa, fałszywie odczytując ten gest, uśmiechnęła się do niej promiennie i wyciągnęła dłoń na powitanie. Gdy po chwili oboje, baron i baronowa, dowiedzieli się, że to Klara jest właściwą osobą, obrzucili ją zdziwionym spojrzeniem nie rozumiejąc, dlaczego nie wstała na powitanie. To pełne zakłopotania spojrzenie Klara wyraźnie wyczuła swym pełnym obaw sercem. Byli głęboko wstrząśnięci. Absurdalnie pożałowała, że nie ma na sobie ponownie tej niebieskiej sukni, lecz różową. Tak jakby suknia mogła cokolwiek zmienić.

- Klara nie może chodzić - wytłumaczył Frederick. Podeszedł do jej fotela uśmiechając się serdecznie, ujął dłoń Klary i uniósł do ust. - Jak się czujesz, moja kochana?

Była zbyt spięta obecnością jego rodziców, by zdobyć się na coś więcej poza sztywnym uśmiechem.

- Proszę mi wybaczyć, że przyjmuję państwa w ten sposób - odezwała się wysuwając dłoń z ręki Fredericka i wyciągając ją do jego matki.

- Moja droga - lady Bellamy ujęła dłoń Klary i pochyliła się nad nią z zatroskaną twarzą - czy to był wypadek, czy choroba? Nie, nie próbuj się ruszać. Przysiadę koło ciebie i pogawędzimy sobie przyjemnie.

- To skutek choroby, madame - odpowiedziała Klara. - Jako dziecko długo chorowałam w Indiach. Była to jedna z tych tajemniczych chorób tropikalnych. Lekarze właściwie nigdy do końca jej nie rozpoznali.

Klara pomyślała z ulgą, że baronowa jest bardzo miła; musiała przeżyć wstrząs. Baron zaledwie skinął głową i zasiadł w fotelu wskazanym przez Harriet. Przyglądał się jednak badawczo przyszłej synowej.

Frederick usiadł obok Klary i ponownie wziął ją za rękę.

- Czy widząc czarującą cierpliwość Klary możesz się dziwić, mamo, że się w niej bez pamięci zakochałem? - spytał.

No tak. Klara uzmysłowiła sobie, że Freddie musi być tak samo przestraszony tym spotkaniem jak ona. To oczywiście, że nie powiedział im całej prawdy, że próbuje ich oszukać

tak samo jak ją. Ale oni lepiej go znają. Oni lepiej i prędzej niż ona zorientują się, jak niewiarygodne są jego wyznania. Jakże by mogli uwierzyć w miłość Freddiego, widząc Klarę na własne oczy?

- Harriet, bądź tak miła i zadzwoń, żeby przyniesiono herbatę, dobrze? - poprosiła przyjaciółkę.

Pomyślała w końcu, że może i dobrze, że tak się stało. Zajął się zabawianiem gości, czując na dłoni ciepło i siłę ręki narzeczonego. Być może spotkanie baronostwa po cichym i sekretnym ślubie byłoby jeszcze gorszym przeżyciem.

W ciągu czterech następnych dni nie doszło do ślubu. Frederick uznał, że nie ma potrzeby tak się spieszyć. Gdyby którykolwiek z wierzycieli wytropił go w Bath, to przecież nie okaże się natarczywy wiedząc, że Frederick się żeni, a zwłaszcza - z kim się żeni. Był więc bezpieczny.

Nie pojechał nawet do Londynu, tak jak zaplanował następnego dnia po spotkaniu z panem Whiteheadem. Ojciec Fredericka zjadł z nim wczesne śniadanie, zostawiając lady Bellamy w pokoju. To spotkanie nie było przyjemne dla Fredericka. Baron zażądał wyjawienia prawdy.

- I nie opowiadaj mi farmazonów o zakochaniu się w pannie Danford, Freddie - ostrzegł syna. - Miej, proszę, trochę więcej szacunku dla mej inteligencji. Nie chcę urazić tej damy, ale daleko jej do miana piękności. Ile wynoszą twoje długi?

Frederick został zmuszony do wyjawienia mniej więcej połowy wysokości długów. Przyjął ojcowską reprimendę oraz pouczenie i szczerze obiecał poprawę na przyszłość. Była to przemowa i obietnice powtarzające się z bolesną regularnością od paru lat.

- Ale tym razem, Freddie, masz większy problem - powiedział w końcu ojciec. - Teraz już nie chodzi tylko o ciebie, będziesz miał żonę. Moim zdaniem, ta kobieta już swoje wycierpiała i nie życzę sobie, by mój syn przysporzył jej dodatkowych cierpień.

Frederick ponownie złożył obietnicę, tym razem z jeszcze większą gorliwością. Czynił to całkiem szczerze - wierzył święcie w każde wypowiedane słowo. Ale tak było zawsze. Za każdym razem, gdy ojciec wyciągał go za uszy z jakiejś groźnej pułapki, obiecywał sobie zmianę, rozpoczęcie nowego życia. Ale czy to w ogóle możliwe? Gdyby znalazł się ktoś, kto by mu udowodnił, że to się zdarza, być może zaświtałaby mu odrobina nadziei.

- Ale ja ją kocham, ojciec - oświadczył na koniec, czując potrzebę choćby częściowej zmiany swego wizerunku. Ten bezgranicznie cierpliwy i niezmiennie kochający ojciec w jakiś sposób sprawiał, że Frederick czuł się przy nim jak niegrzeczny chłopczyk. - Kocham ją ponad życie. Poślubiłbym ją, nawet gdyby była żebraczką.

Ojciec zmierzył go wzrokiem. Frederick nie cierpiał tego; wolałby nawet burzę gniewu niż to mądre, wszyt-kowiedzące i niezadowolone spojrzenie.

- Nie posuwaj się za daleko, Freddie - powiedział ojciec. - Słowa niewiele znaczą. Okaż jej, że ją kochasz ponad życie. Spraw, abym stał się z ciebie dumny, mój chłopcze.

Mój Boże, to wystarczyło, by łzy zapiekły go pod powiekami. Jeszcze tego brakowało, żeby się ostatecznie upokorzył przed ojcem, płacząc jak dziecko. W tej chwili niczego tak nie pragnął jak tego, by ojciec naprawdę był z niego dumny. Było to dość śmieszne uczucie jak na dwudziestosześcioletka, nawet w jego przypadku.

Po południu nastąpiło ponowne spotkanie z panem Whiteheadem, który finalizował z baronem kontrakt przedmałżeński przy niemal milczącej obecności Fredericka jako trzeciego uczestnika spotkania. Ustalono, że po ślubie wzrośnie jego roczny dochód - zwany odtąd właśnie dochodem, a nie pensją rodzicielską - oraz omówiono konieczność zakupienia domu w mieście. Pokoje kawaler-skie nie będą się już nadawały dla żonatego mężczyzny, nawet jeśli wydaje się mało prawdopodobne, że Klara zechce się z nim wybrać do Londynu. Natomiast na wiejską rezydencję młodych małżonków wybrano Ebury Court.

Frederick pomyślał, że to zabawne, jak po oświadczy-nach ślub przestaje być jego prywatną sprawą. Matka większą część dnia spędziła w domu Klary, omawiając z nią takie sprawy jak kwiaty i proszone śniadanie weselne. Z Klarą zobaczył się tylko przelomie, kiedy przyszedł po matkę, by zabrać ją na kolację do hotelu.

Ostatecznie dopiero następnego dnia wybrał się do Londynu po specjalne zezwolenie. Tam zaś musiał odnaleźć brata, by mu przekazać nowiny. Wtedy się okazało, że Lesley również koniecznie pragnie przyjechać do Bath na ślub. Tłumaczył, że Włochy przecież mogą zaczekać dzień czy dwa, a on chce dzielić ze starszym bratem chwile zbliżającego się szczęścia. W słowniku Lesleya ślub i szczęście były synonimami.

Tak więc minął jeszcze jeden dzień, zanim Lesley, nie wiedząc dokładnie, w co się powinien ubrać - czy to samo ubranie, które miał na sobie na ślubie Dana i Jule, będzie wystarczające? - zapakował do dwóch wielkich kufrów prawie wszystko, co miał, i dopiero po usilnych perswa-zjach Fredericka dał się namówić do zmniejszenia bagażu przynajmniej o połowę. Po czym przypomniał sobie, że u Westona czeka na niego nowo uszyty żakiet. Frederick co chwila wznosił oczy do nieba i śmiał się w kułak, co zdarzało mu się prawie zawsze, gdy przebywał z Lesem.

Ale ostatecznie znaleźli się w Bath. Podczas nieobecno-ści Fredericka wszystko zostało pozalátwiane. Ze względu na stan zdrowia Klary ślub miał się odbyć w jej salonie, a nie w kościele. Baronowa omówiła wszystkie szczegóły. Na uroczystości oprócz państwa



młodych i pastora będą obecni rodzice pana młodego z jego bratem, towarzysza panny młodej, Harriet Pope, oraz zaprzyjaźnieni z Klarą państwo Whiteheadowie, pułkownik z panią Rutledge i panny Grover.

Frederick zastanawiał się, w jaki sposób cały ten tłum zmieści się w salonie, ale musiał przyznać, że w gruncie rzeczy to wcale nie tak wiele osób. Po prostu więcej, niż oczekiwał.

Po śniadaniu weselnym panna Pope przeprowadzi się na tydzień do panien Grover, po czym przyjedzie do Ebury Court, dokąd nowo poślubieni baronostwo wybiorą się od razu, dzień po ślubie. Tak więc Frederick przekonał się, że miodowy miesiąc, choć skrócony, spędzi z żoną samotnie. O tym wcześniej nie pomyślał. Nadal w gruncie rzeczy nie wiedział, czy istnieje możliwość, by to małżeństwo było normalne.

Tej nocy, gdy wrócił z Londynu, położył się do łóżka z głową pełną kłębiących się uczuć i myśli, na pół rzeczy-wistych, na pół nierealnych. Miał wrażenie, że matka opowiadała mu o wydarzeniu, które dotyczy kogoś obce-go, o czymś, z czym on nie ma nic wspólnego. A do tego - dobry Boże - jutro o tej samej porze będzie żonaty!

Żałował poniewczasie, że zjadł tak obfitą kolację.

Tej samej nocy Klara tak długo wpatrywała się w bal-dachim nad łóżkiem, że kiedy zamknęła oczy, wciąż widziała fałdy draperii.

Wszystko to zaczęło być naprawdę przerażające. Dopóki ten ślub dotyczył tylko jej i Freddiego, wydawał się całkiem rozsądnym posunięciem. Każde z nich chciało go zawrzeć z własnych konkretnych powodów, oboje chcieli coś dzięki niemu uzyskać. Mogło się udać.

Ale teraz, gdy zostali w to wmieszani inni ludzie, Klarę zaczęła ogarniać panika i uczucie, że zapoczątkowała coś, co nabrało realnego kształtu i zaczęło żyć własnym, nie-zależnym życiem, wymykającym się spod kontroli. Nie-którzy ze znajomych dowiedzieli się o zaręczynach i od-wiedzali ją z uśmiechami, pocałunkami, gratulacjami oraz opiniami o urodzie i wdzięku pana Sullivana. Najbliżsi znajomi złożyli jej wizytę podczas obecności lady Bellamy i natychmiast zostali zaproszeni na ślub.

Lady Bellamy była ogromnie miła i dokładała wszelkich starań, aby ten ślub stał się wydarzeniem godnym zapamiętania. Klara miała wrażenie, że matka Fredericka jest rozczarowana faktem, że ślub nie będzie huczny i gromadny. Ale i w tej sytuacji robiła, co mogła. Klara dowiedziała się, że wszędzie muszą być kwiaty - nawet we włosach panny młodej - i że po ślubie należy zaprosić gości na uroczyste śniadanie weselne. Musiała natychmiast wezwać i zapędzić do roboty szwaczki, ponieważ potrze-bowała nowej sukni do ślubu i nowej sukni podróżnej, w której nazajutrz po ślubie pojedzie z Freddiem do Ebury

Court. Szkoda tylko, że nie wystarczało czasu na przygotowanie całej nowej garderoby dla panny młodej.

Lady Bellamy załatwiła miejsce pobytu dla Harriet na dzień ślubu i pierwszy tydzień miesiąca miodowego. Słyszając o tym nowym, nieoczekiwanym pomysłe, Klara była raczej przestraszona niż zakłopotana. Zastanawiała się, jak Freddie będzie się zachowywał w pierwszych dniach po ślubie.

Właśnie o tym myślała zamykając oczy. Mieli być sami przez tydzień. A więc będzie go miała, chociaż tak krótko. Freddie z pewnością zostanie z nią w Ebury Court do chwili przyjazdu rodziców; zjawią się tam pod koniec tygodnia i przywiozą ze sobą Harriet. A więc w wieku dwudziestu sześciu lat Klara jutrzejszej nocy wreszcie odkryje, co to naprawdę znaczy być kobietą. Odkryje to w ramionach silnego i wspaniałego mężczyzny.

Była to podniecająca myśl. I przerażająca. I absolutnie nie pozwalała zasnąć. A przecież trzeba spać. Jeśli nie zaśnie, jutro rano będzie jeszcze bledsza niż zazwyczaj. A pod oczami pojawią się cienie. I bez tych dodatkowych efektów będzie biała jak śnieg.

Bardzo chciała zasnąć. Kręciło jej się w głowie i czuła lekkie mdłości. Była straszliwie podekscytowana.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Ta przekłeta krawatka znowu stawiała opór. Ponowne wezwanie lokaja, żeby sobie z nią poradził, wcale nie poprawiło złego humoru Fredericka. Na szczęście matka nie kręciła się po domu, ponieważ poświęciła się własnym przygotowaniom. Ale z Lesleyem była inna para kaloszy włożył pod nogi, chichotał jak kretyn i opowiadał takie głupstwa, jakich można się było po nim spodziewać. Paplał o tym, że lubi Klarę, choć widział ją tylko raz, i to krótko - wczoraj po południu - a także o tym, jak bardzo mu się podoba fakt, że będzie miał bratową. Cholerny Les.

Frederick musiał jednak w duchu przyznać, że Les w niczym nie zawinił. I że nazywanie brata kretynem - choćby tylko w myślach - jest niesprawiedliwe. Les jest powolny, ale jeśli daje mu się dosyć czasu, to zwykle osiąga zamierzony cel. A przy tym ma nadzwyczaj dobre i łagodne usposobienie.

Nie, to wszystko jego wina. Sam jest kretynem. Żeby skazywać się na całe życie z powodu kilku marnych długów! Jedwabne spodnie do kolan z samego rana, o Bo-że! Przyglądał się im z niesmakiem, po czym obrzucił wzrokiem białe jedwabne pończochy i skórzane pantofle do tańca. Warknął pod nosem, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

Przy pierwszym spojrzeniu na gościa jęknął w duchu, myśląc, że salon Klary chyba pęknie! Czy naprawdę wszyscy postanowili być obecni na tym ślubie? Widząc minę przyjaciela uśmiechnął się do niego.

- Archie! - zawołał. - W życiu nie spodziewałbym się zobaczyć cię w Bath!

Lord Archibald Vinney przeniósł wzrok z Fredericka na Lesleya i z powrotem.

- To dziwne miejsce - zauważył pociągając tasiemkę przy monoklu, lecz nie przykładając szkła do oka. - Zostałem wyznaczony przez rodzinę jako wysłannik z życzeniami dla ciotki, która lada dzień skończy osiem-dziesiątkę. A może dziewięćdziesiątkę? W każdym razie coś koło tego. Starsza dama zaciągnęła mnie o jakiejś niechrześcijańskiej rannej godzinie do pijalni wód, gdzie przypadkowo usłyszałem, że szlachetnie urodzony Frederick Sullivan bawi w Bath. Żeby tylko bawił, całe miasto o tobie mówi, Freddie. Pomyślałem, że to jakaś pomyłka, sam wiesz, jak plotki zmieniają prawdę. Ale co ja widzę, spodnie do kolan o tej porze dnia? I u Lesa także?

- Dzisiaj mój ślub - odparł Frederick z krzywym uśmiechem.

- A cóż to, u diaska? - zdziwił się przyjaciel unosząc monokl do oka. - Byłem przekonany, że razem się pośmiejemy z tych plotek, ale jak widzę, to wszystko szczerza

prawda. Freddie, mój chłopcze, kimże ona jest? Nazwisko, które przy mnie wspomniano, nic mi nie mówi. Teraz nawet nie mogę go sobie przypomnieć. Czy jest to jakaś znana mi piękność?

- Nie - odpowiedział krótko Frederick. - Poznałem ją tutaj przed tygodniem. Słuchaj, Archie, dobrze będzie, jeśli przyjdiesz na ślub. Potrzebne mi teraz każde wsparcie moralne.

Lord Archibald cicho zagwizdał.

Cóż za błyskawiczne zaloty! To zupełnie nie w twoim stylu, Freddie. Nie mówiąc już o małżeństwie. To znaczy, że nieźle wpadłeś, prawda? Panna musi być bardzo bogata, mam rację? A ty wykorzystując swój znany wdzięk przekonałeś tę dzierlatkę i jej ojca, że szalejesz z miłości.

Jej ojciec nie żyje - sprostował poirytowany Frederick. - A ona nie jest żadną dzierlatką, ma dwadzieścia sześć lat. Potrzebowałem wyłącznie jej zgody. Archie zagwizdał ponownie.

- Dwadzieścia sześć lat, powiadasz? Ty stary diable. A więc to antidotum, czyż nie? Przyjmij wyrazy współczucia, mój stary.

- Mówisz o mojej przyszłej żonie - powiedział Frederick zaciskając pięści.

Lord Archibald uniósł ręce w geście poddania.

- Ja ją lubię - wtrącił się Lesley z uśmiechem kiwając głową i ratując tym samym sytuację grożącą wybuchem.

Zresztą i tak już dłużej nie dało się rozmawiać. Do drzwi zapukała następna osoba. Okazało się, że baron i baronowa byli gotowi, baronowa już ponoć nerwowo krążyła po pokoju w obawie, że są spóźnieni. W każdym razie baron oznajmił to Frederickowi powstrzymując chichot, po czym poświęcił uwagę nowo przybyłemu gościowi.

Frederick wznosił oczy do nieba.

- Ach, te matki! Do ślubu jeszcze prawie godzina, a czeka nas zaledwie dziesięciominutowa przejażdżka - zauważył.

- Mimo to, Freddie, lepiej już wyruszajmy - odparł ojciec. - Matki dostatecznie cierpią wydając synów na świat. Zwykła uprzejmość synów i mężów wymaga? by czynili co w ich mocy, aby to cierpienie na coś się zdało.

Ale do Fredericka słowa te nie dotarły. Słyszał jedynie echo własnych: do ślubu jeszcze prawie godzina! Prawie godzina. Dziękował Bogu, ogromnie dziękował, że rano nie mógł zjeść śniadania. Na sam widok opychającego się Lesa żołądek wywracał się mu na drugą stronę.

Siedziała w wózku inwalidzkim. Wydawało się to wygodniejsze z powodu sporej

liczby gości oraz konieczności przemieszczania się z miejsca na miejsce. Czułaby się okropnie, gdyby na oczach wszystkich przenoszono ją z fotela na fotel. Była ubrana w nową białą suknię z muślinu, przy której uparła się lady Bellamy, i musiała przyznać, że jest piękna i że dobrze się w niej czuje. Krótkie rękawki i dekolty były ozdobione lamówką z haftowanymi błękitnymi kwiatkami. Jedwabna szarfa pod biustem i pantofelki również miały kolor niebieski. Włosy, zaczesane wyżej niż zwykle, były przyozdobione naturalnymi kwiatami.

- Czy nie wyglądam trochę głupio? - zapytała przyjaciółkę, gdy pierwsi goście zaczęli się schodzić. Siedziała w „jadalni” czekając na swe wielkie wejście, jak każda panna młoda. - Kwiaty we włosach to domena młodych dziewcząt, nieprawdaż?

Gdy Harriet nachyliła się nad policzkiem przyjaciółki, jej oczy podejrzenie błyszcząły wilgocią.

- Wyglądasz przepięknie - powiedziała. - Jesteś piękna.

- Dziękuję ci, Harriet - odparła Klara ze śmiechem. - Podoba mi się jego rodzina, a tobie? Muszą być straszliwie rozczarowani, ale cały czas byli bardzo mili i uprzejmi. A czy pan Lesley Sullivan nie jest uroczy?

- Owszem - zgodziła się Harriet. - On mi się spodobał.

A lady Bellamy to prawdziwa dama. Przynajmniej z teściami i szwagrem będziesz szczęśliwa, Klaro.

Klara uśmiechnęła się. Ale nie z mężem. Harriet nie musiała mówić tego głośno. I nie zrobiła tego. Klara była nieugięta pod względem nieuznawania żadnej krytyki pod adresem Freddiego.

Wreszcie do pokoju weszła gospodyni i oznajmiła, że pan Sullivan właśnie przybył, a wszyscy oczekiwani goście zgromadzili się w salonie. Pastor także już czeka. Do rozpoczęcia ceremonii pozostało zaledwie dziesięć minut.

- A więc możemy rozpocząć - rzekła Klara, powoli i głęboko zaczerpując tchu. - Czy zechciałaby pani poprosić tu pana Whiteheada? - Pan Whitehead zgodził się przejąć rolę ojca panny młodej w tej ceremonii.

A więc stało się. Harriet raz jeszcze pochyliła się, by ucałować przyjaciółkę, po jej policzku spływała łza. Potem szybko wyszła i zajęła swoje miejsce w salonie. Pan Whitehead zjawił się w jadalni, ujął obie dłonie Klary w mocnym uścisku i także się pochylił, by ją ucałować, po czym popchnął fotel do salonu. Klara zdobyła się na uśmiech.

Salon był przepelniony; w powietrzu unosił się zapach kwiatów. Pomieszczenie wyglądało obco, ale Klara właściwie go nie widziała, nie widziała również dokładnie ludzi. Było tu mnóstwo obcych, nie znanych jej osób, zamiast rodziny i przyjaciół. Nikogo chyba

nie znała. Freddie stał przed kominkiem, tuż przy pastorce, i wyglądał tak niewiarygodnie pięknie, ubrany jak na dworski bal, że zaparło jej dech. Patrzył na nią uważnie, a jego spojrzenie było tak ogniste, że nietrudno było uwierzyć, iż znaczy dokładnie to, co wyraża.

Pan Whitehead ustawił fotel Klary przy boku pana młodego i uroczystość się rozpoczęła. Była to krótka ceremonia, bez żadnych dodatkowych atrakcji. Bez muzyki. Tak krótka, że zanim Klara zdążyła uporządkować myśli na tyle, by się skoncentrować, już było po wszystkim. Freddie włożył jej na palec złotą obrączkę, która błyszczała nowością i dość dziwnie wyglądała na dłoni Klary. Potem pochylił się i złożył na jej ustach mocny pocałunek.

- Moja ukochana - wymruczał, z uśmiechem patrząc jej w oczy.

Pomyślała nagle, że nie powinna tego zrobić. Pan Whitehead miał rację. Mogła sobie znaleźć innego męża, bardziej do niej pasującego. Freddie jest tak upajająco piękny, jakby pochodził nie z tego świata. Harriet także miała rację. Nigdy nie będzie im dane zaznać wspólnego szczęścia, Klarze i jej mężowi.

Mężowi!

- Freddie - szepnęła w odpowiedzi. Miała nadzieję, że na jej twarzy nadal gości uśmiech.

Wyglądało na to, że chwila ta na dłuższy czas pozostanie ostatnią, jaką spędzają wspólnie. Wokół rozległ się szum, który po chwili przeszedł w wyraźne głosy; odezwały się sporadyczne wyrazy aprobaty oraz śmiech. , A potem Klara znalazła się w wirze objęć, uścisków, pocałunków i łez - otoczona przez Harriet, lady Bellamy i panią Whitehead.

- Klaro, córko moja kochana - zawołała lady Bellamy, - Tyle lat marzyłam, by móc kiedyś wypowiedzieć te słowa!

- Witaj w naszej rodzinie, moja miła - powiedział lord Bellamy, ściskając jej dłoń niemal do bólu. - Dumni jesteśmy, że zostałam jej członkiem.

- Klaro! - Harriet chwyciła ją w objęcia i długo trzymała. - Życzę ci szczęścia. Tak bardzo życzę ci szczęścia!

- Siostrze. - Lesley Sullivan pochylił się i ujął jej dłonie. - Zawsze chciałem mieć siostrę. Lubię cię, Klaro.

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

- Dziękuję ci, Lesley - odparła. - Ja także cię lubię. I zawsze marzyłam o tym, by mieć brata.

Teraz już masz - zapewnił ją. - Mój brat jest szczęściarzem.

Przyszła jej do głowy zwariowana myśl, że to właśnie Lesleya powinna poślubić. Jest miły, uprzejmy i prawdo-mówny, a przy tym tak mało podobny do Freddiego, jak to tylko

możliwe. Ma jasne włosy, przyjemną powierzchowność, choć trudno powiedzieć, by był przystojny, zwłaszcza że nie jest zbyt wysoki.

- Nadchodzi Archie, żeby cię poznać - uprzedził ją Lesley i gdy popatrzyła w górę, ujrzała wysokiego blondyna o arystokratycznym wyglądzie. - To lord Archibald Vinney, Klara.

- Pani Sullivan - odezwał się nieznajomy unosząc jej dłoń do ust. - Czy mogę pani złożyć serdeczne życzenia, madame? Jestem przyjacielem pani męża, świeżo i przy-padkowo przybyłem do Bath. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciw temu, że Freddie zaprosił mnie na wasz ślub, nie pytając uprzednio o pani zdanie w tym względzie.

- Jest pan szczerze witany i pożądanym gościem, milordzie - odpowiedziała Klara. Pani Sullivan! Tak> to ona. Klara Sullivan. Jak to dziwnie brzmi. Ale nie pora teraz rozwodzić się nad nowym nazwiskiem i pozycją. Właśnie panny Grover przeciskają się, by złożyć jej życzenia i ucałować. Przypomniała sobie z niejakim zdziwieniem, że to przecież jej ślub i wesele! Tak, to dzień jej wesela.

- Les, mój drogi - zagaił lord Archibald, kiedy odsu-nawszy się od panny młodej zerknął na swego biednego przyjaciela, wciąż jeszcze zajętego odbieraniem życzeń i uścisków - bądź tak dobry i przedstaw mnie tej smakowitej małej blondynce w zielonej sukni.

Goście zaczęli opuszczać dom wczesnym popołudniem. Panny Groverabrały ze sobą zasmuconą i pełną lęku Harriet. Państwo Whitehead zostali trochę dłużej, a gdy nadchodziła pora kolacji, baronostwo wraz z młodszym synem wciąż jeszcze przebywali w domu Klary. Frederick zaczął mieć wielką nadzieję, iż zamierzają zostać. Ale gdy Klara ich zaprosiła, wstali z foteli, by się pożegnać.

Nagle opustoszały dom zrobił się bardzo cichy.

O Boże, pomyślał Frederick wracając do salonu po odprowadzeniu rodziny. Twarz go bolała od sztucznego uśmiechu, który przybierał niemal przez cały dzień. I nawet teraz nie mógł się go pozbyć! W dalszym ciągu należy odgrywać przedstawienie.

- Cóż, ukochana - zaczął wchodząc do pokoju i uśmie-chając się do młodej żony, która spoczywała z wyciągnię-tymi nogami na szezlongu, gdzie umieścił ją pan Whitehead po weselnym śniadaniu. - Nareszcie możemy odpocząć.

Były to najbardziej zakłamanie słowa, jakie wypowiedział w ciągu całego tygodnia. Podczas ślubu i śniadania zamienił z Klarą zaledwie parę słów, poświęcając się całkowicie rozmowom z gośćmi, i wyglądało na to, że Klara robiła to samo. Pozwoliło mu to na jakie takie odprężenie. Teraz jednak był napięty jak struna.

- Tak - zgodziła się. - To bardzo miło, Freddie, że przyszło aż tyle osób. Wyobrażałam

sobie ten ślub w obecności jedynie dwojga świadków. Było bardzo przyjemnie.

- Naprawdę? - zapytał przechodząc przez cały salon do kominka, gdzie ustawił się plecami do ognia. - Czy nie było to dla ciebie zbyt wyczerpujące, Klara?

Mówiąc do niej uświadomił sobie, że trudno mu uwierzyć, iż zwraca się do własnej żony. Ta blada i chuda, obca kobieta w pięknej sukni ślubnej i z kwiatami w zbyt obfitych włosach to jego żona. Na resztę życia.

- Nie - odparła. - Ja nie jestem chora, Freddie.

Popatrzył na nią. Ten temat powinien być omówiony przed nadejściem nocy. Teraz nadeszła odpowiednia pora, choć już kiedyś o tym mówili. O Boże, są już mężem i żoną! Dzisiaj jest dzień ich wesela i noc poślubna zbliżała się w zastraszającym tempie.

Co ci się właściwie stało? - zapytał. - I do jakiego stopnia zaszkodziło to twemu zdrowiu? - Oderwał się od kominka i podszedł do niej. Przyniósł sobie krzesło i usiadł.

- Przez wiele miesięcy byłam bardzo chora. Moja matka również. Po czterech miesiącach choroby umarła, a ja zaś przez cały czas pobytu z ojcem w Indiach byłam słaba i złożona chorobą połączoną z nawrotami gorączki. Po przyjeździe do Anglii powróciłam do zdrowia.

- Ale siły nie odzyskałaś - zauważył.

- Nie. Tato bardzo się obawiał, że mnie utraci. Byłam wszystkim, co mu pozostało. Wiem, że uwielbiał moją matkę i był do niej bardzo przywiązany, choć sama pamiętam ją jak przez mgłę. Zrobił wszystko, żebym nigdy nie przebywała w miejscach, gdzie mogłabym się nabawić jakiegokolwiek infekcji.

Było to dość dziwne uczucie, gdy na jego oczach obca osoba zmieniała się w kogoś bliższego. Miała smutne dzieciństwo. Ktoś kochał ją bezgranicznie. Ta pozbawiona urody, chuda kobieta, którą poślubił nie licząc się z jej przeżyciami, dla swego ojca była niegdyś największym skarbem na świecie.

- Czy jesteś sparaliżowana? - zapytał. Przebiegając wzrokiem po jej twarzy zauważył, że ma wysokie i delikatnie uformowane kości policzkowe. Mogłaby nawet być urocza, gdyby miała trochę więcej ciała i odrobinę rumieńców.

Klara pokręciła głową.

- Nie. Tylko całkowicie pozbawiona sił - odparła. - Ojciec nigdy nie pozwalał mi na żaden wysiłek ani na dłuższe przebywanie na świeżym powietrzu. Obawiał się, że może nastąpić nawrót choroby. Ale ja uważam, że to klimat w Indiach mi nie służył. O Boże! I co dalej?

- I nic cię nie boli? - zapytał.



- Nie. Miewam czasami dolegliwości, gdy zbyt długo siedzę lub leżę w jednej pozycji. Twoja żona, Freddie, nie jest chora. Jest tylko inna od ludzi, których ciało pracuje tak, jak sobie tego życzą. - Uśmiechnęła się do niego.

O Boże. A więc uzyskał odpowiedź. Sięgnął po jej rękę, przytrzymał chwilę w dłoniach, po czym uniósł i przycisnął do policzka.

- Tak się cieszę, kochanie - zapewnił, patrząc znacząco w jej oczy. - Gdybyś musiała cierpieć, cierpiałbym razem z tobą. Wyglądasz dzisiaj przepięknie. Nie zdążyłem ci jeszcze tego powiedzieć, prawda?

- Ty także wyglądasz wspaniale, Freddie.

Do salonu weszła gospodyni z wiadomością, że kolacja gotowa. Do Klary podszedł krzepki sługa.

- Robin zawsze zanosz mi do jadalni - wytłumaczyła jego obecność Klara.

Frederick wstał.

- Dziękuję, Robin. Jesteś już wolny. Dziś wieczorem ja zaniosę panią Sullivan. - Kiedy para służących opuściła salon, Freddie zwrócił się do Klary z uśmiechem: - Niewielu mężów ma okazję tak bardzo zbliżyć się do żony poza prywatnymi apartamentami.

Wziął ją na rękę. Klara objęła go za szyję. Ważyła tyle co nic. Boże, jest tak krucha jak delikatna porcelana. Nie ma się co dziwić, że człowiek, który tak bardzo ją kochał, bez przerwy drżał ze strachu o jej zdrowie i życie! Zaniósł ją do jadalni i posadził z boku stołu, tuż u szczytu, na krześle, które wskazała mu Klara. Jemu zaś poleciła zająć to samo miejsce u szczytu stołu, co podczas weselnego śniadania. Ona siedziała wówczas po przeciwnej stronie.

- Czy to zawsze było twoje miejsce? - zapytał.

- Zajmował je mój ojciec, dopóki nie umarł. Teraz należy do ciebie.

Podczas posiłku czarował ją, jak tylko potrafił. Opo-wiedział jej o Londynie, którego w ogóle nie знаła, a także parę zabawnych historyjek ze swej przeszłości - oczywiście tylko te odpowiednie dla ucha dobrze wychowanej kobiety. Obydwoje śmiali się i dobrze bawili.

Zastanawiał się, czy Klara jest w nim zakochana. W dniu oświadczeń wyznała, że nie jest jej obojętny, ale nic więcej. Zdawało mu się, że to było przed wiekami. Miał nadzieję, że go nie kocha, ponieważ za nic w świecie nie chciał jej skrzywdzić. Przeciwnie, pragnął okazywać jej względy tak dalece, na ile tylko będzie to możliwe. W gruncie rzeczy okazała mu wielką pomoc. Kiedy minie już to dziwne napięcie dnia ślubu i nocy poślubnej, ogarnie go wielka ulga, gdy wreszcie uświadomi sobie, że nie ma już żadnych długów. To będzie tak, jakby ktoś zdjął mu z pleców ogromny ciężar. A uczucie to będzie zawdzięczać Klarze.

Będzie dla niej dobry, ponieważ chce być dobry. Ponieważ jest jej to winien. Być

może to także w jakiś sposób uspokoi jego sumienie, ostatnio niemiłosiernie sponiewierane całą tą sprawą z Jule oraz oszukiwaniem Klary.

I musi być dla niej dobry. Rodzice wyraźnie tego oczekują. I musi udowodnić tej małej, zimnej jak lód panience z zaciśniętymi ustami, że nie jest wilkołakiem. A do tego jeszcze ten Archie! Oczywiście, nie powiedział ani słowa, ale wyraz jego oczu po ślubie - na pół rozbawiony, na pół współczujący - dał mu do zrozumienia, że Archie wszystko pojął w lot! Współczucie! Nie potrzebuje niczyjego współczucia. Współczucie dla niego oznacza zniewagę dla Klary.

Nikomu nie pozwoli znieważać Klary. To jego żona. Udowodni wszystkim, że potrafi dbać o żonę, nawet tak nieciekawą i chorą.

- Czy mam wezwać Robina, by zaniósł mnie z powrotem do bawialni? - zapytała, gdy skończyli kolację. - Tatę zazwyczaj zostawiałam samego, by mógł rozkoszować się kieliszkiem porto.

- Nie dzisiaj - odparł kładąc ręce na jej dłoniach i ściskając palce. - Dzisiaj jest dzień naszego ślubu.

Sam zaniósł Klarę do salonu i usiadł obok niej na sofie. Trzymał ją za rękę i opowiadał różne historyjki, o które się dopraszała, dopóki pauzy pomiędzy nimi nie stały się coraz dłuższe i dopóki nie wyczuł atmosfery napięcia. Wciąż było jeszcze dość wcześnie, ale przeżywanie męczarni jeszcze przez godzinę czy dwie nie miało żadnego sensu. Chciał to już mieć za sobą. Noc poślubna powinna być żarliwie wyczekiwana, zgoda, zwłaszcza gdy chodzi o kobietę, której jeszcze nie posiadał. Ale w tym przypadku nie chodziło o normalną noc poślubną.

- Czy chcesz, kochanie, bym cię zaniósł do twego pokoju? - zapytał delikatnie, gdy nie zareagowała na jedną z najśmieszniejszych opowiastek.

Gwałtownie odwróciła głowę i popatrzyła mu w oczy, ale się nie odezwała.

- Gdy już tam będziemy, przywołam pokojówkę, aby ci usłużyła - kontynuował. - Czy tak zazwyczaj to przebiega?

- Tak - powiedziała.

- Klaro.... - Uniósł jej dłoń do ust. - Muszę to wiedzieć. Czy pragniesz, aby to było normalne małżeństwo, moja miła, czy też wyłącznie formalne? Będzie tak, jak sobie zażyczysz. Nie chcę ci przysparzać żadnych zmartwień.

Chociaż raz rumieńce zagościły na jej policzkach. Cała stanęła w pąsach.

- Jestem twoją żoną, Freddie.

Poszukał wzrokiem jej oczu i pokiwał głową. A więc chciała tego. Nie poślubiła go

wyłącznie dla osiągnięcia statusu mężatki. A miał nadzieję... O Boże, miał nadzieję, że się w nim nie zakochała. Poczul się większym łajdakiem niż kiedykolwiek, jeśli w ogóle było to możliwe.

- A więc tej nocy zostaniesz w pełni moją żoną, kochana Klaro - zapewnił patrząc jej w oczy, po czym wstał, by ponownie wziąć ją na ręce. W żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić czulej nocy z tą kruchą i wiotką istotą. - Wreszcie nadszedł ten moment. Przez kilka ostatnich dni myślałem, że czas specjalnie się wlecze jak ślimak tylko po to, by mnie zameczyć.

Klara zarzuciła mu ręce na szyję i roześmiała się.

Kiedy pokojówka wyszła, leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit, próbując oddychać równo i powoli. Zastana-wiała się, jak długo będzie czekała. Kiedy Frederick usadził ją na krześle w jej gotowni i wezwał pokojówkę, powiedział, że pół godziny. Pół godziny. Chyba tyle już właśnie upłynęło.

Pomyślała, że nie powinna rozpuszczać włosów, ale zostawić je zaplecione. Było ich o wiele za dużo na poduszce, na ramionach i plecach. Ojciec nigdy nie po-zwolił ich obciąć. Być może uważał, że tak jak u biblijnego Samsona, resztkę sił Klary tkwi we włosach. Uśmiechnęła się na tę myśl. Powinna zostawić zaplecione warkocze, chociaż wyglądałyby bardzo młodzieńczo i dziewiczo.

Dziewiczo. Poczula falę gorąca na policzkach.

To będzie dziwne, gościć mężczyznę w tej sypialni. W tym łóżku. Była to jej sypialnia od czasu, gdy ojciec zaczął ją przywozić do Bath po powrocie z Indii.

Dzisiejszy dzień był cudowny. Nie spodziewała się, że cały dzień będzie tak cudowny, a nie jedynie sam moment ślubu. A jednak było wspaniale. Wszyscy byli tacy serdeczni i mili. Wszyscy sprawiali wrażenie autentycznie szczęśliwych z jej powodu. Lord Bellamy przywitał ją w swej rodzinie. Powiedział, że są dumni, iż stała się jej członkiem. Uwierzyła mu. A Lesley - kochany Lesley - powiedział, że ją lubi. Nazwał ją siostrą. Freddie był czarujący. Nawet wtedy gdy ceremonia się skończyła i wszyscy goście opuścili dom, on, choć mógł, nie zrzucił maski i nie zakończył całego tego udawania.

Bardzo dobrze bawiła się podczas kolacji, mimo chwili paniki, która ją ogarnęła, kiedy jego rodzice odmówili za - prośnienia i odeszli. Freddie był czarujący, zabawny i interesujący. Lubiała, gdy się śmiał. Był to radosny, zabawny śmiech.

Zastanawiała się, jak długo jeszcze Freddie będzie taki czarujący. Może do rana? Gdy małżeństwo zostanie już skonsumowane? Poczula dziwny skurcz żołądka.

Dał jej szansę uniknięcia tego wszystkiego. Być może uważał, że stan jej zdrowia

wyklucza możliwość normalnego życia małżeńskiego. Być może było mu to na rękę. Być może wcale sobie tego nie życzył. Ale ona nie zdołała oprzeć się pokusie. Przecież dlatego za niego wyszła. Trudno jej się do tego przyznać nawet przed własnym sercem. Z pewnością żadna dama nie przyznałaby się do tego. Ale ona nie wyszła za Freddiego tylko po to, by móc się nazwać mężatką. Poślubiła go, ponieważ go pragnęła. Ponieważ pragnęła mężczyzny. Silnego i męskiego.

Szczodrze zapłaciła za Freddiego. Dwadzieścia tysięcy funtów, a może w przyszłości nawet więcej. Być może Freddie przepuści nawet większość jej majątku, jeśli nie będzie umiała mu odmówić. Ale wiedziała, za co płaci. Właśnie o to chodzi. O to, co stanie się za chwilę. To samo czyni mężczyzna, gdy płaci fortunę za nadzwyczaj piękną kurtyzanę. Nie może oczekiwać, że Freddie stale będzie wobec niej taki czarujący ani że będzie nadal utrzymywał pozory, nazywając ją ukochaną. Nie oczekuje po nim przyjaźni ani tego, że będzie jej zawsze dotrzymywał towarzystwa. Tylko od czasu do czasu.

Tak, to wyznanie jest żenujące. Ale taka jest prawda, a Klara zbyt długo była zdana na przebywanie tylko we własnym towarzystwie, by nie wiedzieć, że tylko szczerść wobec siebie pozwoli jej żyć w komforcie psychicznym. Kupiła sobie urodę, siłę i męskość Freddiego.

Usłyszała pukanie do drzwi; wszedł, zanim Klara zdążyła się na tyle pozbierać, by zaprosić go do środka.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Czuł się tak, jakby czekało go całkiem nowe przeżycie. Bo to było nowe przeżycie. Wydawało mu się niemal, że jest prawnikiem, który nie wie, jak się zbliżyć do kobiety, co jej powiedzieć, co z nią robić. Nie wiedział dokładnie, czego Klara pragnie poza dopełnieniem aktu małżeństwa. Nigdy w życiu nie był z kobietą w okolicznościach, które choć trochę przypominałyby obecne.

Uśmiechnął się podchodząc do łóżka.

- Kiedy wyszedłem od ciebie, omal nie zgubiłem drogi do swego pokoju - powiedział.  
- Wszystkie drzwi wyglądają tak samo.

- Och! - Roześmiała się.

Kiedy się śmiała, wyglądała o wiele młodziej. Młodszy wygląd nadawały jej również rozpuszczone włosy. Były gęste, lśniące i zdrowe. Frederick przysiadł na skraju łóżka i okręcił sobie jeden splot wokół palców.

- Powinam je zostawić zaplecione.

- Nie - zaoponował. - Wyglądają pięknie, gdy są rozpuszczone.

Bo istotnie wyglądały czarująco. O wiele lepiej niż upięte na głowie. Patrzyła na niego uważnym, pytającym wzrokiem, a on uświadomił sobie, że żadne z minionych przeżyć nie przygotowało go do tej chwili. Wszystko było dla niego nowe: zbliżenie z kobietą, którą uważał za nieatrakcyjną. A do tego był jej winien uprzejmość i tro-skliwość. Czego ona oczekuje? Bardzo chciałby to wiedzieć.

Pochylił się i pocałował ją. Była ciepła i pozornie rozluźniona. Jej zamknięte usta zdrzały lekko pod jego wargami, gdy wzmacnił siłę pocałunku. Och, zaczęła odpowiadać na nie wypowiedziane pytania. Delikatnie odgarnął jej włosy z policzka, a palcami drugiej ręki obwiodł zarys brody, przesunął po ustach i nosie.

- Kochana moja - szepnął, ponownie składając pocałunek na jej wargach. - Jeśli zadam ci ból albo zrobię coś, co będzie dla ciebie nieprzyjemne, musisz mi natychmiast o tym powiedzieć, dobrze?

Ale ona znowu przycisnęła wargi do jego ust i położyła mu dłonie na ramionach, po czym objęła go za szyję. Poczuł palce Klary we włosach. A więc chce tego! Nie czyni tak z obowiązku ani z chęci uprawomocnienia małżeństwa, tylko naprawdę tego pragnie! W jej objęciu czuło się niespodziewaną i wstrzymywaną żądzę.

A więc niech się tak stanie. Da jej to, czego pragnie. Jest jej to winien.

Wstał, zdjął brokatowy szlafrok i obserwował jej wzrok, wędrujący po ciele okrytym jedynie nocną koszulą. O Boże, w tych oczach czaiło się pożądanie. Płomień. Z niejaką ulgą poczuł oznaki podniecenia. Sytuacja, gdy on był tak pożądany, a sam nie pożądał, miała w sobie coś lekko erotycznego. Odsunął koldrę, zdmuchnął jedyną świecę stojącą na stoliku nocnym i położył się obok Klary.

- Kochana - szepnął gładząc ją jedną ręką i nachylając się, by ponownie ją ucałować. Rozchylił wargi, zastanawiając się, jak zareaguje. Klara niemal natychmiast również rozchyliła usta pod naporem pocałunku. Były ciepłe i wilgotne. Miały wspaniały smak i cudowny zapach. Skóra i włosy Klary pachniały czystością i dobrym mydłem. Czuł jej palce błędzące po ramionach i karku.

- Freddie - szepnęła, gdy się przesunął, by ucałować jej oczy, skronie i szyję. Głos miała niski i lekko gardłowy.

A więc mimo wszystko kochanie się z nią nie będzie trudne. Była niedoświadczona, ale nie nieśmiała czy wstydliva. Miał jedynie nadzieję, że nie wyrządzi jej żadnej krzywdy, kiedy już się na niej położy. Przesunął lekko dłonią wzdłuż jej boku, wsunął pod plecy. Jaka ona szczupła! Przewrócił ją na bok, twarzą do siebie. Szczupła, ciepła i zaskakująco jędrna. I o wiele zgrabniejsza, niż przypuszczał. To dziwne, że nie zauważył tego wcześniej. Być może dlatego, że tak naprawdę nigdy nie patrzył na nią jak na kobietę, jak na obiekt pożądania.

Sprawdził dłońmi, czy nie zmyliło go pierwsze wrażenie; piersi Klary nie były duże, ale jędrne i foremne. Pieścił je przez delikatną bawełnianą materię koszuli nocnej i przycisnął kciuk do twardniejącego czubka.

- Mmmm... - westchnął, szukając wargami jej ust; tym razem miała je rozchylone. Delikatnie przesunął koniuszkiem języka po górnej wardze, smakując ją od wewnątrz. - Pięknie! - Był już bardzo podniecony. Okazało się, że to wcale nie było niemożliwe. Nawet nie trudne. Ogarnęła go niewymowna wdzięczność. Usta Klary, jej ręce i ciało mówiły mu, że dziewczyna go pragnie. Cieszył się, że będzie w stanie dać jej rozkosz.

Wyprostował rękę, uchwycił brzeg koszuli nocnej i podciągnął ją do góry. Zamierzał podnieść ją tylko do bioder, ale Klara nie stawiała żadnego oporu, nie krygowała się wcale. Podciągnął więc tkaninę do talii, potem do biustu, a wtedy ona podniosła ręce; ściągnął więc z niej koszulę całkowicie i odrzucił na bok za łóżko. I nagle, ku wielkiemu zaskoczeniu - całkiem przyjemnemu - poczuł, jak Klara ściąga jego koszulę. Pomógł jej i odrzucił zbędne odzienie na podłogę.

Nogi miała tak samo szczupłe jak ręce i całe ciało. Wyczuwał żebra pod błędzącą po

jej ciele dłonią, ale skóra była ciepła i jedwabista, a piersi nabrzmiały od pożądania. Usta domagały się pocałunków, więc spełniał to pragnienie, błędząc po wargach, mocniej przywierając, wsuwając język do środka. Klara jedną ręką pieściła pierś, drugą przesuwając po plecach Freddiego.

Pomyślał, że już czas. Była gotowa, a i on w pewien sposób się do niej przekonał i zaczął jej pragnąć. Być może było to związane ze współczuciem i wdzięcznością za to, co nieświadomie dla niego uczyniła. Zresztą obojętnie, jaki był po temu powód, nie zmieniał faktu, że on także był gotów. Gotów, by dać jej rozkosz. I pełen lęku, by jej nie skrzywdzić. Sprawiała wrażenie tak kruchej i tak bardzo wiotkiej, kiedy odwrócił ją na plecy i się na nią wsunął.

- Kochana - wymruczał w trakcie pocałunku. - Nie chcę cię skrzywdzić. Ale obawiam się, że będę musiał. Przez chwilkę będzie bolało, ale bardzo króciutko. Zaledwie chwilę. Czy nie jestem dla ciebie za ciężki? - Mógłby ją ułożyć na sobie, ale nie utrzymałaby się nad nim na kolanach.

- Nie - szepnęła. - Nie, Freddie. - Po czym jęknęła cicho.

Mała. Ciepła. Dziewicza. Nie zbadana ścieżka. Nagle bariera. Nie można jej skrzywdzić! Trącał ją delikatnie, choć instynkt nakazywał mu pchnąć mocno. I nagle bariera ustąpiła. Klara wydała w tym momencie prawie niesłyszalny jęk, a on zagłębił się cały w jej gorącym i wilgotnym wnętrzu. W kobiecie. Z niejakim zaskoczeniem skonstatował, że Klara jest taką samą kobietą, jak najbar-dziej lubieżna ze znanych mu kurtyzan.

Obawiał się, że jest dla niej zbyt ciężki. Obawiał się, że będzie odczuwała ból w nogach, które tak szeroko rozwierał udami. Uniósł się na łokciach i popatrzył na nią. Leżała z zamkniętymi oczami, usta miała lekko rozchylone. O Boże, jej to sprawia przyjemność! Wygląda tak, jakby za chwilę miała przeżyć moment ekstazy! Poczul nagły i niespodziewany przypływ czułości. Klara otworzyła oczy. W półmroku sprawiały wrażenie ogromnych i zamglonych.

- Czy sprawiam ci ból, kochanie? - zapytał.

Pokręciła głową i przyciągnęła go do siebie.

Rozpoczął więc powolną wędrówkę, wsuwając się i wysuwając na przemian, dopóki nie nabrał pewności, że nie sprawia jej bólu, po czym poruszał się w szybszym, równym rytmie. Czynił coś, czego nie robił nigdy przedtem. Od wielu lat, od czasu gdy nabrał pewnej praktyki, szczylił się zarówno czerpaniem przyjemności, jak i daniem jej kobiecie. Ale nigdy nie koncentrował się bardziej na dawaniu niż braniu. Teraz było inaczej - nie dbał o własną przyjemność, którą osiągnąłby przecież jak najszybciej uwalniając nasienie, czym

udokumentowałby spełnienie małżeństwa.

Pracował nad sprawieniem przyjemności żonie, pieszcząc ją, dopóki się całkowicie nie rozluźniła i dostosowała do jego rytmu, powoli zwiększając szybkość i głębokość pchnięć; wykorzystywał doświadczenie pozwalające mu doprowadzić ją do szczytu rozkoszy, przyciskając jej pośladki i trzymając mocno, póki ostatecznie nie zagłębił się w niej głęboko, raz, drugi i trzeci, aż wreszcie wezbrane napięcie wstrząsnęło nią i opuściło wraz z długim, przeciągłym jękiem rozkoszy. Został w niej, dopóki się nie rozluźniła, szybko sam osiągnął szczyt, po czym zsunął się z niej i położył obok.

Klara odwróciła głowę i przytuliła policzek do jego ramienia. Zobaczył, że oczy ma zamknięte, a na ustach leciutki uśmiech. Uśmiech zaspokojonej kobiety. Widywał taki uśmiech na obliczach kurtyzan i dziwek, które brał do łóżka. W owym uśmiechu na tej właśnie twarzy było coś dziwnie wzruszającego. Na twarzy jego żony. Znowu pomyślał, że taka sama z niej kobieta jak one. To nie jej wina, że wygląda mniej ponętnie. A przecież pod kołdrą okazywała nie mniejsze pożądanie od tamtych, a jej pragnienie na swój sposób mu schlebiało.

- Cóż - powiedział w końcu cicho, tuż przy jej uchu. Pocałował delikatnie jej usta i policzek. - Teraz, Klaro, już pod każdym względem jesteś panią Frederickową Sullivan. Na całe życie. Żałujesz?

Klara szybko otworzyła oczy.

- Nie, Freddie - zapewniła go. - Wcale. A ty? Znowu ją pocałował.

- Kocham cię, moja miła. - Chciał, żeby to była prawda. Tak bardzo próbował w to uwierzyć, jak tylko było to możliwe. Pragnął, by była szczęśliwa. Uczynienie jej szczęśliwą stało się jednym z głównych celów jego życia.

Klara przymknęła oczy, westchnęła i zapadła w sen. Uświadomił sobie, że nie odpowiedziała na jego wyznanie.

Frederick nie wrócił do swego pokoju. To była jej pierwsza myśl po przebudzeniu. Obawiała się w duchu, że ją opuści. O ile się orientowała, to większość mężów i żon sypia w oddzielnych sypialniach. Ale Frederick nadal leżał obok. Co prawda nie obejmował jej, ale policzek Klary był przyciśnięty do jego ramienia; czuła wspaniałe męskie ciało.

Naga męskość. Nagle przypomniała sobie, jak rozbierali się wzajemnie, swój wstrząs i zaciekawienie. O dziwo, nie czuła ani strachu, ani zakłopotania. Jedynie poryw unie - sieni i zachwyty nad umięśnionymi ramionami Freddiego i niemal obezwładniające pożądanie oraz pragnienie, by ją posiadał.

W tym momencie niemal uwierzyła, że go kocha, że pożądanie, pragnienie, jakie



budzi jego dotyk, obejmuje całego Freddiego, nie tylko jego ciało. Kilka razy nawet wyszeptala jego imię. I naprawdę - myślała teraz próbując się usprawiedliwić - to, co czuła, nie ograniczało się wyłącznie do wrażeń zmysłowych. Nie miała wątpliwości, że to oszałamiające uczucie rozkoszy zawdzięcza Freddie - mu. Nie jakimś tam mężczyźnie, ale właśnie Freddiemu. Cudownemu ciału Freddiego.

A więc nie Freddiemu, tylko jego ciału? Odwróciła głowę, by dotknąć jego ramienia ustami. Pachniał przyjemnie, mieszaniną mydła i potu. Ale w zapachu jego potu nie było nic nieprzyjemnego, był przesycony męskością i seksem. Przywodził na myśl chwile, w których powstawał.

Rzecz jasna, że w uwielbieniu męskiego ciała, a nie tkwiącego w nim mężczyzny jest coś niestosownego. Tak' chyba czują się mężczyźni z dziwkami. Czy doprawdy nie ma nic więcej w jej uczuciach do męża? Gardziła nim, gardziła jego decyzją o poślubieniu jej dla pieniędzy i udawaniu, że istnieją inne motywy. Wolałaby, by nie nazywał jej ukochaną czy najdroższą. Wolałaby, żeby nie mówił, że ją kocha.

A jednak tak naprawdę nie pogardza nim. Była mu wdzięczna; budził w niej rodzaj czułości. Mimo braku doświadczenia wiedziała, że mogło być inaczej. Zdawała sobie sprawę, że postanowił sprawić, jej rozkosz i w tym celu wykorzystał całe swoje doświadczenie i umiejętności. A przecież nie musiał. W gruncie rzeczy nawet się tego po nim nie spodziewała. Podejrzewała, że będzie zmuszona do łapczywego poszukiwania i wychwytywania wszelkich możliwych momentów rozkoszy.

Ale on sam jej to dał. Być może było to coś w rodzaju prezentu ślubnego. Wspaniałego prezentu. Podejrzewała, że samo dotykanie nagiego ciała Freddiego sprawi jej rozkosz. Posiadanie tego piękna i siły, na sobie, w sobie, było ukoronowaniem wszystkich wspaniałości. Nie przy-puszczala, że rozkosz zrodzi się w niej, że poruszy jej ciało do głębi, sprawiając ból, pulsowanie i żarliwe pragnienie. Nie przypuszczała, że odczucia te zostaną na koniec uwieńczone cudownym przypiływem fali ukojenia i czystego szczęścia. No, nie na sam koniec. Prawie. To jeszcze jeden plus dla niego. Kiedy już się po wszystkim zrelaksowała, niemal zatopiona w szczęściu, poczuła w sobie ciepły strumień jego nasienia.

Zapytał ją, czy nie żałuje. Nie żalowała. Boże dopomóż, ale dla takiego uczucia mogłaby oddać życie. Czuła się jak prawdziwa kobieta - ciepła, pożądana i piękna. Co za głupia myśl. Z pewnością zresztą nie ostatnia. Nawet dla tak niedoświadczonej kobiety jak ona umiejętności i praktyka Freddiego w tym względzie były oczywiste. I nie ulega wątpliwości, że Frederickowi nie wystarczy tylko to do końca życia. Zdecydowanie nie dopuszczała do siebie myśli, że to, co między nimi zaszło, mógł uznać za zgoła nieprzyjemne.

Cóż, z pewnością będzie musiała się nim dzielić z innymi kobietami. Wieloma innymi kobietami. Nie może pozwolić, by ta myśl zaczęła jej sprawiać ból. Przecież w końcu nie jest w nim zakochana.

Nie, niczego nie żałuje. Jeśli czekają ją od czasu do czasu takie noce jak ta, to w gruncie rzeczy będzie zadowolona z życia, tak jak była do tej pory. Teraz już za późno na marzenia o miłości. Zawsze było za późno. Nigdy nie należała do tego typu kobiet, które wzbudzają miłość u mężczyzn, a okoliczności i wydarzenia w jej życiu udaremniały nadzieje na znalezienie choćby zadowalającego związku.

Ten jest zadowalający. I to jej wystarczy.

- Nie możesz spać, kochanie? - Przestraszyła się słysząc jego głos. Nie zdawała sobie sprawy, że Frederick się obudził. - Czy będzie ci wygodniej, jeśli wrócę do swego pokoju? Chyba zasnąłem.

- Właśnie się obudziłam - odpowiedziała. - I bardzo mi wygodnie. Dziękuję, Freddie.

Przewrócił się na bok i wsunął ramię pod jej głowę. Pocałował ją. Klara do tej pory nie miała pojęcia o całowaniu się, ale te intymne pocałunki bardzo jej się spodobały.

- Boli cię? - zapytał Frederick.

Natychmiast zrozumiała, o co ją zapytał. Tak, bolało. Bolało przyjemnie, i teraz, w reakcji na jego pytanie, poczuła pulsowanie w obolałym miejscu.

- Nie - odpowiedziała. I nagle poczuła tam jego dłoń. Na moment zeszywniała, ale on ponownie przykrył jej usta pocałunkiem i delikatnie pieścił ją dłonią, zataczając delikatne kręgi wokół wrażliwej okolicy, masując ją i gładząc. Łagodnie wsunął w nią palec, potem drugi. Poczwała, jak pulsują jej skronie.

- Przyjemnie ci, kochanie? - zapytał szeptem.

- Tak. - Znowu napłynęło to omdlewające uczucie.

- Nie czujesz bólu? Tam, gdzie jej dotykał, czuła pulsujący ból. Czuła go także w piersiach i w gardle. Oraz na ustach.

- Nie. - Przesunęła dłonią po jego ręce, od nadgarstka do barku. Była twarda jak skała i pokryta delikatnymi włoskami. - Freddie!

Nie spodziewała się, że będzie to chciał zrobić jeszcze raz. Nawet o tym nie marzyła. Ale on znowu był na niej i znowu w niej. Była naprawdę obolała. Bardzo obolała.

Sprawił jej taki ból, że musiała zagryzać wargi. Jednak wewnętrzne napięcie było silniejsze od bólu, pulsujące, wstrząsające całym ciałem, ogłuszające. Ulga nadeszła niemal natychmiast. I tak jak poprzednio, Frederick odczekał, aż minie jej drżenie, i zrobił to samo co przedtem - wsuwał się głęboko, częściowo wysuwał i znowu wsuwał do środka. Klara

leżała spokojnie i rozkoszowała się tym mimo narastającego bólu.

To właśnie Freddie, powtarzała sobie w duchu, gdy nadal się z nią kochał. Otoczyła go ramionami i serdecznie przytuliła. To ten czarujący, przystojny oszust, którego rozszyfrowała od pierwszego wejrzenia, gdy został jej przedstawiony w sali koncertowej pokojów wyczyńko-wych. To on teraz kocha się z nią w zamian za posag w wysokości dwudziestu tysięcy funtów. Zastanawiała się, czy Freddie już pożałował swej decyzji bądź czy jej pożałuje, gdy sobie uświadomi, że perspektywa spędzenia z nią całego życia staje się nie do zniesienia.

A jednak nic go przecież nie zmuszało do pozostania z nią w łóżku po skonsumowaniu małżeństwa. Nie był także zmuszony do zrobienia tego jeszcze raz.

Kiedy głęboko westchnął i przestał się poruszać, przytuliła policzek do jego ramienia. Być może zdolają się polubić, jeśli będzie im na tym zależało? W każdym razie najważniejsze jest, żeby się nie czuł złapany w bezwzględną pułapkę, do której zagnały go nie spłacone długi. I żeby ona, pragnąc mieć dla siebie urodę, zdrowie i siłę Freddiego, nie miała wyrzutów sumienia z powodu swej lubieżności i egocentryzmu.

Frederick uniósł się i położył u boku Klary, ale w dalszym ciągu obejmował ją jedną ręką. Pocałował ją, przysunął do siebie i ułożył wygodnie, po czym okrył kołdrą jej nagie ramiona. Tym razem nic nie powiedział i prawie natychmiast pogrążył się we śnie.

Była szczęśliwa, że nie wyznał jej znowu miłości.

Była szczęśliwa, że w dalszym ciągu nie miał zamiaru wracać do swego pokoju.

Cicho westchnęła z senną satysfakcją.

Lord i lady Bellamy zjawili się nazajutrz wcześniej, jeszcze przed śniadaniem, żeby pożegnać się z synem i nową synową przed ich podróżą do Kentu. Zasiadli wspólnie do śniadania, tak więc młoda para nie miała okazji do prywatnej rozmowy. Freddie uznał, że żona ma dobry gust. Znalazło się coś, co mógł uznać za zaletę. Jej jasnyniebieska suknia podróżna wyróżniała się elegancją i była bardzo twarzowa.

Podczas śniadania matka Freddiego przyglądała się młodej parze z zaciekawieniem. Podejrzewał, że próbowała odgadnąć, czy małżeński obowiązek został spełniony. Popatrzył na Klarę. Czy da się to w jakiś sposób odczytać? Czyżby na jej policzkach pojawił się rumieniec, czy też jest to tylko odbłask ozdabiających stół kwiatów, które zostały z wczorajszej uroczystości? Czy w jej oczach pojawił się blask, czy też jest on wyłącznie tworem jego wyobraźni? Klara opowiadała o Ebury Court, posiadłości zakupionej przez jej ojca po powrocie z Indii, i o domu zbudowanym tam przez niego na miejscu dworu w stylu Tudorów, który poprzedni właściciele doprowadzili do ruiny.

A może to w jego twarzy było coś, co pozwalało matce wyciągnąć odpowiednie wnioski? Wydawało się to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę fakt, że od jakichś siedmiu, ośmiu lat dość regularnie sypiał z kobietami. A do tego wszystkiego matka jeszcze wpadła na pomysł, by go poprosić o chwilę rozmowy po śniadaniu. Wykorzystała moment, gdy ojciec wypytywał Klarę o jej pobyt w Indiach.

- Freddie - zaczęła baronowa biorąc syna pod rękę i przyciskając mocno do boku. - Wszystko się dobrze ułoży. Od razu tak powiedziałam tacie, gdy tylko obwieściłeś nam tę radosną nowinę. Nie interesuje mnie, jaka jest prawda o tych idiotycznych długach; choć mam nadzieję, mój drogi, że tym razem dostałeś nauczkę. Nie dbam także o to, że Klara nie należy do skończonych piękności, choć takiego wyboru mogłabym się po tobie spodziewać, ani o to, że nie może chodzić. Dzisiaj rano zobaczyłam, że jesteście sobie bliscy, i to jest w tym wszystkim najważniejsze. Ona jest ci bliska, prawda, Freddie?

Frederick poklepał ją po dłoni.

- Ja ją kocham, mam - zapewnił. Matka westchnęła.

- W każdym razie cieszę się, że nie ożeniłeś się z Julią. Wiem, że zawsze się lubiliście, ale uważałam, że jest to uczucie bardziej braterskie niż innego rodzaju. Nie byłś rozczarowany, gdy wybrała Daniela, a nie ciebie, skarbie?

- Nawet gdybym był, mam, to szybko bym się z tego otrząsnął. A gdybym się ożenił z Julią, to nigdy bym nie poznał Klary i nie zakochał się w niej, prawda?

- Najprawdziwsza prawda. A Julia sprawia wrażenie nadzwyczaj szczęśliwej z Danielem. On zresztą także, choć mało kto mógłby się tego spodziewać. Nigdy nie przejawiał szczególnego zainteresowania Julią, więc oświadczenie o ich zaręczynach bardzo nas zaskoczyło. Choć właściwie to on nas powiadomił, bo kochana Julia tak to wymruczała, że nikt nie usłyszał i nie zrozumiał, co powiedziała.

Frederick pomyślał, że jest chyba jedyną osobą, która nie została zaskoczona tym oświadczeniem. Widział już wcześniej, na co się zanosi, i dlatego zrobił to, co zrobił. Ale nie chciał teraz o tym myśleć.

Ojciec Fredericka nie dał się tak łatwo zbyć jak matka.

- Cóż, Freddie - zaczął wyciągając rękę do syna, gdy baronowa zęgnęła się z Klarą. - Poczekamy i zobaczymy, co poczniesz z tym małżeństwem. Inwalidztwo twojej żony utrudni ci życie i uświadomi w pełni skutki tej decyzji. A jest to rozsądna kobieta i ma klasę. Sądzę, że zasługuje na więcej, niż otrzymuje. Chyba że się mylę. Mam nadzieję, że mnie zaskoczysz, synu.

Frederick ujął ojca za rękę i popatrzył mu w oczy.

- Kocham ją, tato - powiedział i prawie uwierzył we własne słowa. Klara pragnęła go tej nocy, dwukrotnie, a jego ogarnęła dziwna tkliwość i czułość wobec tego oddania. To jego żona. Będzie o nią dbał. Fredericka irytowało nawet powątpiewanie w jego dobre chęci. - Będę dbał o to, by w pełni na nią zasługiwać, ojczy. Przekonasz się.

Ojciec serdecznie potrząsnął jego dłonią.

- Najwyższy czas, byś ty także zaczął się zbierać do drogi - poradził mu. - Twoja matka przeplakałaby cały dzień z twoją żoną, gdybyś na to pozwolił. - Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

Frederick zaniósł żonę do czekającego powozu, po czym ruszyli w drogę wyprzedzając drugi powóz, którym jechała pokojówka, służący, lokaj Fredericka oraz cały bagaż. Klara ze łzami w oczach machała na pożegnanie teściowej; baronowej łzy otwarcie spływały po policzkach.

- Oni są tacy mili. - Klara uśmiechnęła się w końcu do męża. - Wiesz, Freddie, czuję się tak, jakbym znowu miała rodziców.

- Bo ich masz - odparł biorąc ją za rękę. - Oboje są zdania, że spotkało mnie wielkie szczęście. Większe, niż zasługuję. Czy bardzo brak ci twoich rodziców, kochanie?

- Zwłaszcza wczoraj mi ich brakowało. I może trochę dziś rano. Chciałam, żeby tato był z nami.

- Opowiedz mi o nim - poprosił.

Rozmawiali przez całą drogę do Kentu. Było to coś, co zaskoczyło Fredericka, który właściwie nigdy dotąd nie rozmawiał poważnie z kobietami. Były dla niego jedynie celem samym w sobie, nie mającym nic wspólnego z konwersacją. Z całą pewnością nie podejrzewał się o zdolność do długich rozmów z tą cichą, godną szacunku i z pewnością nudną panną Klarą Danford. Panią Klarą Sullivan, poprawił się w duchu. Ale nie uległo wątpliwości, że lubiła i umiała opowiadać o swoim ojcu oraz o ich życiu w Indiach i w Anglii. I z przyjemnością słuchała opowieści o jego rodzinie - o ciotkach, wujach i kuzynach, którzy zawsze zjeżdżali się na lato do Primrose Park, domu wuja Freddiego, hrabiego Beaconswood. Zmarłego hrabiego. Dan przed paroma miesiącami odziedziczył tytuł.

Frederick nie spodziewał się, że żona będzie rozumiała i podzielała jego poczucie humoru. A jednak okazała to wczorajszego wieczoru, tak samo jak podczas tej podróży. Chichotała i niejednokrotnie wybuchała głośnym śmiechem, słuchając jego opowiastek o psotach z dzieciństwa - zazwyczaj popełnianych wraz z Danem.

- Nie wiedziałam, że posiadasz aż tak liczną rodzinę - powiedziała. - Sądziłam, że oprócz ciebie i rodziców jest jeszcze tylko Lesley. To musi być cudowne, czuć się członkiem

tak dużej, żytej ze sobą rodziny. - Jej głos był pełen tęsknego smutku.

- Teraz to także twoja rodzina, kochanie - zapewnił, unosząc jej dłoń do ust. - Weźmiesz udział w następnym zjeździe rodzinnym.

Był ciekaw, czy Dan i Jule będą kontynuowali zwyczaj zapraszania całej rodziny na lato. Primrose Park w zasadzie należy do Jule; Dan ofiarował go jej w prezencie ślubnym, o czym Frederick dowiedział się od matki. Ale jeśli nawet tak będzie, Freddie nie będzie mógł się do nich przyłączyć. Jeżeli kiedykolwiek zdecyduje się spojrzeć tym dwojgu w oczy, to na pewno nie tak prędko. Szkoda, naprawdę szkoda. Jednym aktem rozpaczliwej głupoty odciął się od własnej przeszłości i od dwojga najmielszych przyjaciół.

- Co się stało? - spytała Klara zaglądając mu w oczy.

- Nic. Przypomniałem sobie śmierć wuja przed kilkoma miesiącami. Trzeba ci wiedzieć, że był to człowiek trochę ekscentryczny. W testamencie nakazał, abyśmy natychmiast zrezygnowali z żałoby.

- Noszenie czarnej garderoby przez cały rok jest dość uciążliwe - zauważyła. - Wolałabym oplakiwać i wspo-minać tatę w myślach niż być zmuszoną pamiętać o nim w tak smutny sposób. Nie cierpię czerni. Miałaś szczęście w tym względzie, Freddie.

Nagle przechylił się i pocałował Klarę w usta, co wpra-wiło ją w zdumienie nie mniej niż jego. Miał szczęście; mógł teraz jechać z zimną i kwaśną, obcą kobietą.

- Kocham cię - powiedział.

Klara leciutko się uśmiechnęła i odwróciła do okna.

Była to przyjemna podróż, nudę rozpraszała konwersa-cja. Podczas okazjonalnych postojów Frederick wynosił żonę z powozu, odrzucając pomoc służącego. Klara była lekka jak piórko.

- A poza tym - mruknął jej do ucha za pierwszym razem, gdy odesłał sługę - daje mi to okazję do obejmo-wania cię w miejscu publicznym, Klaro. W takich miej-scach większość mężczyzn nie ważyłaby się na więcej niż muśnięcie końcami palców łokcia damy, nawet gdy chodzi o własną żonę.

Klara spojrzała mu w oczy obejmując go za szyję i wybuchnęła śmiechem.

- Jakie głupstwa mówisz czasami, Freddie. Czy ty nigdy nie bywasz poważny?

- Czasami - odparł patrząc jej w oczy tym swoim uwodzicielskim spojrzeniem, rozmiękczającym kobiece serca. - Zwłaszcza gdy jestem zajęty sprawami, które nie wymagają słów.

W oczach Klary zabłysło zrozumienie, a na policzkach zakwitł rumieniec.

- Posadź mnie - poprosiła. - Stoisz przed tym fotelem już od dwóch minut, Freddie.

Posadź mnie.

Frederick roześmiał się i jeszcze chwilę przytrzymał ją na rękach, po czym umieścił na fotelu i kazał właścicielowi gospody przynieść herbatę.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z radością obserwowała jego twarz, kiedy zbliżali się do Ebury Court. Pofalowane łąki, rozpościerające się na długości trzech mil po obu stronach krętej drogi dojazdowej, urozmaicały rozrzucone tu i tam drzewa. Klara zawsze myślała, że jazda konno przez te trzy mile, kiedy pod sobą czuje się szybkość i siłę, a na twarzy powiew wiatru, musi być kwintesencją radości i poczucia wolności. Sama jednak nigdy tak nie jechała.

Ucieszyła ją reakcja Fredericka na widok klasycznej symetrii domu, wraz z jego kolumnowym portalem i marmurowymi schodami. Ojciec miał dobry gust i nie wykorzystał swego wielkiego bogactwa z trywialną ostentacją. Było to piękne i stateczne domostwo, chociaż nie stare.

- Właściwie - odezwał się Frederick - wyobrażałem sobie dworek skromnych rozmiarów umieszczony na kilku akrach. To jest wspaniałe, Klaro.

- Uwielbiam tę posiadłość ponad wszystko. I po tylu latach spędzonych w Indiach, była dla mnie uosobieniem go, co angielskie. Często siadywałam w oknie i napawałam się widokiem zielonej trawy i drzew. Zawsze byłam egoistycznie zadowolona, że ojciec nie ma synów, więc to wszystko będzie należało do mnie. Muszę jednak przyznać, że cena była wysoka. Chciałabym rosnąć w towarzystwie braci i sióstr.

Przeniósł ją po marmurowych schodach do wielkiego hallu, gdzie panowało zamieszanie oraz trochę śmiechu, gdy próbowano ją umieścić na wózku inwalidzkim, a ona wolała zostać z Frederickiem podczas witania służby. Klara chciała także osobiście pokazać mu wielki salon z połączanymi fryzami i plafonem, na którym namalowano sceny z mitologii. Chciała mu pokazać olbrzymią jadalnię i sale bankietowe. Sama dość rzadko je widywała; większość życia spędziła w salonach na piętrze lub we własnych pokojach na drugim piętrze. Tak bardzo chciałaby chodzić razem z Freddie, trzymając go pod rękę!

Po podróży oboje byli zmęczeni, więc krótko zabawili na parterze, jednak Klara zdołała się nacieszyć podziwem, jaki Frederick okazał swemu nowemu domowi. To bardzo wiele dla niej znaczyło.

- Jeśli pogoda się utrzyma, spędzimy jutro dzień na dworze - powiedział, gdy popijali w bawialni herbatę. - Pokażesz mi dokładnie cały park, kochanie.

Roześmiała się miękko, ale przemówiła poważniejszym i smutniejszym tonem.

- Mogę ci pokazać tylko to, co widać z tarasu, Freddie. Zapomniałeś już, że nie mogę chodzić?



- A więc weźmiemy bryczkę. I zobaczymy to, co widać ze ścieżek.

- Nie mamy tu bryczki - poinformowała go. - Tato zawsze się bał, że się przeziębę.

Frederick popatrzył na nią uważnie.

- Nawet w lecie? - zdziwił się.

- Po pobycie w Indiach tutaj zawsze wydawało się, że jest chłodno - wytłumaczyła. - Ojciec wciąż się obawiał, że znowu zachoruję. Czasami udawało mi się go przekonać, by pozwolił Harriet poprowadzić mój wózek wzdłuż tarasu, ale tylko wtedy, gdy było ciepło i nic nie zapowiadało najłżejszego nawet wiatru. I tylko wtedy, gdy miałam kolana okryte kocem, a wokół ramion owinięty szal. Nadal przyglądał się jej uważnie i bez słowa.

- Czasami życie musiało być dla ciebie nie do zniesienia - powiedział w końcu. - Nigdy się nie buntowałaś?

Wyłącznie roniąc w zaciszu sypialni gorące łzy.

- Kochałam ojca. I szanowałam jego opinie i polecenia. Freddie, w stajni mamy konie. Jutro rano możesz pojechać konno i sam wszystko obejrzeć. A potem, gdy wrócisz, możesz mi wszystko opowiedzieć. Jestem żarliwą słuchaczką.

- Czy mają w stajni damskie siodła? - zapytał.

- Tak. Czasami jeździ Harriet oraz różne goszczące tu damy.

- A więc ty także jutro pojedziesz - zawyrokował. - Z pewnością znajdzie się jeden lub dwa konie na tyle mocne, by unieść nas oboje. Ty przecież prawie nic nie ważysz. Umieszczę cię na damskim siodle, a sam siądę tuż za tobą. Obejrzyś sobie ten zakątek, który tak bardzo kochasz.

- Freddie! - Wpatrywała się w niego i śmiała w głos. Zatęskniła w duszy za tym szalonym, niedorzecznym wyskokiem. - Ja nie mogę jeździć konno. Spadłabym. To zwariowany pomysł!

- Powinnaś o tym porozmawiać z moimi kuzynami. Nigdy mi nie zbywało na zwariowanych pomysłach, a większość z nich wcielałam w życie. - Uśmiechnął się do niej. - Jesteś podszyta tchórzem, Klaro? Boisz się zaryzykować? Wiesz przecież, że nie pozwolę ci upaść. Masz na to moje słowo.

Bała się. Była przerażona! Serce waliło jej ze strachu - i z podniecenia! Nie, to niemożliwe. To wręcz niewyobrażalne. Ojciec nigdy nie pozwalał jej jeździć, nawet w otwartym powozie. Ale oczy Freddiego uśmiechały się do niej, ośmielały.

- Może przecież padać - zaoponowała. Frederick roześmiał się.

- Ale jeśli nie będzie, to pojedziesz? - zapytał. Nie miała stroju do konnej jazdy.

- Nie mam się w co ubrać - powiedziała.

- Suknia podróżna będzie w sam raz - zapewnił ją. - Kochanie, oszczędź sobie wymówek na resztę wieczoru. Na każdą znajdę odpowiedź. Mam płodny umysł.

Dlaczego tak się upierał? Dlaczego w ogóle o niej pomyślał? Czy nie była mu miła myśl o spędzeniu kilku godzin bez jej towarzystwa? Nie spodziewała się przecież, że Freddie będzie spędzał z nią większość czasu, nawet podczas ich miodowego miesiąca. Jej własny ojciec, który kochał ją ponad życie, jak jej się zdawało, nigdy tego nie czynił. Spędzanie wielu godzin z kaleką było nudne i przygnębiające. Klara bardzo często współczuła Harriet i wymyślała dla niej preteksty do uwolnienia się od tego obowiązku.

- O czym myślisz? - zapytał Frederick odstawiając na stolik filiżankę i talerzyk, po czym przysunął się do Klary, by dotknąć jej dłoni. - Przecież chcesz pojechać, prawda?

- Och, Freddie, pragnę tego nade wszystko. - Przygryzła wargę czując gwałtowny napływ łez. Być może to wcale nie taki dobry pomysł, by wnieść trochę życia w jej szarą egzystencję. To mogłoby się jej spodobać, a wtedy pragnęłaby coraz więcej i więcej i nigdy już nie byłaby zadowolona ani pogodzona z tym, co ma, i z tym, kim jest.

Ale z drugiej strony, właściwie nigdy nie była szczęśliwa. Uczyła się cierpliwości, ale nigdy nie była szczęśliwa. Nigdy.

- No to pojedziesz, kochanie - postanowił Frederick.

- I będziesz miała dla siebie otwarty powozik, będziesz przesiadywać na świeżym powietrzu, ile tylko zechcesz, nawet na wietrze. A gdy tylko się przeziębisz albo ja zachoruję, to cóż, wezwiemy wtedy lekarza, i już.

- Och, Freddie! - zawołała ze śmiechem. - To takie niedbałe podejście do życia. Bardzo mi się to podoba!

Frederick wstał, pochylił się i pocałował ją.

- Kocham cię - powiedział. - Dojrzałaś już do pójścia do łóżka? Mam cię zanieść do twego pokoju?

- Tak, Freddie, proszę. - Kiwnęła głową, ale wolałaby, aby Frederick nie psuł przyjaznego nastroju składaniem fałszywych wyznań. To było zupełnie niepotrzebne.

- Czy będę mógł cię później odwiedzić? - Patrzył na nią tymi swoimi oczami w taki sposób, że miała pewność, iż większości kobiet w takiej chwili ugięłyby się kolana. Nawet jej zabrakło tchu w piersi. - Czy może chcesz zostać sama po tak długiej i męczącej podróży?

Zadrzała na samą myśl o tym, co może się zdarzyć między nimi za chwilę; pogłaskała męża po policzku.

- Wolałabym nie zostawać sama, Freddie - odparła. Uśmiechnął się patrząc jej głęboko w oczy.

- Czuję dokładnie to samo - zapewnił ją pochylając się, by wziąć ją na rękę.

Objęła go za szyję i oparła policzek na ramieniu. Zastanawiała się, jak bardzo Frederick liczył na inną odpowiedź. A przecież patrzył na nią tak uwodzicielsko! I wczoraj został z nią przez całą noc i kochał się z nią drugi raz! Pomyślała, że w gruncie rzeczy niełatwo go zrozumieć. Spodziewała się, że nie będzie to wcale takie trudne, a jednak stało się inaczej. I dlaczego Frederick chce ją zabrać jutro na przejażdżkę?

Robinowi nigdy się nie udało wnieść jej po schodach tak szybko.

Frederick sam nie był całkiem pewien, dlaczego namówił żonę na przejażdżkę. Nie będzie to dla niej łatwe zadanie. Być może przysporzy jej bólu. I z całą pewnością byłoby mu o wiele wygodniej jechać samemu, aby swo-bodnie zwiedzić park oraz przyległą okolicę.

Przypuszczał, że po prostu zrobiło mu się jej żal. Zaczął coraz lepiej poznawać jej dotychczasowe życie, tak nie-znośnie ograniczone zakazami, nudne i samotne. Nadopiekuńczość ojca jeszcze bardziej wszystko utrudniła i pogorszyła. A miłość i szacunek do ojca powstrzymywały Klarę przed buntem lub dochodzeniem swoich praw nawet po jego śmierci. Wypracowała więc w sobie cichą i cierpliwą samodyscyplinę, chroniącą ją jak tarcza przed uczuciami.

W jej życie trzeba wnieść trochę szczęścia. Trochę przygody. Świeżego powietrza. Teraz rozumiał, dlaczego Klara zawsze jest taka blada. Przynajmniej tyle może dla niej uczynić - od czasu do czasu wyjść z nią z domu i umożliwić jej robienie tego, na co zawsze miała ochotę.

A poza tym musi przecież coś udowodnić rodzicom. Oraz sobie samemu. Zawsze był przekonany, że będzie w stanie porzucić swój nieokiełznany tryb życia i ustatkować się, gdy tylko zechce. Wygląda na to, że nadeszła właściwa pora - . przynajmniej do pewnego stopnia. Być może Klara nie jest żoną, jaką by sobie wybrał, gdyby miał możliwość wyboru, ale stało się i trzeba wszystko przyjąć za dobrą monetę.

I w rzeczy samej - Klara okazała się nie tylko wyborem z konieczności, jak się tego spodziewał po pierwszym spotkaniu, a nawet po oświadczeniach. Była interesującą a nawet zabawną towarzyszką. I niespodziewanie satysfakcjonującą partnerką w łóżku. Ponownie spędził z nią całą noc i znowu wziął ją dwukrotnie. Być może jej nieruchome, a mimo to reagujące na pieszczoty ciało było dla niego podniecająco nowym doświadczeniem. Większość kobiet, z którymi się kochał, reagowała wybuchowo, często udając seksualną ekstazę.

W gruncie rzeczy był zadowolony z pierwszych dwu ; nocy z żoną.

Przy pomocy głównego stajennego wybrał mocnego czarnego rumaka i sam go

osiodłał, po czym podprowadził konia pod marmurowe schody tarasu. Zdawał sobie sprawę, że Klara jest zdenerwowana. Przy śniadaniu próbowała jeszcze znaleźć nową wymówkę - twierdziła, że skoro sąsiedzi dowiedzieli się o jej przyjeździe, to zaczną składać wizyty. Zapytał więc, czy jest pewna, że uczynią to rankiem, na co nie zdołała już wymyślić odpowiedzi. Zostawił konia przy schodach i wbiegł na górę po żonę.

Umieścili Klarę na koniu we dwóch - służący Robin trzymał ją na rękach, a Frederick usadowił się na grzbiecie konia tuż za siodłem, pochylił się, wziął Klarę od Robina i posadził ją przed sobą. Mocno objął ją w pasie i uśmiechnął się na widok przerażenia w jej oczach.

- Nie pozwolę ci upaść, kochanie - zapewnił ją po odprawieniu Robina. - Cały czas będę cię mocno trzymał. W każdej chwili możesz się o mnie wygodnie oprzeć.

- Ale stąd tak daleko do ziemi - poskarżyła się. Frederick uchwycił wodze i ponaglił konia ściśnięciem kolan. Wyczuwał napięcie Klary.

- Rozluźnij się. I zacznij się cieszyć przejażdżką. - Skręcił konia ku alejce parkowej.

- Och! - jęknęła Klara. - Och! Przez kilka następnych minut podchodził do tego jak do uczenia dziecka. Na początku Klara siedziała sztywno i nieruchomo, nie odzywając się ani słowem. Bała się nawet odwrócić głowę. Potem stopniowo się odprężyła, zaczęła się rozglądać - te trawniki i drzewa widziała dotąd jedynie z tarasu, okien domu lub zamkniętego powozu na drodze dojazdowej. Freddie czuł i słyszał, jak głęboko oddycha świeżym powietrzem. Kiedy zbliżyli się do jednego z drzew, wyciągnęła do góry rękę i przeczesała liście palcami, ale szybko ją cofnęła obawiając się utracić równowagę.

A potem zdał sobie sprawę, że Klara płacze. Bez słowa odwróciła od niego twarz, ale dojrzał strugę łez płynącą po policzku. Nie odezwał się; czekał, aż sama dojdzie do ładu z naporem emocji. Sięgnęła do kieszeni po małą chusteczkę i po kilku minutach wyczyściła nos.

Mój Boże, pomyślał przyciskając ją i udając, że nie zauważył tych łez, ta kobieta znajduje upust dla swych skrzętnie skrywanych uczuć. To jest człowiek. Ktoś, kogo poślubił z niegodziwych powodów.

Przejechali przez prawie cały park. Bardzo powoli. Koń przez cały czas szedł stępą, ani razu nie przeszedł nawet w krótki kłus.

- Zmęczyłaś się, kochanie? - zapytał nachylając się ku niej. - Zaraz cię zawiozę z powrotem.

- Och, Freddie! - Klara odwróciła się do męża. Jej oczy, lekko zaczerwienione, błyszczały. - W ogóle nie chcę wracać. Chciałabym, aby ta przejażdżka trwała wiecznie. Pewnie myślisz, że jestem głupiutka. Dla ciebie to chyba najnudniejsze zajęcie na świecie,

prawda? A poza tym musisz mieć wrażenie, że poruszamy się w ślimaczym tempie.

- Pojedziemy jeszcze raz - zapewnił ją. - A potem jeszcze raz i jeszcze raz, Klaro. Nie będziesz już dłużej uwiązana w domu. Będziesz wychodzić na dwór i oddychać świeżym powietrzem. To rozkaz. A ja będę od ciebie wymagał posłuszeństwa.

Przez krótką chwilę, zanim spuściła wzrok i popatrzyła w drugą stronę, widział w jej oczach cień smutku.

- Spodziewam się, że nigdy nie będę ci nieposłuszną, Freddie - odpowiedziała po chwili. - Wobec taty też nigdy nie byłam.

Frederick zawrócił konia i ruszył z powrotem do domu.

Miał nadzieję, że Klara się w nim nie zakochała. O Boże, tylko nie to. Owszem, miał zamiar być dla niej miły i uprzejmy, chciał także wnieść w jej życie trochę szczęścia i rozrywki. Ale nie wierzył, by mógł sprostać oczekiwanej wzajemności w uczuciach. A właściwie nie tylko nie wierzył, ale był wręcz tego pewien.

Klara była zmęczona, choć nie chciała się do tego przyznać. Po kilku minutach odchyliła się i oparła ramieniem o jego pierś. Kiedy przycisnął ją do siebie, odwiązała wstążki przytrzymujące czepek i zdjęła go, by wygodniej ułożyć głowę na jego ramieniu.

- Świat jest cudowny - rzekła. - Ciekawa jestem, czy ludzie, którzy zawsze cieszą się dobrym zdrowiem, w pełni zdają sobie z tego sprawę.

- Prawdopodobnie nie - odparł opierając policzek o czubek jej głowy. - Na pewno nie.

Nagle poczuł, że jest szczęśliwy. Dzień był piękny, okolica urzekająca, a dom wspaniały. To jego dom, a ko-bieta w jego ramionach, taka cicha i zauroczona cudami natury, jest jego żoną. Być może więc - mimo wszystko - jakoś to się ułoży. Być może w końcu zdoła uwierzyć, że w życiu zdarzają się cuda i że niemożliwe staje się możliwe.

W ciągu następnego tygodnia Klara dość często przy-lapywała się na pragnieniu, by przyjazd lorda i lady Bellamy wraz z Harriet nie nastąpił tak szybko. Równie często odczuwała na tę myśl wyrzuty sumienia. Harriet niejednokrotnie udowodniła, że jest dobrą i troskliwą przyjaciółką, a nie tylko damą do towarzystwa i opiekunką, a i teściowie Klary byli w Bath bardzo dobrzy i mili. Powinna więc cieszyć się z ich przyjazdu. I naprawdę się cieszyła!

Ale jednocześnie pragnęła, by jej miesiąc miodowy trwał nadal, a wiedziała dobrze, że wraz z ich przyjazdem wszystko skończy się jak nożem uciął. To przecież nie może długo trwać. Było zbyt piękne i doskonałe.

Mąż spędzał z nią każdy dzień i każdą chwilę. Gościł wraz z nią rozlicznych sąsiadów, którzy na wieść o ich przyjeździe, a zwłaszcza o najnowszej nowinie, czyli jej małżeństwie,

zjeżdżali się tłumnie. Klara zawsze utrzymywała przyjazne stosunki z sąsiadami, jako że była to jedna z nielicznych dostępnych jej przyjemności. Freddie ani razu nie okazał znudzenia, przeciwnie, był układny wobec panów i czarujący dla dam. Wygrał więc z nimi na całej linii. Było wyraźnie widać, jak na początku robiła na nich wrażenie uroda Fredericka, po krótkiej chwili cieszyło ich jego zainteresowanie, a pod koniec byli zachwyceni wdziękiem.

Któregoś dnia Freddie zabrał ją na wizyty; zaniósł Klarę do powozu i udali się do trzech okolicznych domów, po czym bez mrugnięcia powieką odbył trzy ceremonie picia herbaty. Było to popołudnie, które sprawiło jej nadzwyczajną radość, ponieważ do tej pory była przyzwyczajona do przyjmowania, a nie składania wizyt. W gruncie rzeczy bardzo rzadko u kogoś bywała. Ale Freddie obiecał jej, że wkrótce pojedą do Londynu i kupią otwarty powozik. Do tego czasu będą jeździć z szeroko otwartymi oknami powozu, co i tak stanowiło istotne novum. Ojciec osłaniał ją zawsze przed każdym możliwym przeciągiem.

Jeszcze raz pojechali na konną przejażdżkę.

Mało tego, Freddie zabrał ją nawet w niedzielę do kościoła, gdzie z radością powitali ich znajomi, którzy zdążyli już złożyć im wizytę, a także pastor z żoną, zapowiadający odwiedziny w ciągu kilku najbliższych dni.

- Chyba byłem w kościele po raz pierwszy od ostatnich świąt Bożego Narodzenia - powiedział Frederick w drodze powrotnej do domu. - Czy myślisz, Klaro, że znowu uratowałem swą duszę?

- Och, Freddie, przestań opowiadać takie głupstwa.

Przynajmniej nie przespałeś całego kazania jak pan Soames. Widziałeś, jak pani Soames dźgała go łokciem, gdy głośno chrapał?

- To dziwne, że nie wrzasnął. Ona ma bardzo spiczasty łokieć.

Wybuchnęli śmiechem. Wyglądało na to, że spędzili naprawdę wspaniały tydzień.

W niedzielę po południu Frederick zabrał żonę w fotelu na taras i wręcz zabronił jej wziąć ze sobą ciepły szal, ostrzegając, że jeśli się nim okryje, to po chwili roztopi się w tym upale. Klara wzdychała z zadowolenia, kiedy woził ją po tarasie, odwracając twarzą do słońca.

- Lada dzień nadejdzie jesień - zauważyła. - Można powiedzieć, że mieliśmy dużo szczęścia trafiając tu na tak piękne lato w sierpniu, prawda, Freddie?

- Wiesz co? Ten letni domek, który widzieliśmy podczas konnej przejażdżki, jest niedaleko stąd. Pojedźmy tam - zaproponował.

Klara wiedziała, że w pobliżu znajduje się letni domek. Już wcześniej ktoś jej go opisał, ale sama po raz pierwszy zobaczyła go podczas drugiej przejażdżki z Freddie. Była

to przykryta kopułą kamienna budowla o podstawie ośmiokąta, z wielkimi szklanymi oknami na każdej z ośmiu ścian. W słoneczne dni ojciec Klary lubił tam oddawać się lekturze, nawet gdy było bardzo chłodno. Tłumaczył jej, że szklane tafle wychwytyją ciepło słońca.

- Mój wózek nie pojedzie po trawie - powiedziała z odcieniem zawodu w głosie. - Ale ty idź, Freddie. Ja tu posiedzę i odpocznę. Albo jeśli chcesz, to przed pójściem zawieź mnie do domu. Będę sobie mogła poczytać.

Ale Freddie uśmiechnął się i pochylił, by wziąć ją na rękę.

- Moje nogi pójdą po trawie - zapewnił ją ruszając ku drzewom, które zasłaniały widok na letni domek.

- Ale to za daleko - zaproponowała. - Jestem za ciężka.

- Jesteś lżejsza niż piórko - zapewnił ją. - Chociaż zauważyłem, Klaro, że ostatnio zaczęłaś więcej jadać. Wystarczyłoby dla ciebie i dla konia.

- O zgrozo! - zawołała. - Wydaje mi się, Freddie, że apetyt wzrósł mi z powodu przebywania na świeżym powietrzu. Jestem za chuda, prawda? - Nie było to kokieterijne domaganie się komplementu. Klara zawsze zdawała sobie sprawę z braku urody. Czasami tylko marzyła, by uchodzić za możliwą do przyjęcia. Zwłaszcza teraz. Dla niego chciałaby być piękna. Cóż za głupie marzenie!

- Jesteś, jaka jesteś - powiedział. - Dla mnie piękna, kochanie. Ale cieszę się widząc, że masz dobry apetyt, i nie będę się krzywił, jeśli przybędzie ci parę kilogramów. Chociaż mogę dyszeć i słabnąć nosząc je do letniego domku albo jeszcze Bóg wie gdzie.

- Jeśli stracisz oddech, to tylko z własnej winy - zapewniła go. - Nie prosiłam, byś mnie niósł na rękach.

W letnim domku było gorąco jak w piecu. Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem, po czym Freddie usadowił ją na ławeczce biegnącej wokół ścian domku.

- Na kolację życzy pani sobie duszone mięso? - zapytał. - Czy to pani ulubiona potrawa?

- Nieszczególnie. Mój wciąż rosnący apetyt jeszcze tak daleko nie sięga.

Frederick wyniósł ją z domku, posadził na trawie i sam usiadł obok. Klara odkryła, że trawa może być cudowna, miękka, chłodna i słodko pachnąca.

- Tata nigdy by mi nie pozwolił siedzieć na trawie - powiedziała kładąc się na plecach. Zamknęła oczy i wy-ciągnęła ręce wzdłuż ciała, dotykając trawy i delikatnie ją przeczesując palcami. - Obawiał się wilgoci.

- Nie padało już od wielu dni - stwierdził Frederick, opierając się na łokciu i patrząc na leżącą Klarę. - A może nawet tygodni? W każdym razie doktor Frederick Sullivan

przepisuje ci mnóstwo trawy, świeżego powietrza, słońca i jedzenia. To wyjdzie ci tylko na dobre. Stawiam na to całą swą reputację doktora medycyny.

Klara wybuchnęła śmiechem i po chwili znowu się roześmiała, gdy krzywiąc nos otworzyła oczy i zobaczyła, że łaskotanie wywołało żdźbło trawy w dłoni Freddiego.

- Jest cudownie. - Westchnęła. - Cudownie. - Leżąc w milczeniu słuchała śpiewu ptaków. Owady bzyczały, a niewyczuwalny wietrzyk poruszał gałęziami drzew. Na twarzy czuła promienie słońca. Wciągnęła głęboko zapach trawy.

To wszystko żyje! Dlatego właśnie poza domem, na świeżym powietrzu, jest tak inaczej. Wszystko żyje, nawet ta trawa pod nią. Otaczało ją życie. I ona żyje. Oddycha życiem, czuje je w płucach i we krwi. Czuje się niemal tak, jakby mogła wstać i iść, a nawet biec, gdyby się tylko postarała! Próbowała poruszyć nogą w kostce. Przecież jej nogi nie są bezwładne, są tylko słabe. Ale kostka nie poddała się sile woli.

Klara otworzyła oczy i popatrzyła w niebo, po którym przepływało kilka chmur.

- Kociak - powiedziała. - Popatrz, Freddie. Popatrz na tę chmurkę.

Frederick spojrzał w górę przygryzając żdźbło trawy.

- Kociak? - powtórzył. - Nie. To okręt.

- Nie, nie ta. Ta obok. I ta druga, popatrz! - zawołała. - Zaraz za nią płynie rozwinięty kwiat róży.

- To koń, który stanął dęba.

Klara ponownie zaniknęła oczy i uśmiechnęła się.

- Bawi cię droczenie się ze mną - zauważyła. Nagle jakiś cień przesłonił słońce. Usta Fredericka dotknęły jej warg.

- Chmury przedstawiają zawsze to, co chcemy zobaczyć, kochanie - powiedział. - Na tym polega ich urok.

- Nigdy im się nie przyglądałam - wyznała, otwierając oczy. - Jaki wielki i wspaniały jest świat, Freddie. A my jesteśmy jego częścią. Pomyśl, że Ziemia pod nami wiruje.

- Kręci mi się w głowie - mruknął i znowu ją pocałował, wsuwając język w jej wargi. - Będziesz musiała mnie mocno przytrzymać, Klaro.

- Och, głuptasie - odparła, ale objęła go. Przez kilka minut oddawali się ciepłym i rozleniwionym pocałunkom. Była to jedna z gier Freddiego, którą podczas tego tygo-dnia przyjmowała z wdzięcznością. Zastanawiała się, dla-czego mąż w dalszym ciągu utrzymuje pozory. Dlaczego przyniósł ją tutaj, skoro mógł przyjść sam albo pojechać gdzie indziej? Dlaczego od dnia ślubu spędza każdą noc w jej łóżku, kochając się z nią po dwa razy przez wszystkie te noce?



Klara zaczęła się obawiać, że uzależni się od codziennej obecności Freddiego przy swym boku. Obawiała się, że stanie się zależna od kochania się z nim. Nie mogła go co prawda z nikim porównać, ale i tak wiedziała, że Freddie jest ekspertem w sprawach miłości i że w trakcie ich miłosnych uniesień wykorzystuje całą swą wiedzę i umie-jętności. Uwielbiała się z nim kochać, bardziej niż kiedy-kolwiek mogła przypuszczać. Być może nie byłoby to takie wspaniałe z innym mężczyzną. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, że mogłaby robić coś tak intymnego z innym człowiekiem.

- Jeśli zaśniesz, Klaro - odezwał się, znów łaskocząc ją po nosie trawką - to obudzisz się z twarzą jak rak. I z nosem jak skwarek. Będę musiał jak najszybciej zabrać cię w cień.

Klara westchnęła. Była zbyt rozespana, by się odezwać.

- Kto, jest twoim lekarzem? - zapytał. - Czy twój ojciec konsultował się z innymi lekarzami oprócz niego?

- Nazywał ich wszystkich głupcami i szarlatanami. Rzecz jasna, nigdy nie spotkał doktora Fredericka Sullivana. Coś mi się jednak wydaje, że nie pochwalałby twoich metod, Freddie.

- Ale był jakiś konkretny lekarz? - wypytywał Freddie.

- Doktor Graham. Był przyjacielem ojca. Ale kiedy przybył tu przed kilku laty, żeby mnie zobaczyć, miał z ojcem poważną sprzeczkę. Nigdy potem go nie widzie-liśmy.

- Czego dotyczyła ta sprzeczkę? - zapytał. Klara pokręciła głową.

- Nie wiem - odparła po chwili. - Tato mi nie powiedział. Zapowiedział jedynie, że nikt mu nie zabierze jego małej dziewczynki tak jak jej mamy i nikt jej nie skrzywdzi ani nie zada jej bólu. Dla taty zawsze byłam jego małą dziewczynką. To śmieszne, prawda?

- Nie - zaprzeczył. - Utrata żony musi być bardzo bolesnym przeżyciem, a jeszcze trudniej jest opiekować się na wpół osieroconym dzieckiem, które było niemal skazane na śmierć.

Klara otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Czyżby to oznaczało, że Freddie może sobie wyobrazić, czym jest miłość ojcowska? Znowu pomyślała o tym, o czym myślała od samego początku - czy byłaby zdolna urodzić jego dziecko. Pragnęłaby tego ponad wszystko. Ale nie powinna robić sobie zbyt wielkiej nadziei. Życie ją nauczyło, by nigdy nie spodziewać się za wiele.

Ale mimo to była za bardzo szczęśliwa. I za bardzo martwiła się nadchodzącym końcem miodowego miesiąca. Pocieszała się tylko myślą, że jeden krótki tydzień szczęścia w życiu to lepiej niż nic. A może gorzej niż nic? Może to tylko krótki i zwodniczy obraz tego, jak piękne może . być życie?

Znowu poczuła na ustach jego wargi.

- Chodźmy - powiedział. - Czas wracać, zanim wpadnie mi do głowy pomysł, by kochać się z tobą tu, na tej trawie. Ogrodnicy nie pracują w niedzielę, prawda?

- Nie. - Roześmiała się i wyciągnęła ramiona, by objąć go za szyję, kiedy ukląkł przed nią, by wziąć ją na ręce. - Ale widziałyby nas ptaki i owady.

Swoją drogą, byłoby to cudowne przeżycie, pomyślała, gdy ścieżką pośród drzew ruszyli z powrotem na taras. Kochać się na trawie. Na świeżym powietrzu. Pośród wszystkiego, co żyje.

Nagle z całą jasnością uprzytomniła sobie, że musi być bardzo ostrożna. Nie może się zakochać! Może mimo wszystko przyjazd Harriet i teściów okaże się wskazany?

Tak czy tak, nie da się zatrzymać czasu. Choćby nie wiadomo jak chciała. A tak bardzo chciała!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ku swemu sporemu zaskoczeniu Frederick skonstatował, że niemal żałuje, iż miesiąc miodowy chyli się ku końcowi. Postanowił poświęcić ten tydzień na to, by sprawić żonie trochę przyjemności i ofiarować odrobinę szczęścia, i odkrył, że przy okazji sam go nie mało zaskoczył. Uznał, że w związku seksualnym, a jednocześnie partnerskim z jedną kobietą jest coś odprężającego, przyjemnego i w pewnej mierze wygodnego. Miał bowiem mnóstwo związków miłosnych, z których jednak prawie żaden nie był zarazem przyjacielski. Być może z wyjątkiem Jule, choć żadne nie zwierzało się drugiemu ze swych myśli ani tajemnic.

Z Klarą także nie odbywali szczerych rozmów, ale być może z czasem do tego dojdzie. Okazało się, że rozmowa nie sprawia im trudności, a oboje interesują się życiem partnera. Jeśli nie do końca odkrył się przed nią podczas tego tygodnia, to tylko dlatego, że nie uważał się za szczególnie interesującego osobnika. A w dodatku nie był pewien, czy naprawdę zna sam siebie.

Czego oczekiwał od życia? Zaledwie przed tygodniem odparłby bez chwili wahania, że przede wszystkim przyjemności. Pragnął mieć spłacone długi, by bez obaw pokazać się w mieście i wkroczyć w wir życia w tym samym miejscu, w którym z niego wypadł. Kluby, wyścigi, gry i kobiety - zawsze to wszystko uwielbiał. Nadal uwielbia. Ale czy już do końca życia? Czy te przyjemności nigdy mu się nie znudzą? A może już się znudziły? Czy oczekuje od życia czegoś więcej? Może na przykład własnej rodziny? Domu, gdzie spędzi większość swych dni? Żony, która zastąpi wszystkie inne kobiety i stanie się towarzyszką i przyjaciółką?

Czy tego właśnie pragnie? Wzdrygnął się na tę myśl i momentalnie przeleciały mu przez głowę wszystkie stereotypowe określenia, którymi od dawna się posługiwał - kajdany, pułapka, niewola i tak dalej. Nie miał ochoty brać na siebie obowiązków i odpowiedzialności ani też tracić wolności osobistej.

Ale pojawiła się Klara i w chwili, kiedy została jego żoną, automatycznie spadła na niego odpowiedzialność i stracił sporą dozę wolności. Po kilku dniach zaczął się nawet zastanawiać, czy byłaby w stanie rodzić dzieci, i właściwie nie widział powodów, by tak nie mogło być! Gdyby Klara miała zastrzeżenia, z pewnością by się o nich dowiedział.

Dziecko! Na samą myśl o tym niemal ogarniała go panika, ale jednocześnie odczuwał całkiem przyjemną ciekawość, jakie to uczucie być ojcem. Ojciec. Tato.

Chciał uciec. Chciał wrócić do Londynu, znaleźć się w znajomych miejscach i oddać się ulubionym zajęciom. Chciał być bezpieczny. A mimo to nie mógł się pogodzić z

nieuchronnie nadchodzącym końcem tygodnia z Klarą, który był niezwykle przyjemnym interludium w jego życiu.

Po ośmiu dniach zjawili się rodzice Fredericka i przywieźli ze sobą Harriet Pope. Była cała masa uścisków, pocałunków, objęć i łez - głównie u lady Bellamy, która stwierdziła, że oboje wspaniale wyglądają. I że Ebury „Court to wspaniałe miejsce i piękny dom.

Skrócony miesiąc miodowy się skończył. Następne dwa dni Frederick spędził głównie z ojcem - jeździli konno, spacerowali, zwiedzali stajnie i grali w bilard. Damy prześiadły w salonie, rozmawiały, haftowały i zabawiały odwiedzających je sąsiadów. Któregoś dnia po obiedzie wyjechały powozem z wizytą do Soamesów. Nowożeńcy byli sami ze sobą właściwie jedynie w nocy. Frederick poczuł lekką nostalgię na myśl o minionym tygodniu.

Matka była zachwycona postawą syna i powiedziała mu o tym od razu pierwszego wieczoru, gdy spacerowali po tarasie po kolacji.

- Musiałeś być nadzwyczajny, Freddie - powiedziała. - Kochana Klara jest zupełnie odmieniona.

Ta uwaga zatrwożyła go i zaintrygowała. Gdy weszli z matką do salonu, popatrzył bacznie na żonę. Czy istotnie się zmieniła? Próbował porównać jej obecny wygląd z tym, który utkwił mu w pamięci po pierwszym spotkaniu. Czy jest inna?

Nie, oczywiście, że nie. Może jedynie z wyjątkiem twarzy, na której pojawiły się lekkie rumieńce, prawdopodobnie spowodowane przebywaniem na świeżym powietrzu, na co należał codziennie od przyjazdu do Ebury Court. Miał też niejasne wrażenie, że twarz Klary nie jest tak bardzo wychudzona, ale był to chyba przejaw jego wybujałej wyobraźni, bo chociaż poprawił się jej apetyt, to przecież nie mogła jeszcze przybrać na wadze. Oczywiście miała wielkie i lśniące, ale przecież od samego początku uważał, że właśnie oczy są jej największą zaletą.

Oczywiście, że wcale się nie zmieniła. Nadal była niezbyt urodziwą chudą kobietą o której względy postanowił się ubiegać ze sporym ociąganiem. Po prostu znał ją od pewnego czasu i nie mógł już patrzeć na nią i obiektywnie. Patrzył na Klarę - i widział Klarę. Swoją żonę. Kobietę, którą zaczął poznawać podczas ubiegłego tygodnia. Kobietę, która go przyjemnie zaskoczyła. Part-nerkę seksualną. Jej chudość, brak urody i ogrom ciężkich włosów już mu nie przeszkadzały. Były po prostu częścią Klary.

Być może Harriet również dostrzegła zmianę u swej pani, bo jej zaciśnięte w chwili przyjazdu usta pod wieczór się lekko rozluźniły. Mimo to nadal unikała męża przyjaciółki. Freddie pomyślał z niejakim rozbawieniem, że pewnie się obawia, że gdy dojrzy ją w jakimś

ciemnym kącie, to się na nią rzuci. W innych okolicznościach bez wątpienia zacząłby z nią flirtować, bo panna była urodziwa jak rzadko. Ale jego nigdy nie bawiło uwodzenie niewiniątek. Ze zniecierpliwieniem odrzucił od siebie myśl o Jule.

- Masz zamiar spędzić tu jesień, Freddie? - zapytał go ojciec z wystudiowaną obojętnością, kiedy grali w bilard. - Matka chciałaby, żebyście przyjechali do nas na Boże Narodzenie. Czy Klara da radę podróżować? Jeśli będziesz mógł, to koniecznie przyjedź. Les postanowił wyjechać za miesiąc do Włoch, a matka będzie się czuła bez was samotna.

- Przyjedziemy - zapewnił go Frederick. - Co do jesieni, to jeszcze nic nie zdecydowałem. Możliwe, że zostanę tutaj.

I w tej chwili postanowił, że tak uczyni. Właściwie nie ma po co wracać do Londynu. Jeśli tam pojedzie, to znowu zacznie grać, a po ostatnim kryzysie przysiągł sobie, że kończy z hazardem. A poza tym interesująca wydała mu się praca nad własnym małżeństwem i oczekiwanie, co z tego wyniknie. Musiał przyznać, że bardzo polubił Klarę. Być może nawet trochę się w niej zakochał, choć po rozsądnym przemyśleniu pomysł ten wydał mu się absurdalny. Lubi ją. Zostanie z nią przynajmniej na trochę i zobaczy, jak się sprawy potoczą.

Ale już po kilku dniach jego plany gwałtownie się odmieniły. Rodzice wyjechali, ale Harriet została. Spędzała każdą chwilę z jego żoną, stawiając go w niewygodnej sytuacji. Mimo to nie chciał zaproponować Klarze, by się pozbyli tej dziewczyny. Harriet była przyjaciółką Klary, do tego zubożała i samotną, gdyby więc została zwolniona, nie miałyby się gdzie podziąć. A poza tym może się okazać przydatna, gdy on postanowi wyjechać do miasta na kilka tygodni lub miesięcy.

Frederick musiał wynajdywać sposoby, by znaleźć się z żoną sam na sam. Pewnego pochmurnego i chłodnego popołudnia zabrał ją na przejażdżkę. Nie było to mądre posunięcie, choć ta rozrywka sprawiała obojgu przyjemność. Po drodze zaczęło kropić i nie zdążyliby wrócić do stajni przed ulewą. Frederick skierował konia do letniego domku, szybko zsadził z niego Klarę, klepnął wierzchowca po zadzie i posłał galopem do domu, a sam wbiegł do środka.

Oboje śmiali się do rozpuku.

- W taki dzień jak ten tato nie pozwoliłby mi nawet otworzyć okna - zauważyła Klara.

- Zaczynam zdawać sobie sprawę, że pod pewnym względem twój tato był mądrym człowiekiem - powie - dział siadając na ławie i biorąc Klarę na kolana.

- Masz mokre ubranie - poinformowała go strząsając krople deszczu z jego ramienia, po czym oparła na nim policzek. - Myślałam, że spadniemy z konia. Jechaliśmy bardzo szybko. Nie śmiej się, Freddie.

Frederick rzeczywiście popędzał konia w obawie przed deszczem. Pocałował ją.

- Tu przynajmniej jest ciepło - zauważył. - Nagrzało się podczas słonecznego ranka.

- Aha. Bardzo tu przytulnie.

Kilka minut upłynęło im na ciepłych, leniwych pocałunkach.

- Tęskniłem za tobą podczas pobytu rodziców - powiedział. - A teraz cały czas kręci się tu Harriet.

- Nie musisz teraz spędzać ze mną tyle czasu. Będziesz miał więcej swobody.

- A kto powiedział, że mi na tym zależy? Klara nie odpowiedziała. Znowu ją pocałował.

- Jesteś szczęśliwa, kochanie? - spytał po kilku minutach.

- Uhm.

- Rozumiem, że mogę tę odpowiedź zinterpretować wedle swego uznania - rzekł ze śmiechem. - Cóż, ja jestem szczęśliwy.

- To była cudowna przejażdżka - zapewniła go. - Pomimo ulewy.

- Dzięki ulewie - poprawił ją. - Gdyby nie deszcz, nie wpadłoby mi do głowy, żeby cię tu przynieść i posiedzieć sobie z tobą. - Przygryzał lekko koniuszek jej ucha i szepnął:

- Czy ty też cieszysz się, że pada? Poczul, że przełknęła ślinę.

- Tak, Freddie.

- Ty też za mną tęskniłaś?

Klara odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- Tak.

- Tym razem tak, a nie tylko uhm? - Popatrzył w jej przepełnione uśmiechem oczy. - Wydaje mi się, że jesteśmy bliscy złożenia sobie pewnych wyznań, kochanie.

- Nie, Freddie - zaprzeczyła.

- Co, nie? - Dotknął czołem jej czoła i pocałował ją w czubek nosa. - Chciałbym usłyszeć od ciebie te słowa. Ja mogę je wypowiedzieć. Kocham cię. Proszę. To całkiem łatwo powiedzieć. O wiele łatwiej, niż można się było spodziewać. Kocham cię, Klaro.

- Nie rób tego. - Klara odwróciła twarz i wtuliła ją w szyję męża. - To zupełnie niepotrzebne. Nie psuj wszystkiego.

Frederick zeszytywniał. Położył dłoń na jej głowie.

- Psuję? - zapytał zdumiony. - Mówiąc własnej żonie, że ją kocham? Nie chcesz, bym cię kochał, Klaro? Czy też chodzi ci o to, że nie możesz odwzajemnić moich uczuć? W takim razie w porządku. Mogę zaczekać.

Klara uniosła głowę i wtedy dostrzegł, że jest zasmucona i rozgniewana.

- Nie ma potrzeby utrzymywania pozorów, Freddie - powiedziała. - Uważam, że i tak było nam razem zaska-kująco dobrze. Czy nie możemy się tym zadowolić? Czy potrzebne nam te wszystkie kłamstwa?

- Kłamstwa? - Wyglądało na to, że ciepło wyparowało z letniego domku. Frederick poczuł chłód.

- To wyznanie, że mnie kochasz - wyjaśniła. - Nazywanie mnie ukochaną, a czasami nawet twym najdroższym skarbem. Nie musisz tego mówić, Freddie. Czy uważasz, że skoro jestem kaleką, to muszę od razu być głupia? Myślisz, że nie wiem, jak jest naprawdę, i że od samego początku tego nie wiedziałam? Nie wiedziałam tylko jednego, nie znałam wysokości twych długów. Czy posag je pokrył?

Gdyby mogła chodzić, zostawiłby ją tutaj i wybiegł na deszcz. Nie chciał patrzeć jej w oczy. Ale byłby nikczem-nikiem, gdyby teraz opuścił wzrok.

- Tak - potwierdził. - Ale skoro wiedziałas, Klaro, to dlaczego za mnie wyszłaś?

- Mam dwadzieścia sześć lat. Do tego jestem wstrętna i kaleka. Czy trzeba mówić więcej?

- Nie jesteś wstrętna. - Miał wrażenie, że mówi nie swoim głosem.

- Czy uprzejmie będzie powiedzieć „pobawiona urody”? - zapytała. - A więc dobrze, jestem pobawiona urody. Oboje pobraliśmy się z tego powodu, że chcieliśmy j zaspokoić swoje potrzeby, Freddie. I jak dotąd, nie było to takie straszne, prawda? Pozwól nam się tym cieszyć. Nie potrzebuję słuchać twych zapewnień o miłości wiedząc, że są kłamstwem. Nie jestem dzieckiem.

- Proszę o wybaczenie, madame.

Popatrzyła na niego uważnie i westchnęła. Gniew zniknął z jej twarzy.

- Popełniłam właśnie niewybaczalne głupstwo - stwierdziła. - To z powodu drobnej irytacji. Powinnam w dalszym ciągu milczeć na ten temat. Tak byłoby chyba lepiej. Niepotrzebnie wprowadziłam cię w zakłopotanie.

- Przeciwnie - zaprzeczył. - Zawsze jest lepiej dla dwojga ludzi, gdy rozmawiają ze sobą otwarcie. Tak, moje długi zostały spłacone, madame. I więcej ich nie będzie, więc nic nie zagraża twemu majątkowi.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, po czym ponownie westchnęła i z powrotem ułożyła głowę na jego ramieniu.

- Jestem głupia - powiedziała w końcu. - Wybacz mi.

- Nie ma tu nic do wybaczenia.

Trzymał ją na kolanach nieruchomo i w całkowitej ciszy ponad pół godziny, dopóki

deszcz nie ustał, po czym wziął ją na ręce i milcząc zaniósł do domu, stąpając po mokrej od deszczu trawie. Uświadomił sobie, że doznane upokorzenie i zakłopotanie są dla niego cięższym brzemieniem niż kobieta, którą niesie na rękach. A więc znała prawdę. Oczywiście, że znała. Nigdy właściwie nie sądził, że jest inaczej. Musiała przecież mieć doświadczenia z łowcami posagów. Ale z chwilą gdy przyjęła oświadczyń, przyzwoitość nakazywała obojgu utrzymywanie gry pozorów.

Być może słowa, które wypowiedział, były fałszywe. Ale postępował zgodnie z nimi. Wszystko, co z nią robił i co dla niej czynił, miało służyć temu, by okazać jej miłość, którą nie w pełni odczuwał. Próbował okazać żonie serce i wdzięczność.

Zaniósł Klarę do domu, prosto do jej pokoju. Kiedy posadził ją na fotelu, pociągnął za sznur dzwonka.

- Polecę, by przygotowano ci gorącą kąpiel - powiedział. - Nie chcę, byś się przeziębiła. Potem musisz wypić coś gorącego i przynajmniej godzinę spędzić w łóżku.

Klara próbowała się uśmiechnąć i przybrać lekki ton.

- Czy to rozkaz, sir? - zapytała. Ale było już za późno na kontynuowanie gry.

- Tak, to jest rozkaz, madame - potwierdził, po czym wydał polecenia pokojówce, która skwapliwie pospieszyła na wezwanie. Po wysłaniu jej do kuchni po gorącą wodę wyszedł z pokoju żony nie oglądając się za siebie.

Nie wrócił już ani do tego pokoju, ani do sypialni Klary przed wyjazdem do Londynu następnego ranka. Pożegnał się oficjalnie po śniadaniu - z Klarą była jej towarzyszką - i zapowiedział, że nie będzie go przez miesiąc. W głębi duszy przekonany był, że potrwa to jednak o wiele dłużej.

Klara ciągle płakała i chociaż robiła to w samotności, nie zdołała ukryć śladów wielu przepłakanych godzin. Przynajmniej nie przed najbliższą przyjaciółką. Harriet z początku milczała z mocno zaciśniętymi ustami.

- Zabroniłaś mi mówić cokolwiek przeciw niemu - wyrzuciła wreszcie z siebie kilka dni po wyjeździe Fredericka. - Ale ja już dłużej tego nie wytrzymam, Klaro. Nienawidzę patrzeć na to, jaka jesteś nieszczęśliwa. Nie-nawidzę go za to.

- To wyłącznie moja wina - zapewniła ją Klara. - Nie winię za to Freddiego, Harriet. - I słowa te dały upust zwierzeniom, podczas których cała spowiedź popłynęła jak rzeka. Klara wyznała, że już od kilku dni zamierzała coś mu powiedzieć. Coś rozsądnego i rozważnego. Myślała, że już na tyle się poznali i polubili, by móc powiedzieć sobie prawdę i zrezygnować z pozorów. Mogliby się wtedy skoncentrować na budowaniu przyjaźni.

- Bo była możliwość zawarcia przyjaźni - zapewniła nastawioną sceptycznie



przyjaciółkę. - Przez cały tydzień po ślubie bez przerwy ze sobą rozmawialiśmy, Harriet. I śmialiśmy się. Nigdy się tyle nie śmiałam. Chciałam się pozbyć skrępowania. To, że się nie kochamy, wydawało mi się bez znaczenia. Myślałam, że jesteśmy co do tego zgodni. Ale popełniłam błąd.

- Temu człowiekowi nie spodobało się, że przejrzałaś jego grę - stwierdziła gorzko Harriet.

- Być może - zgodziła się Klara ze smutkiem. - Ale sposób, w jaki to powiedziałam, zniszczył wszystko do końca. Byłam zirytowana, ponieważ schroniliśmy się w letnim domku przed deszczem i było nam tak wygodnie, tak miło i tak cudownie. Ale on wszystko zepsuł powtarzaniem tych bzdur. Nie mogłam z nim rozsądnie porozmawiać, jak wcześniej zaplanowałam. Byłam zła i mówiłam niemądrze.

- Było nam tak cudownie - powtórzyła Harriet patrząc na nią uważnie. - Dlaczego byłaś zła, Klaro? Bo okłamywał cię nadal, choć to nie było konieczne? Czy dlatego, że zostałaś skrzywdzona?

- Skrzywdzona? - Klara popatrzyła pustym wzrokiem na przyjaciółkę. Zapragnęła ukryć twarz w dłoniach. Prze-czuwała, co Harriet powie, ale nie chciała tego słyszeć.

- Ponieważ on nie czuł tego, co mówił - wyjaśniła Harriet. - Czy poczułaś się skrzywdzona, ponieważ on cię nie kocha, a tylko tak mówi?

Klara powoli zaczerpnęła tchu.

- Nie wyszłam za niego z miłości. Dobrze o tym wiesz, Harriet. I dostałam wszystko, czego chciałam. Szacunek i... szacunek.

Ale w samotności nadal płakała. Wyglądało na to, że nie może pozbierać się na tyle, by powrócić do trybu życia, jaki prowadziła od dawna. Zwyczajne życie zostało prze - ; rwane tylko na krótką chwilę. Przecież i tak wiedziała, że miesiąc miodowy nie będzie trwał wiecznie. Przyjmując oświadczyzny Freddiego, nawet nie marzyła o tym wspólnym tygodniu. Aż tyle nie oczekiwała.

Nie ustawała w oskarżaniu się o wszystko. Nawet jeśli Frederick kłamał mówiąc, że ją kocha, to przecież był dla niej dobry. Te dwa tygodnie były niewyobrażalnie cudow-ne. Bolesnie tęskniła za brzmieniem głosu męża, za jego śmiechem i spojrzeniem. W nocy brakowało jej dotyku jego ciała i ciepła warg na ustach.

Upokorzyła go. Dobrze o tym wiedziała. Gniew sprawił, że chciała go tak zranić, jak sama czuła się zraniona. O, tak, Harriet miała rację. Klara z bólem musiała to przyznać. Poczowała się skrzywdzona jego wyznaniem, z gruntu fałszywym, więc sama też chciała go skrzywdzić. Nie tylko powiedziała mu, że zna całą prawdę, ale jeszcze celowo wspomniała o

długach i zapytała, czy posag wystarczył na ich pokrycie.

Jak mogła mu to zrobić? Widziała wstyd w jego oczach, a później sztywną maskę na twarzy. Sztywną, nieprzejrzystą maskę, którą przybrał na resztę dnia oraz następny ranek, gdy przyszedł się z nią pożegnać. Po tym, co powiedziała, ani razu nie nazwał jej po imieniu. Zwracał się do niej oficjalnie, używając słowa madame. Nie spał z nią ostatniej nocy przed wyjazdem do Londynu, chociaż Klara prawie cały czas czuwała, czekając na niego i wiedząc, że nie przyjdzie.

Oplakiwała swój postęp. Jakże głupie było z jej strony oczekiwanie, że osiągnie satysfakcję z poślubienia mężczyzny dla jego urody, siły i męskości. Była wobec siebie tak samo nieuczciwa, jak Freddie wobec niej. Przecież musiała wiedzieć, że nie będzie potrafiła osiągnąć tych wszystkich skarbów i nacieszyć się nimi, nie pragnąc niczego więcej.

Chciała więcej. Chciała Freddiego. Nie jego miłości wprawdzie; zbyt się między sobą różnili, by kiedykolwiek się pokochać. Ale podczas tych kilku dni małżeństwa coś się między nimi zrodziło. Na pewno. Była o tym przekonana. Przyjaźń. A nawet więcej. Czułość.

Tak, czułość, jeśli nawet nie miłość. To było to. I mogłoby tak zostać, gdyby nie była tak uparcie i beznadziejnie głupia i nie odrzuciła tego wszystkiego w jednej chwili.

Po tygodniu nadszedł od niego list. Krótka, formalna wiadomość, którą otworzyła drżącymi palcami i czytała ze strachem w oczach.

Frederick miał nadzieję, że Klara czuje się dobrze. Sam zamierza zatrzymać się na trochę w mieście. Ma pewne sprawy do załatwienia. Przebiegła wzrokiem drugi, zarazem ostami akapit i przeczytała go ponownie.

- Otwarty powóz zostanie dostarczony za dzień lub dwa - poinformowała potem przyjaciółkę. - Mam nim jeździć codziennie, jeśli pogoda pozwoli. Mam ci polecić, abyś mnie wystawiała na taras codziennie, jeżeli nie będzie padać. Codziennie mam przynajmniej pół godziny spędzać na świeżym powietrzu i słońcu.

- No, choć raz coś sensownego - zauważyła zgryźliwie Harriet. - Z całym należnym ci szacunkiem, Klaro, pragnę zauważyć, że twój ojciec przesadzał z tym dbaniem o ciebie i być może nawet w ten sposób zaszkodził twemu zdrowiu, które tak bardzo chciał zachować. Czy będziesz się stosować do rad pana Sullivana?

- Tak - odparła Klara składając list i ściskając go w dłoni. - Od tej chwili. Stęskniłam się już za świeżym powietrzem. Przez tydzień nie wychodziłam na dwór. Od czasu... Od chwili gdy zmokłam na deszczu.

Klara nie powiedziała przyjaciółce, co Freddie napisał w dwóch ostatnich zdaniach listu. Poddanie się jego poleceniom i tak nie ulegało wątpliwości. „Owszem, madame -

napisał - to jest polecenie. Spodziewam się posłuszeństwa w tym względzie.”

Będzie mu posłuszna, tak jak była posłuszna ojcu. A ojca słuchała dlatego, że go kochała, szanowała i chciała go zadowolić. Freddiemu będzie posłuszna, ponieważ... ponieważ jest jej mężem.

W ciągu następnego tygodnia jej łyzy obeschły i życie potoczyło się utartymi koleinami, oprócz kilku zmian. Wychodziła na dwór i pilnie baczyła, by każdy pobyt na świeżym powietrzu nie był krótszy niż pół godziny. Przeciwnie, wielokrotnie, z wyjątkiem szczególnie chłodnych dni jesiennych, z własnej woli sporo przekraczała zalecany czas pobytu na dworze. Pewnego dnia poleciła Robinowi, by ją zaniósł do letniego domku, gdzie Harriet przesiedziała z nią całą godzinę. Klara jednak nie powtórzyła już tego eksperymentu. Gdy tylko wróciła do domu i znalazła się sama, łyzy popłynęły jej ze zdwojoną siłą.

Zaczęła składać wizyty niemal tak często, jak je przyjmowała, uczestniczyła nawet w kilku wieczornych przyjęciach oraz jednym koncercie. Z zaciekawieniem i pewnym smutkiem przyglądała się tańcom.

Po dwóch tygodniach od wyjazdu męża apetyt Klary wyraźnie znowu się poprawił. Kiedy pewnej nocy stanęła przed lustrem i dokonała krytycznej lustracji, doszła do wniosku, że zmiany w jej wyglądzie nie są wyłącznie tworem wyobraźni. Policzki wyraźnie się wypełniły, a twarz była o wiele mniej blada niż zwykle. Uświadomiła sobie, że wygląda już na niebrzydką, a nie zdecydowanie brzydką, i uśmiechnęła się do odbicia w lustrze.

Jej życie składało się głównie z czekania na listy od Freddiego. Raczej krótkie notki niż listy w większości zawierały zdawkowe pytania o zdrowie i zalecenia. Klara zawsze odpowiadała na te listy - tak samo oficjalnie i prawie tak samo krótko - zapewniając męża o swym dobrym zdrowiu i wyrażając przekonanie, iż on także jest zdrowy, oraz zdając mu sprawozdanie ze wszystkich wypraw w ciągu tygodnia. Zapewniła go, że powozik jest jednym z najwspanialszych prezentów, jakie kiedykolwiek otrzymała. Czuła przy tym leciutkie wyrzuty sumienia, myśląc o wszystkich drogocennych klejnotach, które po-darował jej ojciec. Ale to, co wyznała Freddiemu, było prawdą. Niemal dwa miesiące po wyjeździe Freddiego nadszedł - jak co tydzień - list. Klara jak zwykle przeczytała go zachłannie, po czym przeczytała ponownie, a potem jeszcze raz. Zaczekała na powrót Harriet z krótkiej przejażdżki.

- Jedziemy do Londynu! - zawołała, gdy przyjaciółka weszła do bawialni.

Harriet w niemym zdziwieniu uniosła brwi.

- Freddie przyjeżdża do domu w przyszłym tygodniu - wyjaśniła Klara. - Tylko na jedną noc. Następnego dnia zabiera nas do Londynu.

- Do Londynu? - Harriet na moment przytknęła oczy, ale zaraz oprzytomniała i usiadła. - Ty pojedziesz, Klara. Jeśli będziesz z panem Sullivanem, to ja nie będę ci potrzebna. Zostanę tutaj lub jeśli wolisz, odwiedzę matkę.

- Nie - zaprotestowała Klara. - Ty też musisz pojechać. Proszę! Nie chcę być sama. A prawdopodobnie będę tam jeszcze bardziej samotna niż tutaj. Nikogo tam nie znam. Z wyjątkiem Freddiego, oczywiście. Ale on ma tam własne zajęcia.

- No cóż, w takim razie zgoda - odpowiedziała cicho Harriet.

Klara doszła do wniosku, że ta wiadomość bardzo podnieciła jej młodą przyjaciółkę. Biedna Harriet. Taka młodziutka i taka śliczna, a zmuszona do życia w smutku i ubóstwie. Być może... Chciałaby... Ale nie potrafiła znaleźć sposobu zainteresowania kogoś tą dziewczyną. Nie знаła nikogo takiego.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do Harriet.

Tej nocy leżała w łóżku patrząc w sufit; otwarty list przyciskała do piersi. Nie chciała, by Freddie przyjeżdżał do domu. Nie chciała także jechać do Londynu. Jeśli on przyjedzie, to potem znowu odjedzie. Jeśli ona pojedzie do Londynu, to potem znowu sama wróci do domu. Poniewczasie uświadomiła sobie, że nie jest stworzona do życia pełnego zmian i niespodzianek. Była stworzona do nudy i monotonii.

Nie chciała, by jej uczucia znowu się rozbudziły.

Nie chciała znowu go zobaczyć. I czując ucisk w gardle i swędzenie oczu postanowiła nie płakać. Za nic w świecie nie będzie płakać.

Dlaczego więc płacze? Gardziła sobą z całego serca.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Frederick natychmiast po przyjeździe do miasta pogрузzył się w wirze rozrywek i przyjemności, wkracając w swój stary styl życia tak gładko, jakby nigdy go nie porzucił. Jedynym wyjątkiem było to, że ten świat utracił jakby nieco ze swego blasku. Czegoś mu brakowało, choć trudno mu to było sprecyzować. Być może sprawił to wielki dom, zamiast użytkowanych dotąd kawalerskich pokoi. Ale przecież dom mógł jedynie poprawić komfort. Więc może był to fakt, że późne lato nie jest odpowiednią porą na przebywanie w mieście. Ale przecież zawsze większość czasu spędzał w Londynie, nie bacząc na porę roku. Przedtem nie robiło mu to nigdy żadnej różnicy.

Stał się entuzjastycznym uczestnikiem zakładów i gier w klubach, tak jak poprzednio. Brał udział we wszystkich interesujących grach w karty, zarówno w klubach, jak i domach prywatnych. Interesująca gra dla Fredericka oznaczała taką, w której stawki były bardzo wysokie. Do tego spędził kilka nocy z kobietami z towarzystwa oraz o wiele więcej z chętnymi kurtyzanami. Oprócz tego parę razy w tygodniu odwiedzał luksusowy burdel. Odrzucił jednak myśl o utrzymaniu stałej kochanki, gdy pewna szczególnie uwodzicielska kurtyzana po drugiej spędzonej z nim nocy zapragnęła rozmowy. Jakby druga noc dała jej prawo do poznania jego duszy. Kobieta była mu potrzebna do wszystkiego, ale na pewno nie do rozmowy.

Urok gry gdzieś wywietrzył i nie udało się go odnaleźć, mimo że Frederick gorączkowo gonił od jednej rozrywki do drugiej. Przegrał też zarówno w zakładach, jak i przy stoliku, choć nie bardzo wysoko. Czasami wygrywał, czasami przegrywał, czego można się zresztą spodziewać po doświadczonym graczu. Ale przegrane były zawsze wyższe i trochę częstsze niż wygrane. Po kilku tygodniach zdał sobie sprawę, że jest już winien całkiem pokaźną sumkę.

Nie było to coś, z czym nie mógłby sobie poradzić. Jego przychody całkowicie wystarczały na pokrycie prze - granych.

Aby zagłuszyć nudę i pustkę upływających dni i nocy, zaczął pić. Nigdy za dużo, znał bowiem granicę swych możliwości i się jej trzymał. Robił tak zawsze od czasu pijackiej orgii, w której uczestniczył jako osiemnastolatek, a którą tak ciężko odchorowywał przez kilka dni, że pragnął umrzeć, byle tylko się to skończyło. Dostał wtedy nauczkę. Nigdy potem nie wypijał więcej niż dwa drinki przy jednej okazji. O dziwo, biorąc pod uwagę jego inne wybryki, tego postanowienia stale dotrzymywał - aż do tej pory. Teraz wypijał trzy, potem

cztery drinki, wystarczającą ilość, by mieć dobry nastrój, lecz za mało, by się upić. Ale rankiem budził się często w cudzym łóżku, z przyprawiającym o mdłości zapachem perfum, z bólem głowy i niesmakiem w ustach.

Nieustannie myślał o Klarze. Postąpił niegodnie, a ona o tym wiedziała i wyznała mu to w chwili, gdy robił z siebie idiotę, mówiąc jej, że ją kocha, i nawet niemal w to wierząc. Znienawidził ją. Z całego serca żałował tej głupiej decyzji o poślubieniu Klary. Więzienie dla dłużników byłoby lepszym rozwiązaniem. Ojciec z pewnością nie pozwoliłby mu tam długo przebywać. Ale więzienie dla dłużników byłoby także lepsze niż smutek i rozgoryczenie ojca.

Nigdy więcej nie chciał widzieć żony. Będzie się przed tym bronił tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Będzie musiał wymyślić jakieś wymówki, kiedy odwiedzi matkę na święta Bożego Narodzenia. Nie ma zamiaru patrzeć Klarze w oczy i widzieć w nich wzgardę. Ma lusterko, które równie dobrze może mu posłużyć do tego celu.

A mimo to martwił się o nią. Współczuł żonie, rozumiejąc jej smutne i samotne życie, i odczuwał niemal świeży, palący gniew na myśl o ojcu Klary, który zadusił ją niemal swą miłością i uczynił jej życie ciężarem prawie nie do zniesienia. Klara cieszyła się ich przejażdżkami konnymi bardziej, niż inna kobieta cieszyłaby się z podróży po najweselszych europejskich stolicach. Siedząc i leżąc na trawie przed letnim domkiem była szczęśliwsza, niż gdyby ją obdarował bezcennymi klejnotami. Napisała mu, że otwarty powozik był najwspanialszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymała.

Klara potrzebuje świeżego powietrza, słońca i towarzystwa. Do towarzystwa ma Harriet Pope i wielu zaprzyjaźnionych sąsiadów. A czytając jej cotygodniowe listy z satysfakcją odnotowywał, że jest mu posłuszna. Posłuszna! Ktoś taki jak Klara był posłuszny takiemu komuś jak on? No tak, jest jej mężem. Ojcu też zawsze była posłuszna, a ten człowiek nakazywał jej spędzanie życia w cieplarnianej atmosferze. Listy żony były krótkie i oficjalne. Próbował znaleźć w nich coś osobistego, ale bezskutecznie, poza jedyną wzmianką o powoziku.

Próbował o niej nie myśleć. Każde z nich ma własne życie. On ma pieniądze, których tak rozpaczliwie potrzebował, a ona ma godną szacunku pozycję, którą chciała osiągnąć. Teraz oboje już nic nie są sobie dłużni.

Pod koniec września zjechał do Londynu lord Archibald Vinney i następnego dnia złożył wizytę przyjacielowi.

- A więc wróciłeś między ludzi, Freddie, mój chłopcze - powitał go apatycznym, ospałym tonem, który lubił czasami przybierać. Rozejrzał się po salonie przykładając monokl do oka. - Widzę, że warto poślubić bogatą kobietę.

- Dom jest prezentem ślubnym od mojego ojca - wytłumaczył Frederick.

Lord Archibald roześmiał się i pełnym gracji ruchem opadł na fotel.

- A jak tam szczęśliwy pan młody? - zapytał. - Żyje sam, bez swej ukochanej panny młodej? Czyżby życie małżeńskie okazało się zbyt słodkie?

- Miałem w mieście sprawy do załatwienia. A dla Klary wygodniejsze jest życie na wsi.

Przyjaciół Fredericka odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Sprawy! - zawołał. - Załatwiałeś pieniądze, prawda?

- Miałem trochę szczęścia - potwierdził Frederick. Zauważył, że błyszczący monokl lorda Archibalda skierował się wprost na niego.

- Takie słowa zawsze oznaczają, że towarzyszyło temu także sporo niepowodzenia - powiedział lord Archibald.

- Co innego, gdy ma się pod ręką bogatą żonę. Zazdroszczę ci, Freddie.

Lord Archibald, nie dość że był bogaty jak Krezus, to miał odziedziczyć spory spadek. Krążyły plotki, że jego dziadek od roku lub dłużej walczy ze śmiercią.

Frederick nalał przyjacielowi brandy, a sobie szklankę wody.

- Aha, milczysz. - Lord Archibald uniósł kieliszek na wysokość oczu, zanim się z niego napił. - Czyżby moje uwagi były nie na miejscu, mój chłopcze? Czy uważasz się za żonatego mężczyznę?

- Ja jestem żonatym mężczyzną - poprawił go Frederick.

- A więc me usta na zawsze pozostaną zamknięte w tym względzie. A czy miałeś tę smakowitą panienkę do towarzystwa?

- Czyją miałem? Pannę Pope?! - Frederick zeszywniał. - Oczywiście, że nie, Archie. Za kogo ty mnie uważasz?

Błyszczący monokl ponownie skierował się ku niemu.

- Tylko mi tego nie mów. Żonaty mężczyzna. Nie próbuj mi wmówić, Freddie, że od czasu powrotu do Londynu żyjesz w celibacie. Sama ta myśl jest przerażająca. - Wzruszył ramionami.

Frederick uśmiechnął się po raz pierwszy podczas tej wizyty.

- Niezupełnie - powiedział. - Próbowałeś tych dziewcząt u Anette, Archie? Są nadzwyczajne.

- Musisz mi doradzić najładniejszą i najlepszą - odparł lord Archibald - a ja po wypróbowaniu jej wdzięków powiem ci, czy się z tobą zgadzam.

Panowie zadzierzgnęli więc na nowo więzy przyjaźni, a lord Archibald dotrzymał

słowa - nie wracał już więcej do tematu małżeństwa. Ale Frederick był lekko zirytowany. Wyglądało na to, że przyjaciel jest przekonany, iż w małżeństwie Fredericka nie ma nic, co mogłoby go zatrzymać w domu. Była to zawołowana i być może nie zamierzona zniewaga wobec Klary.

Frederickowi to się nie podobało - nie lubił być obrażany ani pośrednio, ani wprost. Klara zasługuje na lepszą opinię. Dziesięciokrotnie lepszą.

Pewnej nocy, gdy szczęście w kartach mu sprzyjało, wypił o wiele za dużo, ponieważ nawet satysfakcja z wy-granej nie dała mu oczekiwanej radości. Ostatecznie upił się tak bardzo, że trzeba go było odnieść do domu. Dopiero następnego dnia zorientował się, że przegrał całą wygraną i jeszcze więcej. Tak bardzo źle się czuł przez cały dzień, że wieczorem upił się znowu. To samo powtórzyło się następnego dnia. Wydawało mu się, że kontynuowanie picia jest jedynym sposobem, by jako tako utrzymać się w formie. Wreszcie nadszedł taki dzień, gdy się upił do nieprzytomności.

Po trzech dniach piekła i tortur nadeszła depresja tak głęboka, że nie miał ochoty nawet podnieść się z łóżka. Sama myśl o trunkach, kartach czy kobietach przyprawiała go o mdłości. Wszystkie przyjemności życia wydały mu się nic niewarte.

Pewnego chłodnego i pochmurnego ranka, będącego idealnym odbiciem nastroju Fredericka, lord Archibald wyciągnął go na przejażdżkę do parku. W zasięgu wzroku nie było prawie nikogo.

- Wszyscy mieli dość rozumu, by w taki dzień zostać w domu przy kominku - mruknął przez zęby Frederick.

- Kłopoty w małżeństwie, Freddie? - zapytał jego przyjaciel po kilku minutach ciszy, tonem przepojonym niezwykłym u niego współczuciem. - Żałujesz tego?

Frederick zaśmiał się krótko.

- Przecież nie możesz udawać, że to małżeństwo nie istnieje - drażył lord Archibald.

- Bo istnieje. Ostrzegam cię, Archie, ani słowa o mojej żonie. Jestem w takim nastroju, że odpowiedzi mogę udzielić jedynie pięścią.

- Hmm... istnieje, ale nie istnieje. I jeśli nie da się go zignorować, drogi chłopcze, to trzeba mu stawić czoło. To chyba w ogóle jedyna możliwość, nie sądzisz?

- Od kiedy to z ciebie taki mędrzec i doradca? - zdziwił się złośliwie Frederick.

Jego przyjaciel uniósł monokl do oka i przyjrzał się dokładnie dobrze zbudowanej i pewnej siebie pokojówce, która przechodziła obok nich prowadząc psa na smyczy.

Wydał usta z uznaniem, a kiedy na niego zerknęła, dotknął runda kapelusza.

- Odkąd poczułem chęć ponownego ujrzenia tej małej złotowłosej dziewczyny do



towarzystwa - wyznał. - Jeśli zdecydujesz się na wyjazd do Kentu, Freddie, to pojedę z tobą. Jako moralne wsparcie.

- Tego mi tylko brakuje - zauważył Frederick. - Lubieżny i rozwiązły arystokrata uwodzący damę do towarzystwa mojej żony tuż pod moim nosem. Jeśli tego dotąd nie zauważyłeś, to informuję cię, Archie, że to cnotliwa dziewczyna, która w dodatku nie ma najlepszej opinii o ludziach z naszej sfery.

- Dobrze się składa - powiedział lord Archibald. - Sypianie z chętnymi dziewczuchami może się czasem sprzy-krzyć, Freddie. Nie znaczy to oczywiście, że należy sypiać z tymi niechętnymi, ale w zmiękczeniu cnotliwego oporu istnieje pewne wyzwanie. A więc, czy zamierzasz pojechać do Kentu?

- Nie.

- Szkoda. - Lord Archibald westchnął i zwrócił swe zainteresowanie oraz monokl na zbliżającą się ku nim amazonkę, za którą jechał w odpowiedniej odległości chłopiec stajenny.

- Jak myślisz, czy to piękność, czy zwykłe szkaradzieństwo? Stawiam pięć funtów na to, że jest piękna.

- Stoi - zgodził się Frederick. - Moje pięć funtów na to, że jest paskudna. Kto będzie sędzią?

- Honor - odparł przyjaciel. - Nie będę udawał, że widzę piękność, jeśli ty nie będziesz udawał, że ujrzałeś szkaradzieństwo.

Frederick stracił pięć funtów, natomiast lord Archibald uzyskał ponure spojrzenie starszego stajennego za przytknięcie palców do kapelusza i zbyt długie patrzenie w oczy młodej damy.

Frederick pomyślał, że za nic nie wróci do Ebury Court.

Nie ma powodu, by tam wracać. Nie chce jej więcej widzieć. A ona z pewnością też nie chce go oglądać. A gdyby pojechał, to jak powinien się zachować? Jak autokratyczny małżonek? Skruszony mąż? Skrzywił się na tę myśl. Czarujący mąż? Klara przejrzy go na wylot, drugi raz się nie uda. Nie, nie ma sensu wracać.

A jednak przez kilka następných dni wiele razy przy-pominał sobie słowa przyjaciela. Wyglądało na to, że nie da się ignorować faktu, iż ma żonę. Czy istotnie jedynym wyjściem było stawienie czoła temu wszystkiemu? Coś jeszcze chodziło mu po głowie od pewnego czasu. Nazwisko. Doktor Graham. Zaprzyjaźniony z Douglasem Dan - fordem lekarz, który został wezwany do Ebury Court, by zbadać Klarę, i wyjechał stamtąd po głośnej sprzecze.

Frederick nigdy nie słyszał tego nazwiska, ale też rzadko zasięgał porad lekarskich. Po zaczerpnięciu kilku informacji szybko się zorientował, że doktor Henry Graham jest jednym z

najbardziej znanych i najdroższych lekarzy w Londynie. Cóż, należało się spodziewać, że dla sir Douglasa Danforda tylko najlepszy będzie wystarczająco dobry. Frederick zamówił wizytę w gabinecie lekarza.

Doktor Graham z początku niechętnie odniósł się do rozmowy o byłej pacjentce z obcym i nie związanym z nią człowiekiem.

- Powinienem to wyjaśnić od razu - usprawiedliwił się Frederick. - Panna Danford jest teraz panią Sullivan. Moją żoną.

Ten fakt oczywiście wszystko zmieniał. Frederickowi zaproponowano zajęcie miejsca w fotelu oraz drinka. Pierwsze przyjął, za drugie podziękował.

- Nie słyszałem o tym, że wyszła za mąż - powiedział doktor Graham. - Bardzo się cieszę - zapewnił, choć w jego oczach, taksujących gościa, dało się wyczuć cień niepewności co do wypowiedzianych słów.

- Badał pan kiedyś moją żonę w Ebury Court - przy-pomniał mu Frederick. - Interesuje mnie, co pan wtedy stwierdził.

- To było dawno temu - zauważył doktor.

- Jeśli nawet, to chciałbym wiedzieć. Na czym właściwie polega jej choroba?

Doktor zacisnął usta czując nawrót gniewu.

- Pan nie znał Danforda? - zapytał. - Był upartym głupcem, panie Sullivan, choć zaliczałem go niegdyś do grona przyjaciół. Bardzo mi było żal jego córki, tej nieszczęsnej dziewczyny.

- Dlaczego?

- Błada, chuda i wątła. Czy wciąż jest taka? Danford oddychałby nawet za nią, gdyby tylko mógł. Poza tym robił za nią i dla niej wszystko.

- Z jej słów odniosłem wrażenie, że ją kochał - zauważył Frederick.

- Jest taki rodzaj miłości, mój panie, który zabija. To zdumiewające, że pani Sullivan jeszcze jest wśród żywych. Musi mieć wybitnie silny organizm.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że właściwie nic jej nie jest? - zapytał zdumiony Frederick.

- Nie widziałem jej już kilka lat - powiedział doktor Graham. - Niewątpliwie chorowała podczas pobytu w Indiach. I to ciężko chorowała. Miesiące, a nawet lata, które musiała spędzić w łóżku, bardzo ją osłabiły. Po powrocie do Anglii można ją było z powrotem postawić na nogi, choć kosztowałoby to wiele czasu, wysiłku, niewygód, a nawet bólu. To zbrodnia, że nie została odesłana do Anglii dużo wcześniej, ale zorientowałem się, że Danford nie zniósłby rozłąki z córką.

- A więc mogła znowu chodzić? - zapytał Frederick. Doktor wzruszył ramionami.

- Gdyby chciała - odparł po chwili. - Gdyby miała motywację i dostatecznie silną wolę. To nie jest paraliż, panie Sullivan. Wyłącznie osłabienie na skutek trwającej latami, wycieńczającej choroby.

- A teraz? - Frederick wpatrywał się w lekarza. - Czy może chodzić?

- Straciła następne lata, przez co jest jeszcze słabsza. Poza tym zbliża się już chyba do trzydziestki.

- Ma dwadzieścia sześć lat - poprawił doktora Frederick.

- Kto to może wiedzieć? - zastanawiał się doktor Graham. - Nie mogę postawić diagnozy pacjentce, której nie widziałem od wielu lat.

- Czy zbada ją pan? - zapytał Frederick.

- W Ebury Court? - Doktor Graham zmarszczył brwi. - Panie Sullivan, jestem zajęтым człowiekiem, a poza tym nie wyniosłem stamtąd miłych wspomnień. Zostałem znie-ważony. Usłyszałem, że chcę zabić córkę przyjaciela, że chcę jej zadać zbyteczny ból i cierpienie. Lekarz nierad słyszy takie słowa.

- Przywiozę ją do miasta - zapewnił Frederick. - Czy przyjmie ją pan, doktorze?

Doktor znowu wzruszył ramionami.

- Jeśli pan sobie życzy. Nie jestem tylko pewny, czy pan sam wie, co chciałby ode mnie usłyszeć. Panie Sullivan, ja jestem już śmiertelnie zmęczony ulegającymi modzie pacjentkami, które pragną usłyszeć, że mają tak modnie słabe zdrowie. Są to zwłaszcza damy, które szukają pretekstu do spędzania całych dni na sofie i chcą budzić współczucie swym delikatnym wyglądem.

- Chcę, żeby mi pan powiedział, doktorze, że moja żona może znowu chodzić - powiedział Frederick. - Przyjmę do wiadomości wszystko, co pan powie. Jeśli nie będzie mogła chodzić, to trudno. Ona już się nauczyła żyć cierpliwie i odważnie ze swym kalectwem.

- O, tak - zgodził się doktor. - Pamiętam. Myślałem wtedy, jaka to wielka szkoda, że w tej biednej dziewczynie nie ma śladu buntu.

- I nadal nie ma - powiedział Frederick. - Była posłuszną córką i jest posłuszną żoną, doktorze. Czy pan ją zbada?

Doktor Graham wstał z fotela i wyciągnął rękę.

- Proszę mnie poinformować, kiedy żona będzie w mieście. Muszę przyznać, że satysfakcją napawa mnie fakt, iż ma ona męża, który wydaje się bardziej zatroskany stanem jej zdrowia niż własną wygodą.

Frederick nie był szczególnie zachwycony tym komple-mentem. Czasami miał wrażenie, że jego życie jest jednym wielkim oszustwem. Oszukiwał nawet wtedy, gdy próbo-wał tego nie czynić.

Jeszcze tego samego dnia napisał do żony list, w którym zapowiedział swój przyjazd do Ebury Court w następnym tygodniu oraz zabranie jej wraz z panną do towarzystwa do Londynu dzień później.

Frederick wyglądał wspaniale, był niezmiernie przystojny i męski. Rzecz jasna, dobrze pamiętała, że jest przystojny. Myślała, że idealnie go pamięta. A jednak przeżyła lekki wstrząs na ponowny widok ciemnej głębi jego oczu, ciemnego loku opadającego na czoło, szerokich ramion i klatki piersiowej oraz długich nóg. Zaparło jej dech w piersiach na myśl, że z tym mężczyzną przeżywała tak intymne chwile, zarówno na jawie, jak i w marzeniach.

Twarz miał poważną, nie uśmiechał się, był oschły, acz uprzejmy. Czarująco i oficjalnie uprzejmy w każdym geście - gdy pochylił się i uniósł jej dłoń do ust, uklonił się Harriet, zajął miejsce w fotelu i przyjął filiżankę herbaty. Opowiadał o Londynie i panującej tam ponurej pogodzie jesiennej. Mówił o swojej podróży i o wypadku po drodze, gdy wywracający się wóz wieśniaka wprowadził stangeta w paroksyzm gniewu i rozdrażnienia. To dość zabawne opowiadanie rozśmieszyło zarówno Klarę, jak i Harriet.

Kochany, czarujący Freddie. Ale tym razem nie usiłował wyrzec dobrego wrażenia, a jedynie wypełnić panującą ciszę. Ani razu nie popatrzył jej w oczy. Nawet na Harriet spoglądał częściej niż na nią. A więc nadal się gniewa. Albo wciąż jest zawstydzony i zakłopotany.

Gdy z okna salonu obserwowały jego przyjazd, żalo-wała poniewczasie, że nie odesłała Harriet. Być może gdyby zostali sami, sprawy ułożyłyby się poręczniej. Albo i nie. Nie mogła jednak znieść myśli o znalezieniu się z nim sam na sam i błagała Harriet o pozostanie.

- Miałyśmy szczęście dziś rano i zdążyłyśmy się prze-jechać powozikiem, zanim zaczęło padać - powiedziała. - Byłyśmy na dworze prawie całą godzinę. Prawda, Harriet?

Harriet skwapliwie poświadczyła jej słowa.

- Miło mi to słyszeć, madame - powiedział. A więc jeszcze jej nie przebaczył. Nie wrócił do domu z potrzeby serca. W takim razie dlaczego przyjechał?

- Dobrze wyglądasz - zauważył.

- Tak. Czuję się świetnie. - Zastanawiała się, czy zauważył, że jej twarz się zaokrągliła, a bladość ustąpiła. Czy wydaje mu się mniej brzydka niż przedtem? Jak gdyby to miało jakieś znaczenie.

- Zabieram cię do miasta na konsultację lekarską - poinformował. - Do doktora Grahama.

- Doktora Grahama? - powtórzyła ze zdziwieniem. - Ale ja się dobrze czuję, Freddie. A on ostatnio powiedział tacie tylko to, że mam żyć spokojnie, unikać chłodu i wysiłków. Nie chcę, by powtórzył ci to samo. Codzienne spacerowanie sprawiają mi wielką przyjemność.

- Mimo to - kontynuował - odwiedź go, madame. Tak szybko, jak to tylko możliwe. Czy jesteś przygotowana na jutrzejszy wyjazd?

- Tak, oczywiście - potwierdziła. - Napisałeś mi, że tak ma być.

- Być może wolałby pan, abym ja nie jechała, sir - odezwała się Harriet.

Klara wiedziała, że jej przyjaciółka ponad wszystko pragnie pojechać do Londynu.

- Przeciwnie, panno Pope - zaprzeczył. - Moja żona będzie potrzebowała w mieście pani towarzystwa, tak samo jak tutaj.

Harriet skinęła głową w niemej zgodzie. Klara rozważała nowy pomysł, który właśnie wpadł jej do głowy. No tak, oczywiście. Frederick chce, by doktor Graham ją zbadał i orzekł, czy będzie mogła urodzić dziecko. Bo przecież pewnego dnia Freddie będzie baronem i zechce mieć syna, który zostanie jego dziedzicem. A ona prawdopodobnie nie będzie mogła mu go dać. Choć nie zdawała sobie sprawy, że miała jakąś nadzieję, to jednak poczuła gorzkie rozczarowanie, gdy się zorientowała, że po niemal dwóch tygodniach pożycia małżeńskiego nie zaszła w ciążę.

Nie była pewna, czy zdoła znieść chłodny werdykt lekarza, że nigdy nie będzie przy nadziei. Jeszcze bardziej ciążyłaby jej myśl, że Freddie będzie o tym wiedział.

- Harriet - odezwała się - bądź tak dobra i pociągnij za dzwonek, dobrze? Chcę, żeby Robin zaniósł mnie do pokoju. Już pora przebrać się do kolacji, chyba że chcesz jeszcze posiedzieć z pół godziny, Freddie?

- Nie - odparł wstając z fotela. - Proszę nie dzwonić, panno Pope. - Pochylił się nad Klarą i wziął ją na rękę.

Nie spodziewała się tego, chociaż podczas jego pobytu w Ebury Court sam ją przenosił z miejsca na miejsce. Była zaskoczona i nie zdołała obronić się przed wrażeniem, jakie wywołał dotyk jego ciała. Objęła go za szyję. Włosy miał teraz znacznie dłuższe. Wyglądał z nimi jeszcze atrakcyjniej.

Frederick nie powiedział ani słowa i nie spojrzał na żonę, kiedy niósł ją na górę schodami tak szybko jak zawsze. Chciała oprzeć mu policzek na ramieniu, jaki zwykła była to czynić, ale nie zrobiła tego. Trzymała głowę odchyloną, jak wtedy, gdy niósł ją Robin.

Frederick posadził Klarę na krzesło w gotowalni i po-ciągnął za sznur dzwonka

wzywającego pokojówkę. Za-wahał się, jakby wyczuwając, że wyjście z pokoju bez słowa będzie zbyt obcesowe.

- Freddie - zaczęła. Witaj w domu, chciała powiedzieć. Cieszę się, że cię widzę. Przebac mi. Nie przebaczyłeś mi jeszcze, prawda? Chciała, by zapanowała między nimi harmonia, chciała zawrzeć pokój. Ale nie mogła znaleźć właściwych słów.

Ich oczy na sekundę się spotkały. Potem Frederick pochylił głowę, pocałował ją chłodno i krótko, nie rozchylając nawet warg. Wyszedł z pokoju, zanim pojawiła się pokojówka.

Obiad i następujące po nim dwie godziny upłynęły o wiele przyjemniej, niż się spodziewała. Frederick postanowił być zabawny i czarujący i wspaniale mu się to udało. Nawet Harriet była pod wrażeniem. A mimo to cała atmosfera była bardzo bezosobowa. Klara z pewną nostalgią wróciła myślami do tygodnia po ślubie, kiedy to Freddie rozbawiał ją w ten sam sposób, ale trzymał ją przy tym za rękę lub obejmował ramieniem. Nie mówiąc już o uśmiechach, pocałunkach i czułych słówkach, które tak ją irytowały.

Gdyby tylko zdołała wtedy przełknąć irytację i nic nie powiedzieć! Ale prawdopodobnie i tak nic by to nie dało.

I tak zmęczyłby się po kilku tygodniach tym udawaniem i wyjechał do Londynu. Możliwe, że trochę później. Ale ta chwila by niewątpliwie nadeszła. Nic by się nie zmieniło. Może jedynie patrzyłby jej w oczy i zwracał się po imieniu.

Gdy nadeszła pora spoczynku, zaniósł ją do sypialni i wezwał pokojówkę. Słowem nie wspomniał, czy wróci do niej później. Ale Klara nie spała czekając na niego z nadzieją, że przyjdzie, i zarazem wątpiąc w to. Pragnęła go aż do bólu. Chciała go czuć przy sobie. Chciała czuć jego ciało, ciepło warg, pragnęła głębokiego intymnego zespolenia.

Po kilku długich i samotnych godzinach w końcu zapadła w sen.

Frederick ponad godzinę chodził tam i z powrotem po swej sypialni, zanim położył się do łóżka i przeleżał bezsennie dalszą godzinę lub dwie.

Klara jest jego żoną. Miał pełne prawo pójść do niej i ją posiąść. Nigdy nie okazała mu niechęci w tym względzie. Przeciwnie, nawet w noc poślubną była pełna pożądania i chętna. Po tej nocy jej radość i chęć kochania się tylko wzrastała. Zawsze osiągała pełne zaspokojenie, nawet budził ją w środku nocy, żeby się po raz drugi kochać.

Nietrudno było ją zadowolić, ponieważ wychodziła naprzód oczekiwaniom i zawsze okazywała jedynie za-chwyty, niezależnie od tego, gdzie znalazły się jego usta lub ręka. Była całkowicie pozbawiona zahamowań, czego mógł po niej oczekiwać, tak jak po każdej damie, którą wybrałby na żonę.

Nic go nie powstrzymało przed pójściem do Klary. Pragnął jej, pragnął niespodziewanie mocno. Nawet myśl o owych doświadczonych kobietach, z którymi sypiał przez ostatnie dwa miesiące, nie zaćmiła faktu, że tej nocy pożądał własnej żony.

Wspomnienie tych wszystkich dziewcząt i kobiet, z którymi oddawał się miłosnym igraszkom z takim entuzjazmem, zmusiło go do zastanowienia się nad swym postępowaniem. Na szczęście nie jest chory. Wybierał sobie kobiety z daleko posuniętą ostrożnością, aby uniknąć ryzyka. Ale mimo to miał do zaoferowania żonie jedynie swe zbrukane ciało. Tę jego część, którą dawał innej kobiecie przed dwoma dniami. I jeszcze poprzedniej nocy. I przez wszystkie noce w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Klara zasługuje na coś lepszego.

Pomijając fakt, że nim gardzi. Rozpoznała w nim łowcę posagu i oszusta, którym był w istocie. Musi go nienawidzić, chociaż potraktowała go z łagodną uprzejmością. Od chwili powrotu doświadczał jej łagodności i pozbawionej ciepła uprzejmości. Mimo że bez dyskusji wykonywała wszystkie jego polecenia.

Tak, musi go nienawidzić. Jakże mogłoby być inaczej? Bóg jeden wie, jak bardzo sam siebie nienawidzi.

Walczył z pożądaniem, choć trudno mu to przychodziło, jako że nie był do tego przyzwyczajony. Walczył i wygrał. Kosztem paru godzin snu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Klara kilkakrotnie przejeżdżała przez Londyn, ale nigdy nie zatrzymywała się tu na dłużej. Zawsze marzyła, by poznać to miasto, którego nigdy tak naprawdę nie widziała. A może tęskniła za stylem życia, którego nigdy nie było dane jej zaznać? Takie myśli przychodziły jej do głowy, kiedy powóz jechał ulicami miasta ku ich domowi. Wokół tętniło życie, panował nieustanny ruch i hałas.

- Och, jakie to cudowne! - zawołała wyciągając szyję, by zobaczyć wszystko, co dało się zobaczyć z okna. - Popatrz, Harriet. Czy widziałaś kiedyś coś takiego?

- Nie - odparła Harriet cicho, choć Klara wiedziała, że przyjaciółka jest tak samo podekscytowana. - Zawsze mi się wydawało, że Bath jest zatłoczone i ruchliwe, ale w żaden sposób nie da się tego porównać.

- Żadna z pań nie była wcześniej w Londynie? - zapytał Frederick.

- Jedynie przejazdem - odparła Klara. - Wiele lat temu, kiedy właśnie powróciliśmy z Indii, a ja wciąż byłam chora. Natomiast Harriet nie była tu w ogóle.

- Muszę więc dopilnować, abyście zobaczyły wszystko, co jest warte obejrzenia.

Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała przyjazna nuta. Czyżby ta wypowiedź oznaczała, że zostaną w Londynie dłużej niż dzień lub dwa? Więc nie będzie to tylko krótka wizyta u doktora Grahama? Będzie jakieś zwiedzanie? Coś w rodzaju wakacji? Klara spojrzała na męża i uśmiechnęła się z wahaniem.

- Wszystko? - zapytała. - Nic nie zostanie pominięte, Freddie?

- Absolutnie nic. - Na moment, zanim zdążył odwrócić wzrok, dostrzegła w jego oczach zapowiedź uśmiechu.

Zastanawiała się, co robił w tym mieście przez dwa miesiące. Ale nie miała zamiaru dłużej o tym rozmyślać. Jej ojciec także tu przyjeżdżał od czasu do czasu na parę tygodni w interesach. Domyślała się, co to za interesy, podobnie jak nawet jako dziecko wiedziała, dlaczego piękna młoda Hinduska, pełniąca w ich domu nieokreśloną funkcję służącej, przyjechała z nimi do Anglii.

Nie miała zamiaru myśleć o Freddie i innych kobietach. Od samego początku wiedziała, że nie będzie jej wierny, i podchodziła do tego chłodno i spokojnie. Teraz, gdy jest jego żoną i zdążyła go dobrze poznać, stało się to trochę trudniejsze. Myśl, że robi to z inną kobietą, sprawiała jej przykrość. Z innymi kobietami.

- Czy dom jest ładny? - zapytała go.



- Za chwilę sama zobaczysz - odpowiedział. - Będzie ci się wydawał dużo mniejszy niż Ebury Court, ale mnie się podoba.

Trzypiętrowy dom stał przy ładnym, cichym placyku. Frederick wniósł żonę do wysokiego hallu, z którego na piętro wiodły dębowe schody. Gdy przedstawiał jej gospo-dynię, ta dygnęła z uśmiechem; lokaj sztywno skłonił się w pas.

- Czy chcesz obejrzeć pokoje na parterze? - zapytał Frederick.

- Mój fotel jest w powozie bagażowym - odparła. - Jestem za ciężka, by mnie nosić, Freddie.

Nie zważając na te słowa zaniósł ją do pierwszego pokoju po lewej, poleciwszy uprzednio gospodyni, by wskazać pannie Pope jej pokój.

- Salon przyjęć - poinformował Klarę. - Matka wybrała umeblowanie do wszystkich pomieszczeń. Jeśli zechcesz cokolwiek zmienić, Klaro, zrób to bez wahania.

Ale ona nie będzie tu przecież mieszkać. Umeblowanie nie ma żadnego znaczenia. A może? Czyżby sugerował, że będzie tu przez pewien czas przebywała? Mieszkała w Londynie? Będzie mogła pojechać do teatru i na koncerty? Jakież by to było cudowne!

- O czym myślisz? - zapytał. - Nie podoba ci się?

- Ależ bardzo - odparła. - Myślę o tym, że jestem dla ciebie za ciężka, Freddie.

- Ważysz tyle co piórko - zapewnił ją. - No, może półtora piórka. Trochę przybrałaś na wadze.

- Przebywanie na świeżym powietrzu zaostrzyło mi apetyt - wytłumaczyła. - Teraz będę musiała uważać, żeby nie zostać grubasem.

- Do tego niebezpieczeństwa jeszcze bardzo długa droga przed tobą - uspokoił ją. - Wyglądasz świetnie.

Ten komplement rozgrzał jej krew w żyłach. Dwa miesiące temu powiedział jej, że wygląda pięknie i że ją kocha. I tamte słowa wcale jej nie poruszyły. Tym razem pochwała z jego ust brzmiała o wiele bardziej szczerze.

- A na policzkach masz rumieńce - dodał po chwili.

- Nigdy jeszcze nie czułam się tak zdrowo. Freddie, czy jesteś pewien, że musimy zawracać głowę doktorowi Grahamowi? To całe oglądanie, osłuchiwanie i opukiwanie uważam za kłopotliwe i zawstydzające.

- Mimo to pójdziesz do niego na wizytę, Klaro. Wy-szedł z salonu i ruszył w stronę gabinetu i biblioteki.

Mówił do niej po imieniu!

Gabinet był urządzony w męskim stylu, choć komfor-towo - na pierwszy rzut oka

wydawało się, że jest tam tylko samo drewno i skóra. I znikoma liczba książek.

- Biblioteka - powiedziała - prawie bez książek. Frederick uśmiechnął się pod wąsem.

- Książki nie są moją mocną stroną. Będziesz musiała zapłacić te półki, Klaro. Jesteś zagorzałą czytelniczką, w dodatku obdarzoną dobrym smakiem.

No tak, ale jeśli ma kupić książki, a potem je przeczytać, to przecież musi przez pewien czas tu pomieszkać.

Frederick pokazał żonie jadalnię, w końcu posadził ją w fotelu w bawialni. Klara rozejrzała się. Pokój był urządzony w tonacji zielonej i złotej.

- A teraz napijemy się herbaty - zakomunikował Frederick. - Potem zaniosę cię do twojego pokoju, gdzie będziesz mogła odpocząć.

Harriet nie zeszła na dół, siedzieli więc sami i to spojrzeli na siebie, to odwracali wzrok. Rozmawiali o tym pokoju, o całym domu, o smaku i jakości herbaty i smaku ciasta porzeczkowego.

- Freddie - odezwała się w końcu Klara zdobywając się na spojrzenie mu prosto w oczy - przebaczyłeś mi?

- Czy przebaczyłem? - Miał absolutnie puste spojrzenie. - Nie mam ci czego wybaczać. W końcu powiedzieliśmy sobie prawdę. Prawda zawsze jest lepsza od fałszywych pozorów.

Klara kiwnęła głową i ponownie zatopiła wzrok w filiżance.

- Wyjechałeś. Myślałam, że jesteś zły i rozgniewany.

- Nasze małżeństwo, Klaro, niczym się nie różni od tysiąca innych - powiedział. - Jest to małżeństwo z rozsądku, odpowiadające nam obojgu. Nie musimy jednak być wrogami tylko dlatego, że nie łączy nas miłość. Wymuszona bliskość mogłaby doprowadzić do wzajemnej wrogości, a byłoby szkoda, gdyby tak się stało. Każde z nas potrzebuje określonej swobody, by żyć własnym życiem. Miesiąc miodowy nigdy nie trwa wiecznie. Byliśmy niemądrzy oczekując, że tak będzie.

Były to chłodne i rozsądne słowa. Nie pasowały do uwodzicielskiego Freddiego. Powiedział dokładnie to, o czym Klara myślała przed ślubem. Dlatego, że nie łączy nas miłość. Te słowa nie powinny ranić. W żadnym wypadku, byłaby to bowiem najwyższa głupota. Te słowa po prostu wyrażają prawdę. Miłość ich nie łączy. Muszą mieć swobodę, by żyć własnym życiem, ona w Ebury Court, on w Londynie. Tak, tego właśnie oczekiwała od samego początku. Przecież powtarzała sobie, że będzie zadowolona, jeśli będzie go miała dla siebie od czasu do czasu.

Nic się więc nie zmieniło. Ale czy aby na pewno?

- Nie zgadzasz się ze mną? - zapytał. - Uważasz, że jestem zbyt niegodziwy nawet na partnera w formalnym małżeństwie?

- Nie. - Ponownie spojrzała na niego. - Jesteś moim mężem, Freddie. A poza tym zgadzam się z tobą. Owszem, tego właśnie oczekiwałam po naszym małżeństwie. Nie pragnęłam tego, o czym prawdopodobnie myślisz.

- No cóż, w takim razie w porządku. - Odstawił filiżankę ze spodeczkiem i wstał. - Sprawa ta została wyjaśniona ku naszemu obopólnemu zadowoleniu. Uważam, że równie dobrze możemy rozwiązać następną. Czy nadal będzie to prawdziwe małżeństwo, gdy od czasu do czasu będziemy wspólnie przebywać pod jednym dachem? Czy też nie? Jakie masz zdanie na ten temat?

- To jest małżeństwo, Freddie - odparła. - Jestem twoją żoną.

Pochylił się, by wziąć ją na ręce.

- Świetnie - stwierdził. - Ja również jestem tego zdania.

Klara objęła męża za szyję i zamknęła oczy. Czowała się jednocześnie szczęśliwa i spięta. A więc stanęło na tym, że to małżeństwo będzie dokładnie takie, jak je sobie wyobrażała i jakiego pragnęła. Będą spędzali trochę czasu i to w ten sposób, w jaki powinien żyć mąż z żoną. Będą również takie chwile, straszliwie się dłużące, które ona i Freddie spędzą oddzielnie, kiedy będą nadal komunikować się za pomocą krótkich, cotygodniowych listów.

I to powinno wystarczyć. To będzie musiało wystarczyć.

- Jesteś zmęczona? - zapytał.

- Uhm... Troszeczkę - przyznała otwierając oczy.

- W takim razie musisz trochę odpocząć. - Otworzył drzwi do sypialni Klary, przytulnego pokoju urządzonego w różnych odcieniach niebieskiego. Frederick położył żonę na łóżku, ściągnął pantofelki i wsunął poduszkę pod jej plecy. - Wydam polecenia, by nie niepokojono cię przez najbliższą godzinę.

- W takim razie spóźnię się na kolację - zauważyła uśmiechając się.

- Kolacja może poczekać - zapewnił ją.

Klara nagle uświadomiła sobie, że bardzo go lubi. I że tęskniła za nim o wiele bardziej, niż była skłonna przyznać; brakowało jej towarzystwa Freddiego i jego troski o jej wygodę. Dobrze było znowu być z nim. Miała tylko nadzieję, że potrwa to dłużej niż dzień lub dwa. Wyciągnęła do niego rękę.

- Dziękuję ci, Freddie.

Unióś jej rękę do ust, ucałował wewnątrz dłoni i zacisnął na niej palce gestem, który był szczególnie serdeczny. Potem okrył żonę watowaną kapą aż po brodę.

- Śpij dobrze, moja ko... - Urwał i uśmiechnął się smutno. - Śpij dobrze, Klaro - powtórzył.

Gdy wychodził, uśmiechała się; potem zamknęła oczy czując, jak coś ściska ją w gardle.

Doktor Graham przyszedł następnego dnia po południu, o wiele szybciej niż Frederick mógłby się spodziewać po tak uznanej sławie w dziedzinie medycyny. W związku z tym posłał do lorda Archibalda posłańca z wiadomością, że nie będzie mógł odbyć z nim zaplanowanej popołudniowej przejażdżki.

Frederick wiedział, że Klara jest zaniepokojona koniecznością poddania się badaniu, choć niewiele o tym mówiła. Przypuszczał, że kobieta tak skromna z trudnością zezwala na dotykanie jej i oglądanie przez lekarza. Do czasu nadejścia doktora dotrzymywał żonie towarzystwa, opowiadając jej i panie Pope o miejscach i budynkach londyńskich, które zamierza im pokazać w ciągu najbliższych dni. Ale Klara rzadko się uśmiechała; podejrzewał, że niewiele do niej dotarło z tego, co opowiadał.

Kiedy oznajmiono przybycie doktora, Frederick zaniósł żonę do sypialni i tam ją zostawił, pełną napięcia i nie-szczęśliwą, pod opieką przyjaciółki.

- Będę na dole w bibliotece - powiedział przed odejściem, pochylając się nad nią z uśmiechem. - Przynajmniej nie stracę wiele czasu na wybieranie książki.

Klara uśmiechnęła się słabiutko i z obawą w oczach spojrzała na doktora Grahama, który otwierał właśnie ustawioną na stoliku obok łóżka wielką torbę z czarnej skóry.

Frederickowi bardzo było żal Klary, kiedy usiadł za biurkiem w bibliotece, nawet nie próbując sięgnąć po jakąś książkę. Była przed chwilą taka blada jak dawniej. Frederick był zaskakująco zadowolony z tego, że znów są razem. Przecież ani trochę nie wyładniała; nawet kilka dodatkowych kilogramów i lekki rumieniec na policzkach nie uczyniły z niej nagle piękności. Przez ostatnie dwa dni próbował patrzeć na nią obiektywnie i tak właśnie ją postrzegał. Nie było też w Klarze pod dostatkiem witalności, mogącej zatuszować brak urody. Jedynie cichy rozsądek i spokojna łagodność.

Sam nie wiedział, dlaczego jest mu z nią dobrze. Nawet w łóżku poprzedniej nocy było mu z nią dobrze, choć także nie wiedział dlaczego. Dość niechętnie poczynił pewne porównania z najbardziej satysfakcjonującymi partnerkami z ubiegłych dwóch miesięcy. Powolne, ostrożne kochanie się z Klarą powinno być o wiele gorsze i nudniejsze, ale nie było. Być może dlatego, że z nią zawsze się starał, by dać jej maksimum zadowolenia, podczas gdy z innymi kobietami zazwyczaj koncentrował się na własnej przyjemności.

Czyżby z natury nie był samolubem? Zaśmiał się w duchu ze swego niezwykłego i

nieprawdziwego wizerunku. Nie, to nie w tym rzecz. Prawdopodobnie próbował jedynie zagłuszyć w sobie poczucie winy. Zadowolili żonę w łóżku i postarali się, by zapomniała o niesprawiedliwości i krzywdzie, jaką jej wyrządził. Cóż, wypadało się tylko cieszyć, że udało im się porozmawiać, wyjaśnić pewne sprawy i zawrzeć ponownie pokój, choć nie całkowity. W gruncie rzeczy wszystko ułożyło się pomyślnie. Przez większość czasu będą żyć osobno, a ich krótkie spotkania staną się przyjemnym interludium. Czegóż więcej mógłby chcieć od związku małżeńskiego?

To konkretne interludium zamierzał trochę przedłużyć. Pokazanie Londynu żonie sprawi mu sporą radość, a wspólne wyprawy wniosą trochę życia w nudę, jakiej doświadczał od dwóch miesięcy. Zmarszczył czoło, uświa-damiając sobie, o czym właśnie pomyślał. Nuda? Jego ulubiony styl życia? No, w każdym razie na pewno będzie się dobrze bawił obwoząc Klarę po mieście i pokazując jej wszystko, co warto zobaczyć. I z radością będzie ponownie z nią dzielił łóżko przez pewien czas. Obce pokoje, silne perfumy i wyszukane akty seksualne mogą człowieka śmiertelnie zmęczyć. W skromnej niewinności i braku doświadczenia jest coś pociągającego i podniecają-cego.

Przypuszczał, że zostanie wezwany na górę natychmiast po zakończeniu badania, i zaskoczył go widok doktora w bibliotece. Frederick wstał z fotela i zdziwiony uniośł brwi.

- Wygląda na to, że pani Sullivan nie jest wielką zwolenniczką lekarzy - powiedział doktor Graham. - Odniosłem wyraźne wrażenie, że chciała mnie posłać do wszystkich diabłów. Większość modnych dam wprost mnie uwielbia, zwłaszcza gdy znajduję u nich ciężkie dolegliwości i przepisuję im lekarstwa o dźwięcznych i skomplikowanych nazwach.

- Czy podobną diagnozę może pan postawić mojej żonie? - zapytał Frederick.

- W żadnym wypadku - odparł doktor sadowiąc się w drugim fotelu i przyjmując proponowanego drinka. Frederick sobie nalał czystą wodę. - Nie widzę żadnego pogorszenia od czasu, gdy widziałem japo raz ostatni. Jak już panu wspomniałem, pańska żona musi mieć niespożyte siły. Wygląda na to, że całkowicie wyleczyła się z tej dziecięcej choroby, która zabiłaby większość kobiet lub na zawsze zaważyła na ich zdrowiu. I w istocie, ta choroba zabiła jej matkę.

Frederickowi nagle zabrakło tchu.

- A jej nogi? - zapytał. - Czy istnieje możliwość, że kiedykolwiek będzie mogła chodzić?

- Ależ oczywiście - zapewnił go doktor Graham. - Choć po tylu latach będzie to długi i powolny proces. I przypuszczalnie bolesny. Z pewnością też dokuczliwy. Ale krótko mówiąc, panie Sullivan, jeśli pańska żona będzie chciała chodzić, to nic nie jest w stanie jej w tym

przeszkodzić.

- Jak ona zareagowała na tę wiadomość? - spytał Frederick.

Doktor zmarszczył brwi.

- Nic jej nie powiedziałem. Decyzja o tym, co należy jej powiedzieć, należy do pana. Czy powinna usłyszeć, że ma delikatne zdrowie, tak jak postanowił jej ojciec? Czy też powinna wiedzieć, że jeśli chce, to może zacząć walkę o całkowity powrót do normalnego życia?

- I ja mam podjąć decyzję? - zapytał zdumiony Frederick zatrzymując w połowie drogi do ust szklankę z wodą. - A niech to diabli! Czy to możliwe, że mamy taką władzę nad kobietami?

- Krótko mówiąc, tak - odrzekł doktor Graham. - Danford wybrał swoją metodę i w konsekwencji jego córka stała się taka, jaka jest.

- Być może należałoby dać kobietom trochę więcej możliwości wpływania na ich losy. Albo przynajmniej kobiecie, która jest pod moją całkowitą kontrolą. Powiem żonie dokładnie słowo w słowo to, co pan mi zakomunikował, doktorze.

Doktor Graham dopił drinka i wstał z fotela.

- Panie Sullivan, gdyby było więcej mężczyzn podobnych do pana, być może kobiety zaczęłyby uważać, że słabowite zdrowie nie jest tak modne, i być może mężczyźni tacy jak ja mogliby poświęcić swój czas i zdolności tym, którzy są naprawdę chorzy. Muszę jednak przyznać, że nie znam nikogo, kto byłby ekspertem od nauki chodzenia dla osoby, która nie chodziła od dziecka. Obawiam się, że jeśli pańska małżonka postanowi podjąć ten trud, to jedynie zdrowy rozsądek i determinacja zdołają jej w tym dopomóc.

Frederick pokiwał głową i odprowadził doktora do drzwi.

- Jestem wdzięczny, że zechciał się pan pofatygować - powiedział. - Zwłaszcza że pacjentka cieszy się znakomitym zdrowiem. Mam nadzieję, że już nigdy nie będę zmuszony pana do niej wzywać, doktorze.

Doktor Graham uściśnął mu dłoń i uśmiechnął się.

- W taki sposób nigdy bym nie zarobił na chleb. Frederick odpowiedział mu uśmiechem.

Klara lekko drżącą dłonią chwyciła podaną jej przez Harriet szklankę wody.

- Bogu dzięki, że już po wszystkim. - Westchnęła. - Cóż to za dziwny, milczący człowiek. Pamiętałam, że był taki sam, kiedy ojciec krzyczał na niego w Ebury Court. Ciekawe, czy to badanie wystarczy Freddiemu. I w ogóle zastanawia mnie, dlaczego właściwie wpadł na taki pomysł?

Ta myśl dręczyła ją już od kilku dni. Czyżby myślał, że jest ciężko chora, ponieważ nie może chodzić? A może uważał, że wcale nie jest chora, tylko udaje? Ostatecznie odrzuciła przekonanie, że Freddie chciałby się dowiedzieć, czy jest zdolna urodzić mu dziedzica; doktor w ogóle nie zbadał jej pod tym kątem.

Czy Freddie wstydzi się tego, że ona nie może chodzić? Czy wstydzi się żony kaleki? Nie, to idiotyczny pomysł. I tak nie ma w niej nic, co mogłoby napawać go dumą więc nie ma dla niego znaczenia, czy może chodzić, czy nie.

Doktor nic nie powiedział, a ona o nic nie zapytała.

- Myślisz, że coś nie jest ze mną w porządku? - spytała Harriet. - To znaczy, poza tym wszystkim, co jest oczywiste.

- Doktor Graham przybierze poważną minę, zakomunikuje panu Sullivanowi to, o czym od dawna dobrze wiesz, i odbierze swe słone honorarium - odpowiedziała Harriet. - Nie powinnaś się przejmować takimi głupstwami, Klaro.

- Cóż ja bym poczęła bez twego zdrowego rozsądku, Harriet! - zawołała Klara ze śmiechem.

W tym momencie otworzyły się drzwi i uśmiech zgasł na jej ustach, ustępując miejsca obawie. Freddie miał bardzo poważną minę.

- Panno Pope, jeśli pani ma ochotę, to proszę już zejść na dół na herbatę i odprężyć się - powiedział. - Niedługo przyłączymy się do pani.

Po wyjściu Harriet Klara z jeszcze większą obawą obserwowała męża niespokojnym wzrokiem. Freddie usiadł na brzegu łóżka i ujął jej dłoń w obie ręce.

- Co mi jest? - zapytała. - Czy to jakieś pozostałości po tej dziecięcej chorobie, Freddie? Czy to jej nawrót? Ale ja przecież czuję się tak dobrze.

- I nie ma się co dziwić - odparł ściskając jej dłoń. - Doktor Graham stwierdził, że jesteś absolutnie zdrowa, Klaro.

- Mogłam ci to samo powiedzieć za darmo, gdybyś mnie tylko zapytał.

- Powiedziałem: absolutnie - powtórzył. - Masz bardzo słabe nogi, Klaro, ponieważ nie używałaś ich od dziecka. I nie ma żadnego innego powodu, dla którego nie mogłabyś znowu chodzić.

Och, nie. Już dawno temu nakazała sobie porzucenie wszelkich nadziei. Nauczyła się żyć z tym kalectwem, zaakceptowała je i się przystosowała. Ta wiadomość nie jest jej potrzebna. Nie od Freddiego, który nie wie nic o niej, nic o jej marzeniach i nadziejach, których musiała się pozbyć w obawie o utratę zmysłów i zdrowego rozsądku.

- Przestań - szepnęła.

- Możesz chodzić. - Mocniej ścisnął jej dłoń. - Będzie to długi, powolny i trudny proces, ale możesz to osiągnąć. Jeśli tylko będziesz tego chcieć.

- Tatuś mówił, że nigdy nie powinnam się męczyć - powiedziała. - Twierdził, że jeśli będę podejmować wysiłek, to osłabnę i nastąpi nawrót choroby. Doktor Graham to właśnie wtedy powiedział, Freddie. Dlaczego teraz zmienił zdanie?

Frederick zastanawiał się przez chwilę, zanim jej odpowiedział.

- To było kilka lat temu. Doktor stwierdził, że od tamtej pory twoje zdrowie polepszyło się do tego stopnia, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. Możesz chodzić, jeśli będziesz tego chciała.

Chodzić. Klara zamknęła oczy. I tańczyć. Była to pierwsza idiotyczna myśl, jaka jej przysłała do głowy. Kilka tygodni temu na wieczorze towarzyskim przypatrywała się tańczącym znajomym z sąsiedztwa i gorąco zapragnęła choć chwilę wyjść ze swej cielesnej powłoki, opuścić mdłe ciało i zatańczyć wraz z nimi. Taniec jest chyba czymś najcudowniejszym na świecie.

- Nie płacz - poprosił ją cicho.

Czyżby płakała? Kiedy otworzyła oczy, były wilgotne.

- Nie mogę, Freddie. Nie mogę nawet poruszyć nogami.

- Trzeba na to trochę czasu - uspokoił ją. - I wysiłku.

- I przypuszczalnie wszystko będzie na próżno - stwierdziła z goryczą. - Czy dlatego mnie tu przywozłeś, Freddie? Czy to właśnie miałeś nadzieję usłyszeć?

- Tak - potwierdził.

- Ale dlaczego? - zapytała. - Jakie to ma dla ciebie znaczenie, czy ja chodzę, czy też nie? - Słuchała swych słów z pewnym zaskoczeniem. Dlaczego po prostu nie powiedziała, że mu dziękuję? Przecież powinna mu być wdzięczna. Bez niego mogłaby się nigdy nie dowiedzieć, że stan jej zdrowia uległ poprawie od tamtych czasów.

- Jesteś moją żoną - odparł.

Na dodatek ułomną. Niepełnym człowiekiem. Obrazą dla jego urody i siły. Piękny i bestia. Wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale wpadła w panikę.

- Czy to po to, by uratować swe sumienie? - zapytała. - Czujesz się lepiej wyrządzając mi przysługę, która może się w końcu okazać niedźwiedzią przysługą?

Miała ochotę odgryźć sobie język. Słyszała jeszcze echo własnych słów w ciszy pokoju. Dlaczego to powiedziała? Przecież wcale tak nie myśli. Wyglądało na to, że wypowiedziała słowa, zanim zdążyła się nad nimi zastanowić. Czy mogła mu to zrobić po raz drugi i w dodatku tym razem bez cienia jego winy?



Frederick wstał.

- Decyzja należy do ciebie, madame - powiedział. - Doktor niezbicie twierdzi, że możesz to uzyskać jedynie dzięki sile woli. Twojej woli, nie mojej. Tego akurat nie mogę ci polecić ani nakazać. Wszystko zależy jedynie od ciebie. Mnie to nie dotyczy. Niezależnie od tego, czy będziesz chodzić, czy nie, moje życie nie ulegnie zmianie.

Dobrze. A więc odpłacił jej pięknym za nadobne. Są kwita. Chciała mu podziękować za troskę i zorganizowanie wizyty doktora, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Pora już zejść na herbatę. - Frederick pochylił się nad nią.

- Jestem trochę zmęczona - odparła. - Chyba zostanę w łóżku, Freddie.

Ale mąż wziął ją na ręce.

- Decyzja o tym, czy będziesz chodzić, należy do ciebie, madame. Ale o tym, czy będziesz zdrowa, czy nie, ja będę decydował. Nie pozwolę, byś została całkowitą inwalidką.

Obejmując go za szyję pomyślała, że zabrzmiało to jak wypowiedzenie wojny. Czy kiedykolwiek stanie na no-gach? Czy to naprawdę możliwe? Czy pewnego dnia będzie mogła iść obok niego? Jechać konno obok niego? Zatańczyć z nim? Pokusa, by w to uwierzyć, była niemal nieodparta. Westchnęła obserwując mocno zaciśnięte w upartym grymasie usta męża.

Być może pewnego dnia nauczy się również trzymać na wodzy swą skłonność do agresji wobec innych, kiedy czuje się zagrożona, skrzywdzona lub przestraszona. Nie podejrzewała się o taką reakcję, choć może ją usprawiedliwić działaniem w samoobronie. A poza tym jak dotąd zachowywała się w ten sposób jedynie wobec Freddiego. Może dlatego, że czuje się mniej od niego warta?

Kiedy Freddie otworzył drzwi do salonu, ponownie głęboko westchnęła, po czym na widok gościa zmusiła się do uśmiechu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy zaanonsowano przybycie gościa, Harriet samotnie siedziała w salonie i zastanawiała się, jakiej odpowiedzi należy udzielić czekającemu lokajowi. Nie wiedziała przecież, jak długo pan Sullivan będzie przebywał z Klarą na górze, zanim zniesie ją do salonu. Z drugiej jednak strony dość często sama przyjmowała gości, zarówno w Bath, jak i w Ebury Court. A poza tym знаła już lorda Archibalda Vinneya. Był obecny na ślubie Klary - wysoki dżentelmen o arystokratycznym wyglądzie, bez żenady używający monokla w celu onieśmienia oglądanej osoby i przypatrujący się Harriet w chwili, gdy pan Lesley Sullivan dokonywał ich wzajemnej prezentacji. Było to przenikliwe, ostre spojrzenie, które przewiercało ją na wylot. Spojrzenie srebrnego, dużego oka. Mogłaby przysiąc, że miał srebrne oczy.

- Proszę wprowadzić jego lordowską mość - poleciła lokajowi, po czym wstała dokładając wszelkich starań, by wyglądać tak majestatycznie, jak mogła wyglądać młoda dziewczyna ze zubożałej rodziny, utrzymująca się z posady damy do towarzystwa.

Przypomniała sobie również, że lord Archibald jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Zapamiętała także okazywane jej przez niego zainteresowanie. Ale Harriet była osobą mocno stojącą na ziemi i bardzo dobrze rozumiała powody owego zainteresowania. Gdyby była panną Pope z dziesięcioma tysiącami dochodu rocznie i z tytułem arystokratycznym, być może sprawy wyglądałyby inaczej. Ale nie była.

Lord Archibald wkroczył do salonu przybierając pozę wystudiowanego zaskoczenia i bawiąc się monoklem, po czym złożył jej elegancki ukłon.

- Ooo, panna Pope - powiedział. - Cóż za nieoczekiwana przyjemność.

Harriet dygnęła. O tak, niewątpliwie nie myliła się, zapamiętując go jako atrakcyjnego mężczyznę. Nie jest tak uderzająco przystojny jak pan Sullivan, ale co najmniej dziesięć razy bardziej atrakcyjny. Przynajmniej w jej oczach. Był ubrany modnie i elegancko - miał na sobie zielony żakiet, bufiaste spodnie i lśniące buty do kolan z białymi czubkami; sprawiał wrażenie człowieka nie przywiązującego specjalnej wagi do wyglądu, jakby dobierał ubrania na chybił trafił, a one jedynie przez przypadek wspinały się na nim i znakomicie ze sobą harmonizowały.

- Pan i pani Sullivan lada chwila się tu pojawią, milordzie - poinformowała go Harriet.  
- Coś ich zatrzymało w pokojach na górze.

- ■ Doprawdy? - zapytał wznosząc brwi i przykładając monokl do oka. - Jakież to

czarujące. Zaczynam niemal zazdrościć memu przyjacielowi.

- Czy zechce pan spocząć, milordzie? - Harriet wska-zała fotel. Dopiero gdy usiadła i spojrzała mu w oczy, przygotowana do uprzejmej konwersacji, dotarło do niej, co miał na myśli. Poczwała palący rumieniec na policzkach i przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, jaka właściwie jest pogoda, by móc ją skomentować w rozmowie.

Lord Archibald ponownie przyłożył monokl do oka.

- Jak uroczo się pani rumieni, panno Pope - zauważył. - Niektórym damom nie udaje się zaczerwienić tak, by nie mieć równocześnie czerwonych plam na szyi i, ehm, dekolcie. Pani się jednak do nich nie zalicza, Gratuluję.

W ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie powie-dzieć: dziękuję.

- Jaki dziś ładny dzień mamy, nieprawdaż, milordzie?

- zagaiła. - Powietrze jest świeże i orzeźwiający.

- Wiatr jest dość chłodny.

- Owszem, zgadza się, ale słońce mocno świeci.

- Tylko wtedy, gdy nie skrywa się za chmurami.

- Tak - zgodziła się. - W takim razie jest to ładny; dzień.

Harriet oderwała wzrok od krawata lorda Archibalda i przeniosła go na jego twarz. Przekonała się wtedy, że znowu tak się jej przygląda, jakby przez jej twarz widział włosy z tyłu głowy. O Boże, jak łatwo wpadła w pułapkę! On sobie z niej żartuje. Z małej prowincjonalnej gąski. Wyprostowała plecy.

- Spodziewam się, że znalazł pan ciotkę w dobrym zdrowiu w Bath, milordzie? - spytała.

- Ona ma zbyt zły charakter, by zachorować - odparł.

- I jest za bardzo uparta, by umrzeć, choć ma już osiem-dziesiątkę. A może nawet dziewięćdziesiątkę? Nigdy nie jestem pewien. Przeżyje całą swoją i moją generację, panno Pope, a w dodatku uprzykrzy życie dalszemu pokoleniu.

- Ooo - mruknęła Harriet. Takie wypowiedzi o ciotce wydały się jej pozbawione szacunku. Zupełnie nie wiedziała, co ma powiedzieć. - Cieszę się, że jest zdrowa.

W jego świdrującym spojrzeniu dostrzegła cień rozba-wienia. A więc on się z niej naigrawa! Bawi się nią jak zabawką. Dumnie uniosła podbródek.

- Wyczerpaliśmy już temat pogody - powiedział lord Archibald. - A także poruszyliśmy temat zdrowia. Co więc nam jeszcze zostało, panno Pope? Moda?

- Obawiam się, że niewiele wiem na ten temat - odparła. - Całe życie spędzałam daleko od miasta. - Nie mówiąc o tym, że nigdy nie miała dosyć pieniędzy, by móc sobie

pozwolić na modny strój.

Obrzucił ją od stóp do głów badawczym spojrzeniem, choć, co stwierdziła z niejaką ulgą, tym razem nie przyłożył monokla.

- Uważam za bezsporny fakt, panno Pope, że uroda jest ważniejsza od mody. Niektóre damy w ogóle nie muszą być modne.

Harriet ponownie oblała się rumieńcem. Choć komplement nie był bezpośredni, to jednak jego wzrok zarówno się naśmiewał, jak i podziwiał ją. Nagle przyszło jej do głowy, że potrzebuje przyzwoitek. Nie powinna była go przyjąć mimo przekonania, że Klara i pan Sullivan niebawem pokażą się w salonie. Ale przecież była tylko damą do towarzystwa, a one nie potrzebują obecności przyzwoitki.

- A więc odgrywa tu pani dziwną rolę wobec pary, która kontynuuje swój miesiąc miodowy - orzekł lord Archibald. - Niefortunna trzecia osoba w pas de deux.

- Nie jestem nikim w tym rodzaju, milordzie - odparła z oburzeniem. - Moim zadaniem jest dotrzymanie towarzystwa pani Sullivan, gdy tylko tego zapragnie.

- Ale akurat w tej chwili nie pragnie - zauważył - skoro jest... ehm, zajęta z mężem na górze. Cóż, ma raczej zły gust, panno Pope. Pani jest o wiele ładniejsza od Freddiego.

Niektóre komentarze nie nadają się do konwersacji, ponieważ nie da się na nie odpowiedzieć. Harriet nie odpowiedziała.

- Czwórka jest o wiele szczęśliwszą liczbą - ciągnął. - Oferuję więc moją osobę w charakterze czwartego, panno Pope, aby wyzwolić panią od haniebnej pozycji „tej trzeciej”.

Chwilami trudno jej było zrozumieć, o czym właściwie on mówi. Czy proponuje jej swe towarzystwo w Londynie? Ten pomysł wydał się Harriet niezwykle pociągający, nawet jeśli nie odpowiadał jej sposób, w jaki lord się z niej naigrawał i wywoływał w niej poczucie, że jest prowincjuszka. Ale marzyła o tym, by zobaczyć Londyn, by zakosztować modnego stylu życia, o którym do tej pory mogła jedynie śnić. A móc tego doświadczyć w takim towarzystwie... Samego lorda. Spadkobiercy książęcego tytułu.

Harriet uniosła się z fotela.

- Zadzwoń po herbatę, milordzie. Czy życzy pan sobie, bym poszła na górę i poinformowała pana Sullivana o pańskiej wizycie? - Ruszyła do drzwi.

Lord Archibald wstał również i podniósł monokl do oka.

- Być może powinna pani. Trzeba pani wiedzieć, że cieszę się reputacją pozeracza nie pilnowanych kobiet w ciągu dziesięciu minut spędzonych z nimi sam na sam. A szczególnie pięknych kobiet.

Cóż to za dziwny człowiek! Harriet znowu spiekła raka. Niewątpliwie zasługuje na

reputację człowieka doprowadzającego nie pilnowane przez nikogo kobiety do czerwienienia się w regularnych pięciominutowych odstępach. Właściwie nie należy do idealnych dżentelmenów. Ponów - nie odwróciła się do drzwi i poczuła niezmierną ulgę, gdy otworzyły się z drugiej strony i jej chlebodawcy zjawili; się w pokoju.

Gdy dokonywano uprzejmości powitalnych, Harriet zadzwoniła po herbatę i usiadła, tym razem jak najdalej od lorda Archibalda.

Po herbacie Frederick wyszedł z domu wraz z przyjacielem. Zjedli kolację u White'a w towarzystwie kilku znajomych, po czym przesiedzieli wspólnie kilka godzin rozmawiając i pijąc - Frederick pił wyłącznie wodę i kawę. Męskie towarzystwo oraz znajomą atmosferę powitał z pewnym ukontentowaniem. Czasami towarzystwo kobiet może być przytłaczające. Uświadomił sobie, że spędził z żoną zaledwie dwa dni.

Popełnił błąd. Trzeba było zostawić sprawy ich własnemu biegowi. Widocznie Klara czuła się szczęśliwa pędząc pozornie nudne życie w Ebury Court, a on cieszył się swym kawalerskim stylem życia, który zawsze mu odpowiadał. Błędem okazała się myśl, że być może wyrządza jej przysługę i uprzejmość. Ona nie pragnie takiej dobroci. Zrobił to z poczucia winy. To jej słowa, które doprowadziły go do szewskiej pasji. Frederick wcale tak nie uważał, ale skąd może mieć pewność? Być może Klara ma rację?

A niech to wszystko szlag trafi, pomyślał przyłączając się do ogólnego wybuchu śmiechu, wywołanego jakimś nieprzyzwoitym dowcipem któregoś z kolegów, i sam opowiedział inny. Niech to wszystko szlag trafi, cokolwiek owo „to” oznacza, i do diabła z nią.

Później zabrał lorda Archibalda do Anette.

- Jesteś w ponurym nastroju, Freddie - zauważył w drodze lord Archibald. - Przez cały wieczór byłeś zachmurzony.

- A co mam robić według ciebie? - zapytał Frederick z irytacją. - Bez przerwy przybierać błogi i głupi uśmiech?

Lord Archibald wybuchnął śmiechem.

- Wygląda na to, że konfrontacja okazała się porażką.

Jak długo zamierzasz ją tu trzymać, Freddie? Mam nadzieję, że wystarczająco długo, bym zdążył zawrzeć bliższą znajomość z tą panną do towarzystwa. Ona się tak cudownie czerwieni, co sprawia mi niesamowitą przyjemność. Myślisz, że dojrzała do zerwania, Freddie?

- Po moim trupie - odparł Frederick.

Lord Archibald obracał w palcach monokl, ale nie przyłożył go do oka.

- Sam jesteś zainteresowany, mój stary? - zapytał. Frederick zatrzymał się nagle.

- Słuchaj, Archie - zaczął. - Jeśli masz ochotę zarobić w nos, to jesteś na najlepszej drodze. Wydaje mi się, że tę sprawę omówiliśmy już dostatecznie jasno.

- Cóż, ale czasami można zmienić zdanie - powiedział lord Archibald. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, mój chłopie, choć jestem pewien, że nie chcesz, to muszę stwierdzić, że wbrew twej woli zrodziły się w tobie pewne uczucia do pani Sullivan. Mam wrażenie, że my, szczęśliwi kawalerowie, niedługo stracimy kompana.

- Masz słuszość - przerwał mu szorstko Frederick. - Nie interesuje mnie twoje zdanie. Kiedy przyjdziemy do lokalu Anette, poproś o Karolinę, jest najlepsza. Choć właściwie wszystkie są niezłe. Starannie dobrane i bardzo dobrze wyszkolone.

- Najlepszą poświęcisz dla mnie? - zdziwił się lord Archibald. - Doprawdy, prawdziwy z ciebie przyjaciel, Freddie.

Szczerze mówiąc Frederick nie był w nastroju do odwiedzin w burdelu, nawet z tak wyszkolonymi dziewczętami jak u Anette. Ale nie chciało mu się także wracać do domu tylko po to, by spacerować tam i z powrotem po pokoju i zastanawiać się, czy resztę nocy ma spędzić u żony. W egzekwowaniu małżeńskich praw u żony, która gardzi mężem, jest coś wyraźnie upokarzającego. Nawet jeśli sprawia jej to radość. Pojawia się jakaś nieprzyjemna myśl o żigolakach.

Karolina miała właśnie wolną godzinkę i oddaliła się z lordem Archibaldem. Lizzie również była wolna. Frederick prowadząc ją do gabinetu na górze pomyślał, że jest pod każdym względem dobrze wyposażona. Za pięć lat, jeśli nie będzie uważać albo jeśli Anette jej nie przypilnuje, Lizzie będzie gruba. Frederick często prosił o nią, ponieważ była znakomita w swoim fachu.

Usiadł z ponurą miną w nogach łóżka; Lizzie przyglądała mu się trochę niepewnie, oczekując dyspozycji, które nie nadchodziły, po czym zaczęła się rozbierać, odrzucając kolejne części garderoby. Frederick jeszcze bardziej się zachmurzył. Gdy doszła w końcu do ostatniej części ubrania, przezroczystej koszulki, wreszcie się odezwał.

- Lepiej ubierz się z powrotem, Lizzie. Mam wrażenie, że coś złapałem, i nie chciałbym cię zarazić.

Lizzie ubrała się znacznie szybciej, niż się rozbierała, po czym usiadła obok niego i pogłaskała go po włosach.

- Nic nie szkodzi, mój kochany - uspokoiła go. - Doktor wyleczy cię raz dwa i znowu możesz wrócić.

Frederick pomyślał ponuro, że w tym zakładzie już spalił za sobą mosty. Lizzie

sumiennie przekaże tę szczególną wiadomość patronce, która bardzo grzecznie, acz stanowczo, raz na zawsze zabroni mu korzystać z jej interesu. Westchnął.

Lizzie pocałowała go w policzek.

- Szkoda. Miałam nadzieję na godzinkę dobrej zabawy. Jesteś moim ulubieńcem.

- Cóż, Liz. Przecież nie mógłbym ci tego zrobić, prawda? Straciłabyś tu pracę i popadła w tarapaty.

- Jesteś prawdziwym dżentelmenem - powiedziała, znowu całując go w policzek. - Zapłaciłeś za usługę, więc powiedz, czy mogę cię zadowolić w jakiś inny sposób?

- Porozmawiaj ze mną - poprosił. Została co najmniej godzina, zanim Archie opuści przybytek Karoliny. - Opo-wiedz mi o sobie i twojej rodzinie, Liz. W jaki sposób zaczęło się to twoje aktualne życie?

- Ojej - szepnęła. - To jest zabronione.

Frederick odwrócił głowę, pocałował dziewczynę w usta i patrzył na nią uważnie spod na wpół przymkniętych powiek. To spojrzenie zawsze skutkowało.

- Ale dla mnie złamiesz przepisy, Liz.

W ten sposób spędził swą ostatnią godzinę w lokalu Anette, słuchając i dowiadując się, że dziwka także może być człowiekiem, że miała własne dzieciństwo i młodość, pełną nadziei i marzeń, tak samo jak każdy. Była to interesująca i na swój sposób nieprzyjemna lekcja. Łatwiej bowiem myśleć o nich jak o samych ciałach, których jedynym zadaniem jest zapewnienie mężczyźnie przyjemności.

Był to dla Fredericka dzień klęski. Dawno już nie czuł takiego przygnębienia. A ukoronowaniem tego wszystkiego był błogi i głupi uśmiech na twarzy Archiego, gdy ten zszedł na dół.

- Boska - powiedział lord, kiedy wychodzili z burdelu. - Pozostawienie jej dla mnie było nadzwyczajnym poświęceniem, dalece przekraczającym obowiązki przyjaźni, Freddie. Moje najserdeczniejsze dzięki, chłopie.

- Lizzie jest lepsza - odparł wściekłym tonem Frederick.

Lord Archibald dojrzał do pójścia do domu; Frederick pomyślał z irytacją, że godzinka spędzona u Anette może człowieka wykończyć. Sam nie był jeszcze gotów do powrotu w domowe pielesze. Postanowił, że zajrzy do któregoś z klubów i sprawdzi, czy odbywa się tam jakaś interesująca gra, choć nie miał zamiaru wziąć w niej udziału. Poprzysiągł sobie nie siadać do kart po ostatniej wpadce i serii długów, na szczęście bardziej umiarkowanych niż te, które zmusiły go do Zawarcia małżeństwa. Popatrzy sobie tylko, aby jakoś przetrwać te kilka godzin nocy. Oby jak najszybciej upłynęła.

Przyglądał się przez godzinę i grał przez dwie, a wyruszył do domu dopiero wtedy, gdy wszyscy pozostali postanowili zakończyć grę. Co prawda wychodząc z klubu kieszeń miał troszkę bardziej wypchaną niż wcześniej, ale humor nie poprawił mu się ani na jotę. Przecież postanowił, że nie będzie grać. A gdyby tak wysoko przegrał?

Czasami odnosił wrażenie, że nie potrafi w pełni kontrolować swoich poczynań. Zupełnie tak, jakby jego umysł i wola działały odrębnie od ciała. Rzecz jasna, że to idiotyczna myśl. Kiedy skończy się tygodniowy pobyt Klary w Londynie, podczas którego, zgodnie z obietnicą, pokaże jej wszystko co należy, odwiezie ją do Ebury Court, gdzie znowu będzie szczęśliwa, a on powróci do kawalerskiego trybu życia i odzyska czyste sumienie. Próbował być dla niej miły. Pokazał jej drogę do lepszego życia i większej swobody, a ona ją odrzuciła. Niech więc tak będzie. Doktor powiedział, że wszystko zależy od niej, a on jej to wytłumaczył.

Jeśli Klara życzy sobie pograżać się nadal w niedoli i cierpieniu, proszę bardzo, niech się pograża. On jej nie będzie przeszkadzał. Niech ją diabli porwą.

Położył się do łóżka, gdy brzask różowił się za oknami sypialni.

I tak właśnie sprawy wyglądają - powiedziała Klara, - Dasz wiarę, Harriet? Przez wszystkie te lata w Anglii mogłam chodzić, zamiast bez ustanku siedzieć na wózku i kazać się wozić z miejsca na miejsce. Przez resztę życia mogę chodzić. - Siedziały w saloniku Klary.

- Ależ to cudowna nowina! - zawołała Harriet klaszcząc z radości w ręce. - Klaro!?! Przecież to wspaniale!

- Tak, tylko że ja w to nie wierzę. Nie mogę. Kiedy dziś rano spadłam z łóżka... - Na szczęście w gotowni była pokojówka, która przyniosła dzban z gorącą wodą do mycia i na odgłos upadku pospieszyła z pomocą. Klara, choć mocno potłuczona i przestraszona, udawała, że właśnie się budzi ze snu. - Ja nie spadłam z łóżka. Próbowałam wstać. Ale moje nogi okazały się całkowicie bezsilne.

- Ależ to oczywiste - rzekła Harriet. - Mój Boże, mogłaś się bardzo groźnie poranić. Nie możesz przecież oczekiwać, że tak zwyczajnie sobie wstaniesz i będziesz chodzić tylko dlatego, że ci powiedziano, że jesteś w stanie to uczynić, Klaro. Nie chodziłaś przecież przez wiele lat.

- Równo dwadzieścia - poprawiła ją Klara. Harriet prychnęła ze zniecierpliwieniem.

- I postanowiłaś wstać z łóżka i zejść na śniadanie! Cóż za nierozwaga!

- Tak, to było raczej niemądre. - Klara czuła się głupio. - Aczkolwiek nie sądzę, że byłam tak do końca pozbawioną rozsądku, Harriet. Byłabym ogromnie szczęśliwa, gdybym



mogła postać choć przez kilka chwil. :

- Czyż nie powiedziałaś mi przed chwilą, że pan Sullivan uprzedzał cię, iż będzie to powolny i uciążliwy proces? - zapytała Harriet.

- Owszem - potwierdziła Klara z westchnieniem. - Jestem jednak znana z nieludzkiej wręcz cierpliwości. Ludzie zawsze mi mówią, że jestem niezwykle cierpliwa. Ale teraz nie mam pewności, czy tak jest naprawdę. Chcę chodzić, już, teraz. Wczoraj chciałam biegać. Przedwczoraj tańczyć. Myślę, że temu nie podołam. Jakże mogę teraz żywić nadzieję, skoro rozwinęłam w sobie tę legendarną cierpliwość, a mimo to w pewnej chwili okaże się, że moje nadzieje są płonne? To już lepiej w ogóle nie żywić nadziei.

- Ale właśnie to robisz, Klaro - powiedziała Harriet. - A ja znam cię na tyle, by mieć pewność, że nie zdołasz odrzucić tej szansy.

Klara znowu westchnęła. Oczywiście, Harriet ma rację. Zeszłej nocy leżąc w łóżku próbowała poruszać palcami u nóg. I czuła je. Czuła nawet, że się ruszają, choć wątpiła, czy ich ruchy są widoczne gołym okiem. Były takie słabe i tak bardzo oddalone od jej mózgu, że zdawało się, iż polecenia, które im wydawała, nie mogły do nich dotrzeć. Ogarnęła ją wtedy głęboka frustracja i długo w nocy płakała. Skoro palce nóg nie są posłuszne jej woli, to w jaki sposób będzie mogła zapanować nad całymimi nogami?

- Jak to trzeba zrobić, Harriet? - zapytała. - Wiedzieć, że to możliwe, to jedna sprawa, ale w jaki sposób tego dokonać, to całkiem co innego. Jeśli nie potrafię wstać i chodzić, to co mam uczynić?

Harriet usiadła, złożyła ręce na podołku i zastanawiała się.

- Ćwiczyć - powiedziała po chwili namysłu. - Musimy wymyślić ćwiczenia dla każdego odcinka nóg i stóp, aby je wzmocnić i nauczyć poruszania się. To trzeba zrobić najpierw, zanim spróbujesz opierać na nich ciężar. Myślę, że zaczniemy od palców nóg. Potem weźmiemy się za kostki, a następnie za kolana.

- Wygląda mi to na bardzo, bardzo długi proces - zauważyła Klara. - Palce do chwili, gdy będę miała trzydzieści lat; kostki, gdy czterdzieści, kolana do pięć-dziesiątki, stać będę po sześćdziesiątce, a chodzić, gdy będę miała siedemdziesiąt lat. Zatańczę zaś na swych osiemdziesiątych urodzinach.

Zaśmiała się gorzko, ale kiedy po chwili Harriet także zaczęła się śmiać, obie dostały ataku nie kontrolowanej wesołości.

- Dobrze że chociaż potrafimy w tym wszystkim dostrzec zabawną stronę - wydusiła w końcu z siebie Harriet.

- Och, Boże! - Klara otarła łzy chusteczką. - Czy w tym w ogóle jest jakaś śmieszna

strona, Harriet? Czy myślisz, że powinnam od razu zacząć ćwiczenie palców? Dwie godziny dziennie? Zamiast haftowania?

Ponownie wybuchnęły śmiechem, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i Frederick je otworzył. Klara momentalnie ochłonęła. Wyglądało na to, że jej wczorajsza reakcja na jego słowa oznaczała ponowne wykopanie topora wojennego. Zaraz po herbacie wyszedł z domu razem z lordem Archibaldem i nie wrócił na kolację, choć kazała ją podać o pół godziny później. Nie wrócił również na noc. Klara nie zasnęła aż do świtu, lecz nie słyszała kroków na schodach ani szczęku drzwi do jego sypialni. Leżała w ciemnościach i marzyła o nim, wyobrażając sobie wszystkie możliwe miejsca jego pobytu, a jednocześnie pogardzała sobą za typowe reakcje zazdrosnej żony. Nigdy przecież nie oczekiwała, że Frederick będzie oddanym i wiernym mężem. Próbowwała sobie wyobrazić wygląd tej kobiety, typ urody, jaki mu najbardziej odpowiada. Zastanawiała się, czy chodzi tu o przypadkową znajomość, czy też o stałą kochankę. Być może gdzieś w tym mieście jej mąż ma inny dom, inną kobietę i rodzinę.

- Obie panie sprawiają wrażenie bardzo wesołych - powiedział Frederick składając ukłon. - Co byście powie-działy na przejażdżkę do opactwa Westminster i być może także katedry Świętego Pawła?

Klara uznała, że jeśli nawet wrócił po nocy rozpusty, to tego po nim nie widać. Jak zwykle był ubrany z nadzwyczaj dobrym smakiem i wyglądał wręcz niezwykle przystojnie. Postanowiła, że zaakceptuje ich wzajemne stosunki na dowolnej płaszczyźnie, jak to zresztą zamierzała uczynić na samym początku małżeństwa. Kiedy Frederick zostanie w Londynie, ona będzie żyć po swojemu i korzystać z życia tyle, ile się da. Może nawet zacznie się uczyć chodzenia?

- To wspaniały pomysł, Freddie - powiedziała uśmie-chając się do męża.

- Ja zostanę w domu - odezwała się Harriet. - Będzie mi tu bardzo dobrze.

- Nie sądzę, by lord Archibald Vinney był zadowolony z popołudnia spędzonego w towarzystwie moim i mojej żony - powiedział Frederick. - Powinna pani pojechać z nami, panno Pope, aby było do pary.

Klara zauważyła z zaciekawieniem i jednocześnie pew-nym zaniepokojeniem, że Harriet spiekła raka. Choć dziewczyna pochodziła z dobrej rodziny, to jednak zubo-żałej i nie liczącej się w towarzystwie. Jej atutami wobec dziedzica tytułu książęcego były jedynie uroda i dobry charakter. Trudno to brać pod uwagę, zwłaszcza człowie-kowi tak wyrafinowanemu i światowemu, jak lord Archi-bald Vinney.

- W takim razie zgoda - cicho odparła Harriet. - Dziękuję panu.

Wszyscy zjedli wczesny lunch, po czym zaczęli się szykować do wycieczki. Klara wyglądając przez okno zauważyła promienie słońca; był to piękny dzień, choć przypuszczalnie trochę chłodny. Uwielbiała ostre powietrze jesieni, którego tak bardzo rzadko doświadczała w życiu, ponieważ o tej porze roku nie wolno jej było opuszczać domu. Miała nadzieję, że do Westminsteru pojedą odkrytym powozem.

- Jestem podniecona jak małe dziecko - przyznała się przyjaciółce, gdy Frederick wyszedł z pokoju. - To chyba strasznie niepoważne z mojej strony, prawda?

- Ja bym skakała do góry z radości, gdyby to nie było tak niestosowne - zapewniła ją Harriet.

- Zatańczymy? - zapytała Klara i obie raz jeszcze wybuchnęły śmiechem.

Klara pomyślała, że zachowują się jak dwie wygłodniałe dziewczynki, którym podsunęto pod nos misę łakoci.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Opactwo Westminster pierwszego popołudnia, katedra Świętego Pawła następnego, zamek Tower trzeciego, od-wiedziny gabinetu Madame Tussaud i wizyty w licznych galeriach, kilka przejażdżek po Hyde Parku - i ciągle pozostawało wiele miejsc, które należało jeszcze odwiedzić. Czasami Klara i Frederick jechali sami, lecz częściej w towarzystwie Harriet. Od czasu do czasu wybierał się z nimi również lord Archibald.

Frederick zauważył, że żona i Harriet zachwycają się wszystkim z nie ukrywanym entuzjazmem, dlatego serce nie pozwalało mu na skrócenie ich wizyty w Londynie. Poza tym jemu także sprawiało to radość i oglądał stolicę całkiem innymi oczami.

Na każdą wyprawę zamawiał otwarty powóz, nawet gdy dni były chłodne i wietrzne. Jedynie w deszczową pogodę wyruszali na miasto zamkniętą kareta. Nie wiedział jednak, jak pozostali znoszą te spartańskie warunki, ponieważ nikt się nie skarżył. Archie sprawiał nawet wrażenie zadowolonego.

- Czy zauważyłeś, Freddie, jak rumieńce na kobiecych policzkach mogą rozpalać ogień w zupełnie odmiennej części męskiej anatomii? - zapytał lord Archibald przyjaciela, gdy któregoś dnia zostali sami.

Mówił oczywiście o pannie Pope. Ale Frederick lubił widok zaróżowionych policzków żony, a nawet jej zaczerwieniony nos i błyszczące oczy.

Postanowił traktować swe małżeństwo tak, jak leci, z dnia na dzień, nie spodziewając się po nim za wiele i nie odrzucając tego, co daje. Na razie wyglądało na to, że oboje są rozsądnie i ostrożnie usatysfakcjonowani wspólnym życiem. Frederick nie wspominał już ani słowem na temat chodzenia, a Klara także nie wracała do tego tematu. Trudno, niech tak zostanie. On jej powiedział o wszystkim i dokładnie wyjaśnił, natomiast decyzja należała do niej. Teraz będzie szanował tę decyzję. Albo jej brak. Był trochę rozczarowany, że Klara nie ma tak silnego charakteru, jakiego się po niej spodziewał. Ale z drugiej strony, trudno mu przecież postawić się na jej miejscu. W ogóle nie był w stanie sobie wyobrazić, jak to jest.

Spędzał z żoną wiele czasu i często zabierał ją do miasta. Czasami także spędzał z nią noc. Ale nie każdą. Zdarzało się, że nie wracał na noc, bywało, że i dnie spędzał poza domem. Ćwiczył i toczył walki sparringowe w Salonie Bokserskim Jacksona; spotykał się z kolegami w klubach. Grał, czasami wygrywał, czasami przegrywał. Gdy wygrywał, uspokajał sumienie mówiąc sobie, że nic złego się nie stało, natomiast przegrane pogrążyły go w głębokiej depresji, choć zawsze przekonywał się, że w każdej chwili może z tym skończyć, tak jak to

zrobił z piciem i kobietami. Klara była jedyną kobietą, z którą sypiał w owym czasie.

Nigdy nie wychodził z nią z domu wieczorami; nie zadał sobie trudu wprowadzenia Klary do towarzystwa. Jesień nie była odpowiednią porą. A jednak sezon już się zaczynał - coraz więcej ludzi zjeżdżało do Londynu i zaczynały się wieczorne spotkania, przyjęcia i imprezy kulturalne.

- Czy chciałabyś któregoś wieczoru pójść do teatru? - zapytał żonę pewnego wczesnego poranka, gdy akurat skończyli się kochać i leżeli wtuleni w siebie, ospali, lecz nie śpiący.

- Och, Freddie. - Klara odwróciła głowę, i nawet w ciemności mógł dostrzec blask jej oczu. - Moglibyśmy? Naprawdę możemy? Tato nigdy nie pozwalał mi wychodzić wieczorami, aczkolwiek kilkakrotnie zdarzyło mi się bywać, gdy wyjechałeś z Ebury Court i było ciepło i pogodnie. Tato zawsze obawiał się chłódów wieczoru.

- Ubierzemy cię ciepło i chłód nie będzie miał do ciebie dostępu.

- Teatr... Czy to jest wspaniałe, Freddie? Och, tak, z pewnością. - Nagle jej ton się zmienił. - Ale ja nie mam się w co ubrać! Mam tylko te suknie, w które ubieram się wieczorem do kolacji.

- Ten problem da się bez trudu rozwiązać - zapewnił ją. - Jutro każę wezwać do domu krawcową. Musisz mieć nową garderobę, Klaro. Teraz, wraz z nadejściem zimy, wszyscy wracają do miasta i złączą się wieczorne spotkania, na które będziemy zapraszani.

Klara przez chwilę milczała.

- A więc zostanę tu trochę dłużej? - zapytała po chwili.

Czy zostanie? Początkowo zamierzał zatrzymać ją przy sobie przez tydzień lub dwa, zanim odeśle ją do domu, a sam zacznie żyć po swojemu i używać swobody. Tymczasem upłynęły już dwa tygodnie z okładem.

- Zobaczymy, jak się sprawy ułożą, dobrze?

Skinęła głową i przytuliła policzek do jego ramienia, a on ułożył się do snu. Ale Klara znowu się odezwała.

- Freddie - szepnęła - kiedy pójdziemy do teatru? Już wkrótce?

Frederick odwrócił się na bok, wsunął jej rękę pod głowę, po czym pocałował w usta.

- Niedługo - potwierdził. - Albo jeszcze prędzej. Zadowolona?

Klara roześmiała się cichutko.

- Musimy jednak poczekać, aż moje suknie będą go-towe. No i jak ja mam teraz zasnąć?

- Zamknij oczy i odpręż się - poradził.

O Boże, jakaż ona była podekscytowana! Zbyt pod-niecona, by zasnąć. Tylko dlatego, że zaproponował jej pójście do teatru. Poczuł, że w dziwny sposób zachciało mu się płakać. Odwrócił Klarę na bok, przycisnął do siebie i pogłaskał kojąco po plecach. Jeszcze raz ją pocałował.

Westchnęła bardzo cichutko.

Mogła zgiąć palce u nóg.

- Co jest wierutną błądą, kiedy porównam to z moją zaciśniętą pięścią. Po prostu nie mam siły w palcach u nóg. - Z wielkim wysiłkiem i maksymalną koncentracją udawało jej się poruszać stopami na boki. - Niemal wystarczająco, by dostrzegło to ludzkie oko - powiedziała.

Mogła nawet zgiąć stopę do góry o centymetr czy dwa, choć trudno by to nazwać ruchem. Natomiast kolana były zupełnie nieposłuszne jej woli.

- Czyja mówiłam, że palce dopiero około trzydziestki? - spytała przyjaciółkę pewnego poranka, opadając z wy-czerpania na poduszki. - Sądzę, że byłam zbyt optymistycznie nastawiona. To się nigdy nie stanie, Harriet. Jakże mogę mieć nadzieję, że będę chodzić?

- Być może powinnam zacząć masować ci nogi? Krew wtedy zacznie krążyć żywiej, a to pomoże im nabrać sił. Kiedyś masowałam mamie barki i plecy, ponieważ cierpiała na reumatyzm. Zawsze mówiła, że mam cudowne ręce.

Były istotnie mocne i tarły oraz masowały z siłą, która sprawiała zarówno ból, jak i ukojenie.

- Och! - jęknęła Klara, pragnąc w pewnej chwili wyrwać nogę z żelaznych dłoni Harriet. - Przynajmniej teraz wiemy, że mam w nich czucie. Jakież to musi być dla ciebie nieprzyjemne zadanie. Mam nogi jak patyki. Jak mogłam kiedykolwiek myśleć, że zdołam na nich chodzić?

Jej słowa rozśmieszyły Harriet i obie znowu wybuchnęły śmiechem. Od chwili gdy Klara rozpoczęła „ćwiczenia”, sporo się śmiały i chichotały. Klara doszła do wniosku, że śmiech jest lepszy od myślenia o bólu, od zniechęcenia, a czasami nawet rozpaczy. A Harriet pewnie uznała, że jest lepszy od współczucia, którego zapewne doświadczała.

Klara nadal płakała w samotności. Przede wszystkim ze względu na szacunek dla siebie. Płakała w te noce, gdy Frederick nie wracał do domu. Upokarzające łzy, wylewane z żalu nad sobą. Tak długo, jak była przekonana, że nie będzie mogła chodzić, akceptowała kalectwo z wystudiowaną łagodnością i pogodą ducha. Teraz, gdy na horyzoncie pojawiła się szansa, Klarę ogarnęła rozpacz. Postępy były tak minimalne, że prawie niezauważalne. To się nigdy nie zmieni. Niezależnie od tego, jak ciężko będzie pracować, nic się nie zmieni. A

przecież kosztuje ją to tyle wysiłku, koncentracji i bólu! A rezultaty są nieosiągalne!

Nic nie powiedziała Freddiemu, pracowała w tajemnicy przed nim. Jeśli się nie uda, mąż nie dowie się nawet, że próbowała. A jeśli się powiedzie - choć czasami myślała, że nigdy - no, cóż, wtedy zrobi mu niespodziankę. Czasami marzyła sobie, że pewnego dnia, gdy Freddie będzie siedział przy biurku w bibliotece, wejdzie tam powoli i będzie obserwować, jak mąż nosi głowę, a potem rozlega się zgrzyt odsuwanej krzesła, gdy gwałtownie wstaje, okrąży biurko, by chwycić ją w ramiona.

Cóż to za śmieszne marzenie, pomyślała czyszcząc nos i ocierając zapłakane oczy. Chciało jej się z siebie śmiać. Tak jakby to miało dla Freddiego jakiegokolwiek znaczenie. Przecież jeśli nawet zacznie chodzić, to i tak pozostanie chuda i brzydka. Nienawidziła swej brzydoty, uwielbiała piękno. Dla niej tylko czerń nocy, księżyc i gwiazdy. Nie należy porywać się z motyką na słońce, trzeba się zado-wolić tym, co się ma. Wyczyściła nos.

Nie, nie zadowolili się! Chce mieć słońce! I nagle doznała olśnienia, jakby spojrzała w samo serce słońca. O Boże! O dobry Boże. O Boże. Ale powtarzana inwokacja do niebios nie mogła zagłuszyć myśli, która nie wymagała sformułowania. Pragnęła miłości! Całej, pełnej, prawdziwej miłości. A dlaczego? Bo kocha Freddiego, oczywiście! Szalona, głupia, śmieszna kobieta.

To jest prawda tak oczywista, że nie ma sensu się nad nią dłużej zastanawiać. On nie wróci już tej nocy. Znowu spędzi ją z tamtą. Jeśli to w ogóle była jakaś tamta, a nie inna za każdym razem. Tak czy tak, wolał być z inną niż z własną żoną. Rozmyślała o tym, co ci dwoje robią, nawet nie próbując odpędzić od siebie tej myśli, jak to czyniła do tej pory. Śpią? Czy...

Nie, nie powie mu, że próbuje uczyć się chodzić. Jeśli jej się uda, zyska większą swobodę i będzie bardziej niezależna od swego niewiernego męża. W którym się właśnie zakochała.

W każdym razie bliskość słońca może oślepić. Do takich spraw należy podchodzić filozoficznie.

Czasami Klara rozmawiała z Harriet o Londynie, o tym, co już widziały i co jeszcze je czeka. Na ten temat mogły rozmawiać bez końca, wiecznie z taką samą radością.

- Freddie niedługo zabierze nas do teatru - powiedziała Klara tego ranka, gdy Frederick ją o tym powiadomił.

Harriet, która właśnie masowała jej nogi, spojrzała na Klarę rozmarzonymi, tęsknymi oczami.

- Pojedziecie we dwoje? - spytała. - Jak to cudownie, Klaro. Będziesz mi potem

musiała dokładnie o wszystkim opowiedzieć.

- Nie, głupia gąsko. Powiedziałam „nas”, prawda? Freddie ma zamiar zaprosić również lorda Archibalda.

- Och, Klara. - Harriet przerwała masaż. - To by było zbyt cudowne. Ale ja nie mam odpowiedniej sukni.

Klara roześmiała się głośno.

- Ja również miałam takie obiekcje - zapewniła przy-jaciółkę. - Dziś po południu, przed naszym wyjściem, przyjdzie krawcowa, którą Freddie kazał wezwać. Chce, żeby mi uszyła kilka sukien. Uszyje jedną dla ciebie. - Harriet chciała coś powiedzieć, lecz Klara jej nie pozwoliła. - W podziękowaniu za wszystko, co dla mnie uczyniłaś przez ostatnie dwa tygodnie. Nie, Harriet, nie odmawiaj. To będzie dla mnie wielka przyjemność.

- Dziękuję - szepnęła Harriet, opuszczając głowę, by z powrotem podjąć masaż, ale nie na tyle szybko, by Klara nie zauważyła łez, błyszczących w jej oczach.

- Czy ty lubisz lorda Archibalda? - zapytała Klara. Nie rozmawiały o nim dotychczas, choć często im towarzyszył.

- On lubi sobie ze mnie pożartować. Lubi, gdy się czerwienię. Traktuje mnie jak zabawne dziecko.

- Nie sądzę. - Klara spoważniała. - Czy zachował się wobec ciebie niewłaściwie, Harriet?

- Ależ skąd! - Dziewczyna spojrzała na nią zaniepokojona. - Czy sądzisz, że bym mu na to pozwoliła?

- Nie. Ale uważam, że to niebezpieczny mężczyzna. Przypuszczam, że postępuje według własnych zasad. Sądzę, że jest tobą zainteresowany.

Harriet zaczerwieniła się.

- Cóż to za nonsens.

- Harriet, jesteś bardzo rozsądna. O wiele bardziej niż ja. Ale nie mogę sobie odmówić jednej jedynej matczynej rady. Bądź ostrożna, dobrze?

- Nie mam pewności co do mojego rozsądku, ale jestem realistką - powiedziała Harriet. - Wiem, że dla lorda Archibalda Vinneya jestem jedynie zabawnym prze-rywnikiem. A teraz uważaj, jeśli popchnę ci stopę do przodu, to czy zdołasz ją popchnąć z powrotem w moją stronę i odepchnąć moją rękę? Prawdopodobnie powinniśmy spróbować najpierw tego, ponieważ nie robisz wielkich postępów w zginaniu stawów. Możemy spróbo-wać?

- Poganiacz niewolników - jęknęła Klara. - No, do-brze, w takim razie próbujmy.

Podczas ogromnego wysiłku każdego kawałeczka ciała i woli w ciągu następnej



godziny Klara pocieszała się na duchu myśleniem o teatrach i nowych sukniach, które przemieniają w olśniewającą piękność.

Jak na tę porę roku, teatr był nieoczekiwanie zapelniony. Kiedy Frederick przywiózł żonę do prywatnej łoży lorda Archibalda i rozejrzał się po widowni, zanim przeniósł Klarę na fotel, było tam prawie pełno. W ich stronę skierowała się wielka liczba monokli i sporo parlorngnon. Pomyślał, że prawdopodobnie wiele osób nie słyszało jeszcze, że się ożenił oraz że jego żona nie chodzi.

Sadowiąc ją na fotelu uśmiechnął się pokrzepiająco. W nowej niebieskiej sukni było jej bardzo do twarzy, jak powiedział wcześniej, w gotowalni, kiedy wręczył jej złoty łańcuszek z wisiorkiem z szafiru, który teraz miała na szyi - kupiony za wygraną z ubiegłej nocy. Ale dojrzał, że Klara nie potrzebuje pokrzepienia ducha. Podobnie jak panna Pope, jego żona rozglądała się wokół z zaciekawieniem i zachwytem, zupełnie nie zdając sobie sprawy z faktu, że stała się ośrodkiem powszechnego zainteresowania.

- Tutaj będzie również sztuka do oglądania, wiesz? - Usiadł obok żony i uśmiechnął się do niej. - Zachowaj trochę podziwu i dla niej, Klaro.

- Cieszę się każdą chwilą tego wieczoru. Nie żartuj sobie ze mnie, bo czuję się jak mała dziewczynka.

Wziął ją za rękę, uściśnął dłoń i jej nie wypuścił. Ponownie ogarnęło go uczucie, którego doświadczał pod koniec miodowego miesiąca, tuż przed pierwszą kłótnią małżeńską. Uczucie sugerujące, że mógłby się w niej zakochać. Chciał jej sprawiać przyjemność. Ciągle łapał się na tym, że obmyśla nowe sposoby. Lubił ją uszczęśliwiać.

- Szczęśliwa? - zapytał.

- Głupie pytanie - odparła. - Czy można tu być i nie być szczęśliwym? No, proszę, Freddie, śmieć się ze mnie.

Roześmiał się. Kątem oka zauważył, że lord Archibald powiedział pannie Pope coś takiego, co wywołało jej rumieniec. Nie było w tym nic szczególnego. Archie zapytał go, czy po sztuce mógłby odwlec moment zaniesienia Klary do powozu do chwili, gdy wszyscy już wyjdą z teatru.

- I zostawić cię samego z panną Pope? - zapytał Frederick. - Mowy nie ma, Archie.

- Chociaż na dziesięć minut - poprosił lord Archibald. - Czasami działam pośpiesznie i przez to pozbawiam się całej masy przyjemności, mój chłopcze, ale nie sądzę, by dziesięć minut wystarczyło na nawet minimalnie satysfakcjonujący gwałt. Czy nie mam racji? Nie byłoby to warte wysiłku i energii. Chcę jedynie porozmawiać z moją małą zarumienioną ślicznotką.

- Jedynie porozmawiać? - Frederick uniósł brwi.

- Cóż, prawie jedynie - poprawił się jego przyjaciel uśmiechając się. - Ty, mój drogi, oraz pani Sullivan zazwyczaj stanowicie dość uciążliwe towarzystwo w postaci dwóch przyzwoitek.

- No, dobrze, zobaczą, co się da zrobić, Archie. Ale nie życzę sobie, by dziewczyna została przestraszona lub skompromitowana.

- Freddie, mówisz jak dziadek, który wychował pięć-naście córek, a teraz wziął się do wychowywania wnuczek. To w najwyższym stopniu niepokojące.

Frederick miał nadzieję, że nie przystał na coś, co mogłoby sprawić towarzysze żony jakiegokolwiek kłopoty lub ból. Cholerny Archie. Dlaczego nie kieruje zainteresowania ku bardziej dostępnym kobietom, albo przynajmniej ku tym, które znają się na grze flirtu? Panna Pope jest jak pijane dziecko we mgle.

Klara chwyciła go za rękę w chwili rozpoczęcia przedstawienia; patrzyła na scenę z zachwytem, nie odrywając od niej wzroku aż do przerwy. Frederick pomyślał z pewnym rozbawieniem, że gdyby teatr zaczął się palić, wcale by tego nie zauważyła. Przez większość czasu przyglądał się żonie, a nie temu, co działo się na scenie. Nigdy zresztą nie był specjalnym miłośnikiem sztuki dramatycznej. Zazwyczaj odwiedzał teatr po to, by zasiąść w towarzystwie innych wolnych mężczyzn na parterze i strzelać oczami w stronę dam. Dziś jednak zerkał jedynie na żonę, choć nie czynił tego ostentacyjnie; raczej się jej przyglądał i obserwował. Zauważył, że oczy Klary błyszczą wewnętrznym pięknem.

Lord Archibald namówił Harriet do wyjścia do foyer podczas antraktu, by zaczerpnąć trochę powietrza i rozprostować kości, okazało się jednak, że korytarz jest tak zatłoczony, że ledwo mogli się ruszyć. Frederick został w łoży, by dotrzymać towarzystwa żonie, cały czas trzymał ją za rękę i słuchał z uśmiechem jej pełnej entuzjazmu analizy przedstawienia i gry aktorów.

Zatańczymy?

- Zgadzasz się? - zapytała przerywając w końcu swą tyradę.

- Zgadzam się, moja ko... Zgadzam się. Wszystko, co powiedziałaś, było mądre i masz rację, Klaro.

Popatrzyła na niego podejrzliwiej.

- Śmiejesz się ze mnie - zauważyła. - Podejrzewam, że okazywanie takiego entuzjazmu w teatrze nie jest w modzie, prawda? Ale ja zupełnie nie dbam o modę.

- A jednak, Klaro, włożyłaś suknię odpowiadającą wymogom najnowszej mody.

- Tylko dlatego, że doradziła mi ją krawcowa - wyjaśniła. - Gdyby to była suknia

według mody obowiązującej dziesięć lat temu, to nawet bym tego nie zauważyła.

Frederick roześmiał się i odwrócił, by dojrzeć, kto otwiera drzwi i wchodzi do ich łoży, po czym zerwał się na równe nogi.

- Freddie! - zawołała jego kuzynka Kamilla Wilkes, wyciągając ku niemu obie ręce i nadstawiając policzek do ucałowania. - Można by pomyśleć, że całkowicie oślepeś. Kłanialiśmy się, machaliśmy i robiliśmy wszystko, by przyciągnąć twą uwagę, oprócz oczywiście wejścia na fotele i machania rękami nad głową. Wszystko na próżno. Czyż nie mam racji, Malcolmie?

Malcolm Stacey, powinowaty Fredericka i narzeczony Kamilli, wysoki szczupły blondyn, stał obok niej i uśmiechał się.

- Witaj Freddie. - Wyciągnął rękę. - Nie wiedzieliśmy, że jesteś w mieście. My przyjechaliśmy w zeszłym tygo-dniu.

- Nasz ślub odbędzie się tuż przed świętami Bożego Narodzenia - oświadczyła Kamilla. - U Świętego Jerzego. Dasz wiarę, Freddie? Malcolm i ja należymy do ludzi unikających wielkiego rozgłosu i nic nie odpowiadałoby nam bardziej niż cichy ślub na wsi. Ale rodziny bywają w takich wypadkach straszliwie uparte. Gdy chodzi o ślub, to okazuje się, że najmniej ważnymi osobami ze wszystkich są państwo młodzi.

Frederick poczuł, że ogarnia go fala wstydu. Odszukali go i są tak bardzo przyjacielscy, a przecież dobrze wiedzą, co zdarzyło się w Primrose Park wczesnym latem. Oni, Dan i Julie oraz, rzecz jasna, on. Tylko pięć osób.

- Proszę, poznajcie moją żonę - powiedział. - Czy wiedzieliście o tym, że się ożeniłem?

Kamilla spłonęła rumieńcem.

- Tak, Freddie, słyszeliśmy - odparła przytłumionym głosem. Natychmiast zrozumiał, jaka opinia panuje w rodzinie na temat jego małżeństwa.

Klara uśmiechała się spokojnie podczas wzajemnej prezentacji.

- Proszę wybaczyć mi, że nie wstaję - powiedziała. - Nie mogę chodzić.

Z wyrazu twarzy krewnych Freddiego nie dało się odgadnąć, czy o tym także wiedzą. Kamilla ujęła dłonie Klary i usiadła obok niej. Malcolm stojąc z rękami złożonymi na plecach przyglądał się im z poważną miną. Frederick uświadomił sobie z niejaką ulgą, że cokolwiek o nim myślą, to wobec jego żony zachowują się uprzejmie.

- Dużo o was słyszałam - rzekła Klara z uśmiechem radości na twarzy. - Jesteście kuzynami Freddiego i zawsze spędzacie lato w Primrose Park z resztą rodziny. Opowiadał mi o waszych grach i zabawach i o wszystkich figlach, jakie tam płataliście.

- Z nim w roli czarnego charakteru - odparła Kamilla ze śmiechem. - Jeśli tylko była do odegrania rola pirata, rozbójnika lub bandyty, Freddie zawsze pierwszy zgłaszał się na ochotnika. Następny zjazd rodzinny odbędzie się przy okazji naszego ślubu. Ty i Freddie, oczywiście, bę-dziecie tam również. Poznasz resztę rodziny.

Frederick czuł się coraz bardziej niezręcznie.

- Jeśli mi wybaczycie, to pójdę po drinka dla Klary. Wrócę za kilka minut.

Do diabła, pomyślał idąc spieszenie wzdłuż korytarza na poszukiwanie drinka. Cóż za potworny pech! Ślub w ro-dzinie - znowu - i to w Londynie. Będzie musiał zniknąć. Będzie musiał wrócić z Klarą do Ebury Court i wymyślić jakąś wymówkę. Niech to wszyscy diabli, Dan jest przecież bratem Kamilli, a Jule jej bratową.

W wielkim pośpiechu przedzierał się przez tłum. Wpadł na trzy osoby i za każdym razem musiał się zatrzymywać, by wymruczeć przeprosiny. Za trzecim razem słowa uwięzły mu w gardle. Również dama, którą szturchnął w ramię, była oszołomiona.

- Jule - powiedział w końcu chrapliwym głosem. O, dobry Boże, oczywiście, przecież mógł się spodziewać, że oni także będą w teatrze razem z Kamillą i Malcolmem. Ale niewątpliwie odmówili sobie przyjemności złożenia mu wizyty w łoży.

- Witaj, Freddie - pozdrowiła go Julia Wilkes, hrabina Beaconswood. Jej ładna zazwyczaj, pogodna twarz była pozbawiona uśmiechu.

Frederick odchrząknął ujrzawszy towarzysza Julii.

- Dan? - powiedział skinąwszy głową.

- Witaj, Freddie. Czy Kamilla i Malcolm odwiedzili cię w łoży? Przez cały wieczór próbowali przyciągnąć twą uwagę.

- Rozmawiają właśnie z moją żoną. Wiedzieliście, że się ożeniłem?

- Tak - odparł hrabia.

Jego żona jakby straciła mowę, co w jej przypadku było więcej niż niezwykle.

- Cóż... - Frederick uśmiechnął się i próbował przybrać serdeczny wyraz twarzy. - Nie miałem jeszcze okazji, by złożyć wam życzenia. Przykro mi, że nie mogłem być obecny na waszym ślubie. Byłem bardzo zajęty.

Kątem oka dostrzegł, że hrabina wbiła wzrok w podłogę.

- Rozumiemy to - odparł hrabia obejmując Jule w pa-sie, jakby w obawie, że kuzyn mu ją uprowadzi.

- Czy mogę wam przedstawić moją żonę? - zapytał Frederick.

Hrabia się wahał. Tym razem odpowiedziała hrabina.

- Tak, Freddie, prosimy. - Mówiąc to wpatrywała się w węzeł na jego krawacie;

wreszcie wzięła męża pod rękę. - Pójdziemy, Danielu?

Tak więc Frederick został obarczony trudnym i bolesnym zadaniem zaprowadzenia krewnych do swojej łóży i dokonania prezentacji. Dan oficjalnie uklonił się Klarze, ale Julia zaskoczyła go, ujmując obie dłonie Klary i pochylając się, by ucałować ją w policzek.

- Freddie już wszystko opowiedział o nas Klarze - rzekła Kamilla ze śmiechem. - Ona zna wszystkie nasze grzeszki. Czyż to nie jest niebezpieczne?

Klara roześmiała się i spojrzała na hrabinę.

- Czy twój mąż także ci o wszystkim opowiedział? zapytała. - Mieli cudowne dzieciństwo. Zazdroszczę im tak bardzo, że nie potrafię tego wyrazić.

- Ależ ja byłam jedną z nich - odparła hrabina śmiejąc się. - I pod wieloma względami najgorszą z całej paczki. Zapytaj Daniela. Przez całe dzieciństwo zżymał się na mnie i powtarzał, że dziadek powinien mi sprawiać lanie.

- Współczuję ci. - Klara sprawiała wrażenie rozbawionej, ale Frederick marzył, by znaleźć jakiś powód do opuszczenia łóży. - Ale nie wydaje mi się, by Freddie mówił mi o tobie. Julia? Nie, nie przypominam sobie tego imienia. Czy ty zawsze tam byłaś?

- Tak - cicho odpowiedziała hrabina. Frederick zauważył, że lekko przygryza dolną wargę. - Od piątego roku życia. Ściśle mówiąc, nie byłam członkiem rodziny, jedynie pasierbicą córki byłego lorda. Był to raczej luźny związek.

- Czy podobała się wam sztuka? - zapytała z uśmiechem Klara. - Uważam, że jest cudowna, choć Freddie śmiał się z moich zachwyków. Prawdę mówiąc, to moja pierwsza w życiu wizyta w teatrze, a więc nietrudno mnie zadowolić.

Przez kilka minut konwersacja dotyczyła bezpiecznych tematów, po czym nadeszła pora, by goście pożegnali się i powrócili na miejsca; jednocześnie w łóży pojawili się lord Archibald i Harriet.

Klara odwróciła się i uśmiechnęła do męża.

- Jak to cudownie, że część twojej rodziny jest w mieście - ucieszyła się. - Teraz nareszcie mogłam zobaczyć, jak wyglądają twoi kuzyni, o których mi tyle opowiadałeś.

Frederick uśmiechnął się do żony i znów wziął ją za rękę.

- Freddie - odezwała się Klara po chwili. - Czy popełniłam niewybaczalny błąd? Zapomniałam o Julii? Kiedy powiedziała, że zawsze była z wami w Primrose Park, poczułam się okropnie głupio. Ona nawet tam mieszkała. Ale nie przypominam sobie, abyś kiedykolwiek o niej wspominał.

- Bo nigdy tego nie zrobiłem, Klaro - rzekł cicho. Oderwał wzrok od ich splecionych dłoni i spojrzał prosto w rozszerzone ze zdziwienia oczy żony. Zawahał się. - Byłem w

Primrose Park tego lata, zanim przyjechałem do Bath. Poprosiłem ją, aby wyszła za mnie, ale ona wybrała Dana.

- Och.

Ale w tym momencie rozpoczął się drugi akt przedstawienia, nie było więc już czasu na dalszą rozmowę. Nie da się ukryć, że dokładnie spartaczył całą tę sprawę. Jak Klara przyjmie to wyjaśnienie? Ale przecież nie mógł jej opowiedzieć całej historii. Nienawistna była mu nawet myśl o tej sprawie.

Z twarzy jego żony zniknął wyraz zachwyty, choć przez całą resztę przedstawienia uparcie wpatrywała się w scenę. Zastanawiał się, czy tak samo jak on niewiele na niej widziała.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy lord Archibald Vinney natychmiast po opadnięciu kurtyny wstał i poprowadził Harriet do oczekującego ich powozu, dziewczyna była przekonana, że jej chlebodawcy podążają tuż za nimi. A jednak długo nie pojawiali się w powozie.

- Jestem pewny, że drogi Freddie zauważył ten ścisk - powiedział lord Archibald zamykając drzwiczki - i doszedł do wniosku, że mądrzej będzie zaczekać, dopóki tłum się nie przerzedzi.

- Może powinnam wrócić na górę? Zastanawiała się Harriet. - Może Klara mnie potrzebuje?

Ale lord Archibald położył wypielęgnowaną dłoń na jej ramieniu.

- Pływanie pod prąd bywa szalenie wyczerpujące - zauważył. - Oni tu będą za kilka minut, panno Pope. Uważam, że mam za mało czasu przed ich nadejściem, by panią pożreć. Choć muszę przyznać, że wygląda dziś pani dość smakowicie.

Harriet poczuła, że się rumieni. Nigdy jeszcze nie miała na sobie sukni tak frywolnej i tak wspaniałej jak ta, którą Klara ofiarowała jej w prezencie.

- Teraz, gdy pani chlebodawczyni wyszła za mąż, niewątpliwie obowiązki damy do towarzystwa stały się dla pani mniej uciążliwe, nieprawdaż? - zapytał.

- Moje obowiązki nigdy nie były takimi, milordzie - odparła.

- Aha. - Uśmiechnął się. - Oto słowa sumiennej i lojalnej pracownicy. W pięknym stroju pani do twarzy, a bywanie w „wielkim świecie” ożywia panią.

Harriet milczała. Zastanawiała się, czy powinna cofnąć swoje ramię, na którym wciąż spoczywała ręka lorda Archibalda.

- Być może nadeszła pora, by na co dzień zacząć w ten sposób żyć - zasugerował. - A nie tylko od czasu do czasu zaglądać do tego świata, resztę życia spędzając w kosz-marnej nudzie.

Harriet zerknęła na lorda i zauważyła, że jego srebrne oczy leniwie się jej przyglądają. Leniwie, ale uważnie. Mimo wrodzonego zdrowego rozsądku i zdolności do stania obiema nogami na ziemi poczuła dreszczyk podniecenia. Czy to możliwe? Czy bajka o Kopciuszku czasami się sprawdza?

- Znam kogoś - kontynuował lord Archibald - kto może zaoferować pani życie na o wiele lepszym poziomie, wygodniejsze i o wiele bogatsze. Będzie pani miała własny dom, powóz i służbę. Będzie pani mogła bywać i wychodzić, kiedy tylko pani zechce, i w gruncie

rzeczy sama decydować o własnym życiu.

Serce waliło jej w gardle.

- Taka praca nie istnieje - powiedziała zduszonym głosem. Ale w rzeczywistości wcale nie o pracy myślała. Znowu spojrzała mu prosto w oczy. - Kim jest osoba proponująca mi takie warunki, milordzie?

- Ależ ja, oczywiście. - Ujął dłoń Harriet i uniósł ją do ust. - Możesz mieć to wszystko, a nawet więcej. Suknie, klejnoty, podróże. Uczyniłaś mnie swym niewolnikiem. - Jego oczy łagodnie się do niej uśmiechały.

- Och - odrzekła. Serce omal wyskoczyło jej z piersi. Chciało się jej skakać i krzyczeć z radości, ale nie pozwoliło jej na to poczucie godności.

Nagle lord Archibald pochylił się i pocałował ją w usta, lekko, lecz z rozchyłonymi wargami. Harriet nigdy jeszcze nie całowała się z mężczyzną. Po przewyciężeniu szoku odrzuciła głowę do tyłu, a jednak fala podniecenia ogarnęła ją od stóp po czubek głowy.

- Dopóki będziemy ze sobą, będziesz miała wszystko, czego zapragniesz - powiedział. - A ja jeszcze przedtem uczynię odpowiedni zapis dla ciebie i wszystkich dzieci, które się zrodzą z naszego związku, tak abyś była zabezpieczona. A teraz pocałuj mnie, moja mała czarująca różyczko, zanim nam przeszkodzą. Jutro będziemy kontynuować rozmowę.

Nigdy w życiu Harriet nie stała tak mocno obiema nogami na ziemi, jak w tej chwili. A jej serce także spłynęło do stóp.

- Nie - odparła. - I to dotyczy wszystkiego, milordzie. Mam już pracę, którą lubię i która daje mi zabezpieczenie, dziękuję panu.

- Ach. - Srebrne oczy śmiały się z niej. - Czarująca sztywna osobka. Harriet, obiecuję ci, że będziesz zadowolona. Wierz mi, że mam reputację człowieka znającego się na kobietach. Ty jesteś stworzona do lepszego życia i większych przyjemności niż te, których doświadczasz jako osoba towarzysząca damie.

- Wolę towarzyszyć damie niż dzentelmenowi, dziękuję, milordzie - zripostowała. Myślała, że jest odporna na szaleństwa. Cóż, stało się, wpadła, i to boleśnie. Ale człowiek uczy się na własnych błędach, a ona dostała dobrą naukę. Jej ojciec zawsze powtarzał, że cierpienie bardziej uczy niż szczęście. Na początku była przekonana, że słucha oświadczeń. Jakie to śmieszne. Być może już jutro zdoła się śmiać z własnej naiwności.

Lord Archibald przyglądał się jej w milczeniu przez dłuższą chwilę.

- Zastanów się nad tym - powiedział. - Być może perspektywa zostania moją kochanką nie wyda ci się tak przerażająca, kiedy to przemyślisz. Będziesz mogła żyć jak hrabina, Harriet. Wtedy, gdy będziemy razem, i potem.



Odsunęła się, kiedy wyciągnął rękę, by pogłodzić ją po policzku, i zaczerpnęła tchu, żeby coś powiedzieć. Ale w tej właśnie chwili drzwiczki powozu otworzyły się, więc zamknęła usta.

Klara jeszcze zanim usiadła naprzeciwko Harriet, zaczęła z wielkim entuzjazmem mówić o przedstawieniu i przez całą drogę do domu rozplýwała się w zachwytach. Jednak Harriet, która dobrze znała przyjaciółkę, wyczuła w jej głosie jakąś fałszywą wesołość, a w wygłaszanych opiniach brak typowej dla niej inteligencji. Poza tym Klara nie lubiła paplać.

A jednak nikt z pozostałych nie przerwał jej monologu. Nikt nie miał ochoty na podjęcie konwersacji. Harriet zastanawiała się, co zaszło między Klarą a panem Sullivanem. Skoncentrowała się na tym pytaniu, starając się ignorować milczącego mężczyznę u jej boku i próbując nie myśleć o jego propozycji. Starła się także ze wszystkich sił nie pokazać po sobie, że została wystawiona na pokuszenie. Straszliwe, grzeszne pokuszenie.

Przygniatał ją całym ciałem i wchodził w nią głęboko, poruszał się wolnym rytmem. Klara dostosowała się do niego, obejmowała go ciasno w talii, wtuliła twarz w jego - | głębienie ramienia, próbując skoncentrować się na rozkoszy, powoli ogarniającej całe ciało, tak jak zawsze. Usiłowała odwlec jak najdłuższy moment spełnienia, a gdy nadszedł, najpierw niemal boleśnie, później rozkosznie wstrząsnął jej wnętrzem. To się zawsze udawało; Freddie był dla niej cudowny w łóżku.

Tej nocy wszedł w nią bez wstępnych pocałunków i pieszczot, za to dłużej i wolniej się z nią kochał. Było jej dobrze. Bardzo dobrze. Czasami marzyła, by to trwało i trwało, by móc się tym delectować, tak żeby sam koniec, a wraz z nim największa przyjemność, wciąż był jeszcze przed nią. Czasami odnosiła wrażenie, że większą rozkosz niż samo spełnienie daje jej bliskość Fredericka, to ich szczególne wzajemne połączenie. Nie, chyba nie większą. Taką samą, lecz w inny sposób.

Jednak tej nocy jej umysł nie odprężył się, by dać ciału możliwość oddania się jedynie rozkoszy. Tej nocy nie mogła przestać myśleć. Zamknęła oczy i próbowała skoncentrować się na tym, co odczuwa ciało.

Julia jest piękna. Szczupła, gibka i bardzo, bardzo ładna. I zakochana we Freddie. Było to widoczne na pierwszy rzut oka ze sposobu, w jaki unikała patrzenia na niego, i niemal można było wyczuć panujące między nimi napięcie.

Klara nie wiedziała, dlaczego Julia poślubiła hrabiego Beaconswood. Może właśnie dlatego, że jest hrabią i oprócz tytułu mógł jej ofiarować dostatek i bezpieczeństwo. Musi więc dobrze znać Freddiego. Doskonale pewnie zdawała sobie sprawę, że na wiosnę Freddie był po uszy pogrążony w długach. Wiedziała zapewne, że to nałogowy hazardzista i

kobieciarz. I zrobiła to, co wydało jej się rozsądne.

Ale kochała Freddiego. A on kochał ją. To prawda niemal biła po oczach. „Poprosiłem ją, aby wyszła za mnie, ale ona wybrała Dana.” Klara gwałtownie odwróciła głowę i wydała z siebie zduszony jęk, który brzmiał jak szloch.

Frederick uniósł głowę i popatrzył na Klarę rozmarzonym wzrokiem spod na wpół przymkniętych powiek.

- Zadałem ci ból? - zapytał. Klara pokręciła głową.

- Jestem za ciężki? Ponownie zaprzeczyła.

Frederick pocałował ją w usta. Powoli, długo.

- Czy dobrze ci, kochana? - zapytał szeptem.

- Tak. - O, Boże, znowu ją tak nazwał! Ciekawa była, czy tak samo mocno jak ona próbował przestać myśleć o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru. Ciekawa była, czy wyobrażał sobie, że zamiast niej kocha się z Julią.

Podczas miodowego miesiąca opowiadał jej o wszystkich swoich kuzynach, kuzynkach, wujach i ciotkach. Wydawało jej się niemal, że ich wszystkich znała. Ale o Julii nawet nie wspomniał, choć przecież każde lato spędzała wraz z całą rodziną w Primrose Park. Mieszkała tam ze starym hrabią, jej przyszywanym dziadkiem. Ale w żadnej opowieści ani słowem nie wspomniał o Julii. Ponieważ ją kochał. Ponieważ poprosił ją o rękę, a ona go odrzuciła i poślubiła jego kuzyna. Ponieważ opowiadanie o niej sprawiłoby mu ból.

- Hmm - mruknął Frederick; splótł palce z dłońmi żony i przeniósł je ponad głowę Klary. Zaczął ją całować, przygotowując ją do ponownego zbliżenia.

Przyjechał do Bath z Primrose Park zaraz po tym, jak dostał kosza. Tam ją zobaczył, dowiedział się, że jest! bogata, i rozpoczął zaloty z większym cynizmem, niż” podejrzewała. Poślubił ją, choć miał obolałe serce, gdyż utracił kobietę, którą kochał. Która jego kochała.

Ciało Klary aż płonęło z pragnienia. Zaciśnęła dłonie w pięści i ponownie ukryła twarz w ramieniu męża. Być może w łóżku zawsze była dla niego Julią. Zastępstwem. Ale dla niej on zawsze, zawsze był tylko sobą.

- Ach! - zawołała i na błogosławioną chwilę utraciła zdolność myślenia. Całe napięcie ciała i cała miłość serca dygotały wokół niego, podczas gdy on szeptał jej coś kojącego do ucha, a ona wykrzykiwała jego imię.

Frederick obrócił Klarę, przytulił mocno do siebie i okrył kocem, po czym zanurzył palce w jej włosach i bawił się nimi. Wiedział, że jest nieszczęśliwa, że myśli o Jule i zastanawia się, dlaczego starannie omijał jej imię we wszystkich opowieściach o Primrose Park. „Poprosiłem ją, aby za mnie wyszła, ale ona wybrała Dana.” Czy naprawdę

wypowiedział te słowa? Było to chyba najgorsze możliwe wytłumaczenie, choć prawdziwe. Ale niecała prawda bywa czasami gorsza od kłamstwa. Jeden Bóg raczy wiedzieć, jak Klara zinterpretowała sobie to zdanie. A cały problem w tym, że nie może jej niczego więcej wyjaśnić, nie pogarszając jednocześnie sprawy.

Pocałował ją delikatnie. Próbował kochać się z nią bardzo czule, już na samym początku odrzucił myśl, by wyjść z domu zaraz po odprowadzeniu jej z teatru. Boże jedyny, gdyby знаła całą prawdę, odwróciłaby się od niego z pogardą i obrzydzeniem, jeszcze większym niż pod koniec miodowego miesiąca, gdy odkryła mu prawdę o jego oszustwie. A przecież pociągała go i żywił do niej serdeczne uczucia. Nie chodzi o to, że się w niej zakochał, ale że poznał ją lepiej i polubił. Zrodziła się w nim potrzeba chronienia Klary.

Zależało mu na niej.

Kiedy niecierpliwie poruszyła głowę, palce zaplątały mu się w gęstwinie jej włosów.

- Nienawidzę moich włosów! - powiedziała z gwałtownością, która go zaskoczyła. Myślał, że Klara już zasypia. - Są tak potwornie wstrętne! Tak jak ja cała. Nienawidzę ich.

- Klaro? - Odsunął się od niej na tyle, by dojrzeć w mroku jej twarz. - Nie są wstrętne. Są gęste, lśniące i zdrowe. A ty też nie jesteś wstrętna.

- Są straszne. - Głos jej drżał z emocji. - Wyglądają jak czarny, wstrętny turban. Inne kobiety mają piękne włosy.

- Krótkie fryzury są teraz bardzo modne - powiedział. - Twoje włosy są z natury kręcone, jak sądzę, może więc spróbujesz je obciąć?

- Krótkie też będą wyglądały wstrętne - odparła. Mówiła tonem rozdrażnionego dziecka, ale on się nie uśmiechnął. Wyraźnie było widać, że jest rozżalona, i to nie tylko z powodu włosów.

- Uważam, że wyglądałyby ślicznie - zaproponował.

- Tylko tak mówisz. Szkoda że w ogóle o tym wspomniałam. Nie wiem, dlaczego zaczęłam o tym mówić. Wcale nie chciałam.

- Jutro każę wezwać kogoś do domu, żeby ci obciął włosy według najnowszej mody - zapewnił ją.

Wyglądało na to, że fala gniewu już ją opuściła.

- Tato nigdy mi nie pozwolił obcinać włosów - mruknęła.

Gdyby spotkał jej ojca choć raz, to z pewnością ruszyłby na niego ze szpadą. Oczywiście, zaraz po tym, jak I podbiłby mu oko i wybił zęby.

- Twój mąż mówi ci, że możesz je obciąć, jeśli tylko chcesz. Zrobisz to?

- Tak - zgodziła się. - Tak, Freddie, proszę, możesz to zorganizować?

- Jutro, z samego rana - zapewnił ją i mocno do siebie przytulił. - A może nawet jeszcze wcześniej.

Roześmiała się.

- Postaraj się zasnąć - poradził jej. - Chcę, żeby moja śliczna odpoczęła.

- Dobrze, Freddie - odpowiedziała skwapliwie.

Frederick pomyślał, że gdyby ożenił się z Jule, nigdy nie spotkałby Klary. Ominęłoby go coś bardzo cennego.

Klara miała pracowity ranek. Chciała być zajęta, żeby nie myśleć. Myślenie o tym wszystkim nie miało sensu. Od samego początku wiedziała, czego się po tym małżeństwie powinna spodziewać, a czego nie. Z pewnością nie było gorzej, niż mogła przypuszczać. Przeciwnie, pod wieloma względami było nawet lepiej. Naprawdę, nie spodziewała się, że Freddie będzie dla niej taki dobry.

Niemal zrezygnowała z codziennych ćwiczeń, ponieważ przed lunchem miał ktoś przyjść, by zająć się jej włosami, a poza tym była zmęczona wczorajszą wizytą w teatrze. Nie mówiąc już o tym, że ich nienawidziła, ponieważ ją wyczerpywały i często sprawiały ból, a w dodatku codziennie napawały rozpaczą. Jeśli jednak nie wypełni coś tych kilku godzin, to pograży się w myślach, na co zupełnie nie miała ochoty.

Przeprowadziły więc zwykłą porcję ćwiczeń, a także wykonały kilka nowych. Harriet zginała jej nogę w kolanie w ten sposób, że stopa zostawała oparta na materacu, a Klara próbowała ułożyć ją z powrotem prosto na łóżku. Próbowała unieść nawet biodra w górę, co okazało się absolutnie niewykonalne, jednak materac wygiął się nie-znacznie pod naciskiem jej stóp.

- Może powinnam przerzucić nogi za łóżko - powiedziała Klara - i puścić się biegiem. Może wtedy podziałam na nie przez zaskoczenie i poniosą mnie truchtem wokół pokoju.

Była to jedna z codziennie wygłaszanych głupiutkich uwag, które zazwyczaj doprowadzały je do wybuchów śmiechu i stanowiły miłą przerwę w bolesnych ćwiczeniach. Ale nie dziś.

- Tak - powiedziała Harriet.

Klara przyjrzała się jej uważnie, któryś już raz z kolei.

- Co się zdarzyło wczoraj wieczorem? - zapytała. - Przez chwilę byłaś sama z lordem Archibaldem, ponieważ Freddie bał się wynieść mnie w tym tłoku. Czy lord zrobił coś niewłaściwego, Harriet?

- Złożył mi propozycję - odparła Harriet.

- Harriet!

- zaproponował, bym została jego kochanką. Obiecywał mi dom, powóz, suknie, klejnoty, podróże, słowem wszystko, czego zapragnę. Była to bardzo nęcąca propozycja.

- Harriet!! - Klara zeszywniała ze zgrozy. - Zabronię mu tu przychodzić! Powiem Freddiemu, że lord nie ma wstępu do naszego domu.

- To była bardzo atrakcyjna propozycja. - Harriet uśmiechała się słabo. - Czułam wielką pokusę. Całą noc nie spałam i odczuwałam pokusę.

- Harriet! - zawołała ponownie Klara.

- Och, nie obawiaj się - uspokoiła ją przyjaciółka. - Jestem nieodrodną córką swego ojca i umiem walczyć z pokusami. Ale prawdopodobnie za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat będę to wspominać i żałować, że się nie zgodziłam. Lord jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. - Harriet była blada jak ściana.

- Nigdy już nie będziesz narażona na cierpienie i ból na jego widok - zapewniła ją Klara. - Przerwiemy tę znajomość.

- Nie - zaproponowała Harriet. - To bez znaczenia. On nie był niegrzeczny. I była to w istocie propozycja. Jestem pewna, że nie zamierzał okazać mi braku szacunku. Poza tym widocznie należę do kobiet, które są odpowiednim materiałem na kochanki. Lord nie zachował się nieprzyjemnie, kiedy mu odmówiłam.

- Wolalabym, żeby Freddie zerwał z nim przyjaźń! - zawołała gniewnie Klara. - Chciałabym, żeby go wyzwał na pojedynek! Wstrętny, obrzydliwy mężczyzna!

Harriet uśmiechnęła się, po czym roześmiała niewesoło.

- A może postawimy twoje nogi na podłodze - zaproponowała - a ty pobiegiesz do niego i na sam twój widok padnie trupem ze zdumienia.

- Do tego jeszcze z nie obciętymi włosami, powiewającymi za mną jak chmura gradowa - dodała Klara.

- Z zaciśniętymi pięściami - uzupełniła Harriet.

- I z wałkiem do ciasta w ręce.

Obie zwiły się ze śmiechu. Gdy ochłonęły, Harriet szybko otarła łzy, które napłynęły jej w końcu do oczu, ze śmiechu i z żalu nad sobą. Nadszedł czas, by zakończyć ćwiczenia i przygotować się do obcięcia włosów.

- Tak się tym denerwuję, jakbym planowała obcięcie głowy - wyznała przyjaciółce. - Myślisz, że nagle przeistoczę się w piękność?

Nic takiego nie nastąpiło, jak stwierdziła godzinę później, gdy monsieur Paul pozwolił jej wreszcie spojrzeć w lustro. Nic nie jest w stanie zmienić jej w piękność. Twarz miała za

chudą, rysy zbyt brzydkie. Ale mimo to przyglądała się sobie oszołomiona.

- Och - powiedziała unosząc drżącą rękę i dotykając opadających na kark falistych loczków. Reszta włosów okalała głowę delikatnymi, krótkimi lokami i zwisała na czole oraz skroniach.

- Madame jest zadowolona? - zapytał monsieur Paul, wywijając elegancko grzebieniem i palcami kilka centy-metrów od jej głowy.

- Tak. - Oderwała spojrzenie od lustra spoglądając na fryzjera. - Och, tak. Dziękuję panu. - Trudno było jej uwierzyć, że to naprawdę ona. Nie była piękna, ale wyglądała... normalnie. Jak normalna kobieta.

- Monsieur Sullivan będzie chciał panią obejrzeć, ma-dame - powiedział monsieur Paul ruszając do drzwi jej gotowalni.

Freddie? Nie wiedziała, że jest w domu. Co pomyśli? Czy nie uzna, że w tej fryzurze wygląda jeszcze koszmar - niej? Niespokojnie zerknęła na odbicie drzwi za jej plecami.

Frederick stał przez chwilę w drzwiach i przyglądał się. Następnie podszedł bliżej i oparłszy ręce na ramionach żony poszukał jej wzroku w lusterku. Czekala na jego opinię, próbując sobie wmówić, że tak naprawdę nie ma ona żadnego znaczenia. Frederick okrążył ją i stanął z przodu, wziął za ręce i przykucnął obok. Jego ciemne oczy uśmiechały się do niej, po czym uśmiech stopniowo zakwitł mu także na ustach. Klara bezwiednie odpowiedziała mu uśmiechem.

- No i co? - zapytał.

- Jestem łysa - odpowiedziała.

- Jesteś piękna. - Uniósł jej dłoń do ust.

To było pochlebstwo. I to wysoce nieprawdziwe. Jed-nak rozgrzało ją od koniuszków palców u nóg aż do nowych, króciutkich loczków na głowie. Roześmiała się, a on pochylił się i pocałował ją w usta, po czym wstał i zaczął rozmowę z monsieur Paulem.

Po południu Frederick spędził kilka godzin na przejażdżce konnej w Hyde Parku w towarzystwie lorda Archibalda. Był pogrążony w myślach. Doszedł do wniosku, że nie użył właściwego słowa, choć nie było to jedynie czcze pochlebstwo. Nazwał ją piękną. Nie jest piękna. Nie jest nawet ładna. Ale gdy usunięto nadmierny ciężar masy włosów i pozostały wdzięczne loczki, twarz Klary w ich obramowaniu nabrała wyrazu; uwydatniły się jej klasyczne rysy i owal tak zdrowo teraz zaróżowionego oblicza. Także oczy nabrały blasku i jakby się powiększyły.

- Ach, te zimowe futra - powiedział lord Archibald skinąwszy głową ku nadjeżdżającemu powozowi, w którym obok starszej kobiety siedziała młoda dama, szczególnie

opatulona w futro. - Sam powiedz, Freddie, czy nie psują całego widoku? No więc jak, nadaje się do łóżka czy nie?

- Nie - odparł Frederick. - Ten smok nie da ci się do niej zbliżyć nawet na kilometr, Archie.

- Och, ale ja do perfekcji opanowałem sztukę obłaska-wiania smoków - zapewnił go lord Archibald, ilustrując tę wypowiedź zdjęciem kapelusza i złożeniem głębokiego ukłonu w stronę przejeżdżającego obok powozu. Przez dłuższą chwilę patrzył niemal poddańczo w oczy starszej damy; ta w odpowiedzi sztywno skinęła głową. - A jednak nadaje się, Freddie. Zdecydowanie się nadaje, jeśli twarz może być jakąś wskazówką. Słodka i najwyżej osiemna-stka, jak sędzę. Ani o dzień starsza.

- Nie wiedziałem, że lubisz dzieci - zauważył Frederick.

Lord Archibald wybuchnął śmiechem.

- Bo też i nie lubię - odrzekł. - Chętnie się im tylko przyglądam i zawstydzam je. Lubie, gdy się czerwienią. To urocze dziecko spiekło przeze mnie raka. Ona dobrze wiedziała, że patrząc na smoka widziałem tylko ją. Freddie, mój chłopcze, stajesz się trochę nudny. Jeszcze nie tak dawno stanąłbyś ze mną w zawody. Musiałem szlifować wszystkie umiejętności, by sprostać urokowi twoich oczu. Widziałem, jak kobiety całymi tuzinami padają na ich widok.

Frederick w odpowiedzi jedynie się uśmiechnął. Park był prawie pusty, nie było żadnego ruchu powozów i bardzo mało spacerowiczów, więc puścili się cwałem.

- Oglądasz dziś w mojej osobie człowieka ze złamanym sercem - powiedział lord Archibald, gdy wstrzymali konie i ponownie jechali stępa. - Wczorajszej nocy rozważałem nawet możliwość przyłożenia sobie pistoletu do skroni i przestrzelenia mózgu. Ale na samą myśl o tym, że ten cholerny spadek przypadnie temu pompatycznemu głupkowi, który jest moim kuzynem, postanowiłem się poświęcić i żyć dalej. Wyobraź sobie, mój chłopcze, że wczorajszego wieczoru dostałem kosza. Czy po powrocie do domu musiałeś walczyć z ogólnie panującą histerią?

- Kosza? - Frederick przyjrzał się uważnie przyjacielowi. - Przez pannę Pope? Oświadczyłeś się jej, Archie?

- Oświadczyłem? - Lord Archibald uniósł brwi i sięgnął po monokl, który schował w kieszeni. - Czy ty istotnie masz na myśli małżeństwo, Freddie? Ożenię się dopiero wtedy, gdy konieczne się stanie urządzenie pokoju dziecinnego. I zanim się zacznie ten horror, mam przed sobą jeszcze trzy albo cztery lata przyjemnego życia. A gdy nadejdzie stosowna pora, to bez wątpienia wybiorę jakąś młódkę, w której żyłach obok lodu płynie bardzo, ale to bardzo

błękitna krew. Dostałem kosza jako kochanek, mój chłopcze, i to pięknie oprawionego w „nie, dziękuję, mi-lordzie”.

- Mogłem ci z góry powiedzieć, co od niej usłyszysz - powiedział Frederick. - Panna Pope ma dużo zdrowego rozsądku.

- Rozsądku? - powtórzył lord Archibald. - Wybierając życie pełne ponuractwa i niewdzięcznej harówki, nie urażając twej żony, mój stary, zamiast przygód, luksusu i zabezpieczenia?

- I codzienne oraz conočne ujeżdżanie bez błogosła-wieństwa kościoła? - uzupełnił Frederick. - Nie, Archie, istnieje pewien typ kobiet, które uważają, że to za wysoka cena.

Jego przyjaciel parsknął śmiechem.

- Minąłeś się z powołaniem, Freddie. Powinieneś zostać przedstawicielem wzmiankowanego kościoła. Czy tym właśnie jest dla ciebie małżeństwo? Na samą myśl można dostać gęziej skórki. No, dobrze, co dalej? Kolacja u White'a? A później wizyta u Anette? A jeszcze później może jakaś mała gra? Jeśli dziewczynki u Anette nie okażą się zbyt wyczerpujące.

Propozycja była kusząca. Zwłaszcza kolacja u White'a. Oraz myśl, by nie wracać do domu i nie stanąć twarzą w twarz ze wspomnieniami, tajemnicami i poczuciem utraty godności. Ale jeśli pójdzie z Archiem na kolację, to będzie także zobligowany towarzyszyć mu u Anette, a siedzenie w salonie i czekanie na niego będzie zbyt kłopotliwe i zawstydzające. Chyba że Lizzie już powiedziała o wszystkim i Anette wykopie go za drzwi. Jeśli zaś tak się nie stało, to może wylądować na górze z którąś dziewczynką i zrobić z nią to, co wczoraj w nocy z dużą czułością robił z żoną. Wówczas niesmak i obrzydzenie do samego siebie zagnają go do klubu i zmuszą do gry o wysoką stawkę do samego rana.

Jeśli wygra, to czy kupi Klarze następny klejnot, by uspokoić sumienie? A co będzie, gdy przegra?

- Zabieram Klarę na świeże powietrze o piątej - powiedział. - Wybierzemy się kiedy indziej, Archie. Nie zapraszam cię do nas, bo panna Pope chyba nie byłaby zachwycona.

- Nie byłbym tego taki pewien - odparł lord Archibald z uśmiechem. - Poza zwykłym „nie, dziękuję” wyraźnie słyszałem słowa „i chciałabym mieć na tyle odwagi, by powiedzieć tak, i zrobię to, jeśli będzie pan nalegał, milordzie”. Ale dzisiaj z tobą nie pójdę, Freddie. Dajmy tej małej zarumienionej ślicznotce kilka dni odpoczynku, niech zatęskni i upewni się, że przyjąłem odmowę.

- Na twoim miejscu, Archie, skłaniałbym się raczej do pogodzenia się z myślą, że u tej panny nie uzyskasz niczego poza koszem - powiedział Frederick.



- Załóżmy się - zaproponował rozpromieniony lord Archibald. - Stawiam pięćdziesiąt gwinei, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem będzie moja, drogi Freddie. A nawet więcej, sto. Nie tylko się zgodzi, ale zostanie już skonsu-mowana.

- Stoi - zgodził się Frederick. - Sto gwinei.

Podali sobie ręce, po czym rozjechali się w przeciwnych kierunkach - jeden pojechał do White'a, drugi do domu.

Zaraz po wejściu do domu Frederick wyczuł obecność gości, choć w hallu nie było żadnych śladów wskazujących wizytę.

- Mamy gości? - zapytał kamerdynera.

- Hrabina Beaconswood oraz szlachetnie urodzona panna Wilkes z wizytą do pani Sullivan, proszę pana - odpowiedział kamerdyner z wyraźnym zadowoleniem, kłaniając się swemu panu.

Frederick skrzywił się. Rzecz jasna, zdawał sobie spra-wę, że na wczorajszym wieczorze się nie zakończyło. Hrabiovska para i kuzynostwo zostaną w Londynie aż do ślubu podczas Bożego Narodzenia. Wiedział również, że teraz, gdy wieść o jego pobycie w Londynie się rozeszła, będzie musiał złożyć kurtuazyjną wizytę ciotce. Mimo to nie spodziewał się, że Jule i Kamilla przyjdą z wizytą do jego żony. A przynajmniej nie tak prędko.

Ponownie rozważył myśl o wyjściu z domu. Mógł także po cichu wejść na górę, przechodząc obok salonu na palcach. Ale robienie uników nie ma sensu. Uprzymnił sobie, że temu problemowi - cóż za eufemizm - prędzej czy później będzie musiał stawić czoło. Poza tym oni wszyscy należą przecież do rodziny - on, Dan i Jule - i zawsze byli ze sobą bardzo życzli. Frederick głęboko zaczerpnął tchu i przeszedł przez hall stanowczym krokiem.

- Ooo, cóż za przyjemność, witam was, Kamillo i Jule - powiedział wchodząc do salonu. Ukłonił się Harriet i podszedł do Klary. Oparł dłoń na jej ramieniu i lekko je uściskał. Dwoma palcami pogłaskał żonę po policzku.

- Witaj, kochana.

Zauważył, że Julia obserwuje ruch jego ręki. Ramię Klary zeszywniało. Frederick z całego serca zapragnął, by stał się cud i udało się jakoś zmienić ostatnie wypowiedziane przez niego słowo.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ponieważ Freddie nie wspominał nic o wspólnym wyjściu z domu po południu, Klara zamierzała wybrać się: z Harriet na krótką przejażdżkę. Jednak plany te zostały zniweczone niespodziewanym przybyciem gości. Nieoczekiwanym, ponieważ jedynymi ludźmi, którzy odwiedzili ją w Londynie, byli państwo Whiteheadowie. Freddie nie przejawiał zamiaru powiększenia grona jej znajomych, być może uważając, że stan zdrowia żony utrudnia składanie i przyjmowanie wizyt.

Gdy się dowiedziała, kim są goście, była zaskoczona i odrobinę zaniepokojona. Wczorajszego wieczoru zdążyła polubić Kamillę Wilkes, ale nie miała szczególnej ochoty na ponowne oglądanie hrabiny Beaconswood. Zbyt wiele cierpienia kosztował ją wczorajszy wieczór i cała noc. Ale mimo to uśmiechnęła się czarująco. Jednak trzeba będzie coś ustalić na temat przyjmowania gości w ogóle.

Hrabina Beaconswood wyglądała dziś jeszcze piękniej niż wczoraj; Klara zauważyła to z bolesnym drgnieniem serca. Julia miała na sobie granatową suknię podróżną z aksamitu oraz peliszkę. Jej twarz nie tylko była ładna, lecz promieniała życiem. Włosy miała obcięte jeszcze krócej niż Klara.

- Wyglądasz inaczej - powiedziała hrabina po wymianie powitań. Usiadła i z przechyloną głową przyglądała się gospodyni.

- Dzisiejszego ranka obcięłam włosy, milady - odpowiedziała Klara z wypiekami na twarzy. Wciąż jeszcze miała wrażenie, że jest łysa.

Hrabina wybuchnęła salwą śmiechu.

- Omal się nie obejrzałam, by zobaczyć, kto za mną stoi - wyznała. - Ciągle jeszcze nie jestem przyzwyczajona, by mnie w ten sposób tytułowano. Mam wrażenie, że będę musiała zacząć nosić fioletowy turban z satyny i używać lorgnon. Klaro, proszę cię, mów mi po imieniu. Poza wszystkim, dzięki twemu małżeństwu zostałyśmy kuzynkami. Twoje włosy wyglądają czarująco. Bardzo ci dobrze w tej fryzurze. Prawda, Kamillo?

Kamilla, na którą Klara prawie w ogóle nie zwracała uwagi, uśmiechnęła się łagodnie.

- Obcięcie tak długich włosów musiało być straszliwym uczuciem - zauważyła. - Tyle lat trzeba było czekać, aż tak urosną. Ale zgadzam się, tak jest bardzo twarzowo. Czy nie żałujesz pośpiesznej decyzji, Klaro?

- Nie - odparła Klara. - Ale czuję się niezręcznie, będąc ośrodkiem zainteresowania.

- Ach, w takim razie należy poruszyć temat pogody - odrzekła hrabina ze śmiechem. -

To obowiązkowy temat. Kto chce zacząć?

Klara niespodziewanie szybko rozluźniła się. Kuzynki Freddiego bardzo się od siebie różniły, ale obie były miłe i swobodne w zachowaniu. Odniosła wrażenie, że traktują ją raczej jak członka rodziny niż nową znajomą. Kiwnęła głową ku Harriet, by zadzwoniła po herbatę. Tak, nawet Julia tak ją traktuje. Niezależnie od tego, co czuła do Freddiego, dokłada wszelkich wysiłków, by być uprzejma dla jego żony.

- Oczywiście przyjdiesz, Klaro - powiedziała Kamilla gdy rozmowa nieuchronnie zesłała na temat jej zbliżającego się ślubu. - Czy wytłumaczysz Freddiemu, że powinien? Już najwyższy czas, by drobne nieporozumienia poszły w niepamięć.

Klara spojrzała na hrabinę. Ta wbiła wzrok w dłonie złożone na podolku; ożywienie na krótko zniknęło z jej oblicza. Przestała się wpatrywać w dłonie i napotkała wzrok Klary.

- Freddie nie wspomniał ci o mnie - zagaiła. - Czy powiedział ci coś wczorajszej nocy lub dziś rano? Cokolwiek?

Klara zawahała się.

- Tylko tyle, że poprosił cię o rękę, ale ty poślubiłaś hrabiego - powiedziała.

- Ach. - Hrabina rozchyliła usta, próbując się uśmiechnąć. Spojrzała na Kamillę. - Postanowiłyśmy, że ci o wszystkim opowiemy, prawda, Kamillo? Obie podejrzewałyśmy, że wczoraj musiałaś zauważyć lekko napiętą atmosferę, i uznałyśmy, że Frederick prawdopodobnie nie opowie ci całej historii. Ale teraz, gdy jesteś naszą kuzynką, chcemy, byś została również przyjaciółką. Prawda, Kamillo? - Jej głos z każdą chwilą stawał się coraz bardziej pogodny.

- Tak - potwierdziła Kamilla z uśmiechem. - Pragniemy, byś została naszą przyjaciółką, Klaro. Freddie zachował się wstrętnie, żeniąc się z tobą w takiej tajemnicy i nie zapraszając nikogo z rodziny.

- Na ślubie był lord Bellamy z żoną - sprostowała Klara. - A także Lesley.

- Och, kochany Les. - Hrabina westchnęła. - Nawet cię nie zapytam, czy go kochasz, Klaro. Nie ma nikogo, kto by nie kochał Lesa. Tak się cieszę, że pojechał do Włoch. To było jego największe marzenie. No dobrze, ale odbiegamy od tematu. Mój dziadek umarł na wiosnę, Klaro, i zabronił nam nosić po nim żałobę. Wyjaśniam to na wypadek, gdybyś się dziwiła, dlaczego nikt z nas nie chodzi w czerni. Właściwie nie był moim naturalnym dziadkiem. Był ojcem mojej macochy, ale po jej śmierci i śmierci mego ojca wziął mnie do siebie. Jednak gdy sam umarł, znalazłam się w kłopotliwym położeniu. Nie miałam prawa do jego majątku. I choć w końcu się okazało, że bardzo dobrze o mnie zadbał, wówczas wyglądało na to, że będę pozbawiona środków do życia. Wszyscy na wrywki oferowali mi

swój dom i byli ogromnie dobrzy. Klara uśmiechnęła się. Przypomniała sobie straszliwe uczucie samotności, które ją ogarnęło po śmierci ojca. A przecież nie musiała się dodatkowo martwić zagrażającą jej nędzą.

- Przecież jesteś naszą kuzynką, Julio - powiedziała Kamilla. - To zrozumiałe, że nie pozwolilibyśmy ci zginąć.

Po twarzy hrabiny przemknął uśmiech.

- W każdym razie - podjęła przerwany wątek, patrząc na swe dłonie, zanim spojrzała Klarze prosto w oczy - moi kuzyni płci męskiej ruszyli z propozycjami małżeństwa. Czyż to nie najgłupsze i nie najmilsze zarazem? Lesley poprosił mnie o rękę, i Gussie... nie poznałaś jeszcze Gussiego, prawda? Freddie. I Daniel, oczywiście. To było nadzwyczaj uprzejme z ich strony. Aleja, rzecz jasna, mogłam poślubić tylko jednego. I wybrałam Daniela. Czy uwierzysz, że w ślubnym prezencie ofiarował mi Primrose Park?

Klara znowu się uśmiechnęła. Julia poślubiła najbogat-szego z nich wszystkich. Nietrudno to zrozumieć, wiedząc, że sama nie miała nic. Sięgnęła więc po największe zabezpieczenie.

- Rozumiemy, że Freddie był zakłopotany - powiedziała Kamilla. - Wyjechał z Primrose Park natychmiast po ogłoszeniu zaręczyn i nie został jak my wszyscy na ślubie. Myślę, że obecność na ślubie kobiety, którą się prosiło o rękę, może być bardzo krępująca. Zgadzasz się ze mną?

- Tak - odparła Klara. - Przypuszczam, że istotnie może być niezręczna. A jednak Lesley i kuzyn Gussie potrafili przezwyciężyć zakłopotanie i zostali. I właściwie dlaczego czyn, dokonany z uprzejmości i dobrego serca, ma być kłopotliwy i krępujący?

- Nie czuł się zraniony - powiedziała szybko hrabina. Oczy jej błyszczały, a policzki zarumieniły się. - Nie wierzymy, że czuł się zraniony, Klaro. Żeby tak się czuć, musiałby mnie kochać lub żywić podobne uczucia, nie-prawdaż? Tymczasem Freddie i ja zawsze byliśmy przy-jaciółmi, współnikami w psotach i grzeszkach. Jako dzie-ciak byłam strasznym łobuziakiem, zresztą teraz czasami też mi się to zdarza. Wydaje mi się, że gdy jesteśmy w parku, to Daniel stale się obawia, że nagle zacznę się wspinać na drzewo i obrzucać spacerowiczów żołędziami. - Roześmiała się wesoło. Zbyt wesoło. Była zbyt rozpro-mieniona.

To była historia, jaką obie postanowiły jej opowiedzieć. Wyglądało to niemal tak, jakby wcześniej zdążyły ją sobie kilka razy przećwiczyć. Obie się uśmiechały. Klara nagle uświadomiła sobie, że to ją chcą ochronić przed bólem, i poczuła wielką wdzięczność. Obawiały się, że wczoraj-szego wieczoru usłyszała prawdę, i ogarnięte współczuciem

odwiedziły ją. Kiedy jednak dowiedziały się, co Freddie jej powiedział, poczęstowały ją dość wiarygodnie brzmiącą opowiadką, przygotowaną na wypadek, gdyby mąż nie wyznał jej całej prawdy. Musi więc teraz odegrać swą rolę, tak jak one to uczyły.

- Cieszę się, że wszystko skończyło się dobrze dla ciebie, Julio - powiedziała. - Przynależność do tak zżytej i kochającej się rodziny musi być czymś cudownym. - Również się uśmiechnęła.

- Ooo, tak.

- Sama się przekonasz - dodała Kamilla. - Moja matka również pragnęła złożyć ci wizytę, ale my chciałyśmy wyjaśnić ci tę sprawę z Freddie, więc znalazłyśmy jakąś wymówkę. Ale ty musisz nas odwiedzić. Czy sądzisz, że będziesz mogła? - Uśmiechnęła się do Harriet, która nalewała jej herbatę. - Dziękuję, Harriet.

- Tam gdzie nie mogę się dostać na fotelu inwalidzkim, Freddie zanosz mi na rękach - odparła Klara. - Mam również służącego, który spełniał to zadanie przed moim zamążpójściem.

- •A więc - hrabina upiła łyk herbaty - poznałaś Freddiego w Bath, wyszłaś za niego po burzliwych zalotach i od tej pory żyjecie szczęśliwie. To brzmi szalenie romantycznie.

Klara zrozumiała, że one wiedzą. Oczywiście, że wiedzą. Obie znały Freddiego od dziecka. Współczują jej i przyszły zaproponować swą przyjaźń. A przecież Julia musi cierpieć z zazdrości. Jej uśmiech był słabutki i wymuszony. Ta wizyta jest dla niej pewnie bardzo trudna, a mimo to Julia wykazuje tyle dobroci.

Jak na to odpowiedzieć? Kontynuować grę pozorów, którą wszyscy rozszyfrowali i uważają za śmieszny? Podać jakieś wytłumaczenie, ocierające się o prawdę? Nic nie mówić?

Została jednak uratowana z kłopotu - jeśli uznać to za właściwe określenie - dzięki wejściu Freddiego do salonu. Wyglądał tak samo promiennie jak jej goście; przywitał się z nimi i z Harriet, składając ukłony z wyćwiczoną swobodą i wdziękiem.

- Witaj, kochana - powiedział.

„Witaj kochana.” Serce zabolalo Klarę. Gdyby chciała mieć jeszcze jakiś dowód, że opowieść o tym, co się wydarzyło między nim a Julią, mija się z prawdą - choć wcale nie potrzebowała dodatkowych dowodów - to zawierał się on w słowach Freddiego.

- Witaj, Freddie - odparła. Zapragnęła schować twarz w jego dłoni i krzyczeć z bólu. - Jak się udała przejażdżka?

Freddie przyjął od Harriet filiżankę herbaty i następne dziesięć minut upłynęło im na przyjacielskiej pogawędce. Harriet była chyba jedyną osobą, która pozwalała sobie na chwilowy brak uśmiechu na twarzy. Pod koniec wizyty Klara mogłaby przysiąc, że Julia i

Freddie ani razu na siebie nie popatrzyli. Miała również wrażenie, że gdyby mogła wstać i wziąć ostry nóż, to dałoby się przeciąć nim powietrze między tymi dwojgiem - było aż gęste od napięcia.

I to tylko dlatego, że Freddie jako jeden z trzech kuzynów oświadczył się Julii, i tak jak oni został odrzucony? Klara nie była aż tak naiwna, by w to uwierzyć.

Damy w końcu wstały, by się pożegnać; Freddie podniósł się również. Obie pochyliły się nad Klarą, ucałowały ją w policzek i błagały, żeby złożyła im wizytę. Freddie czekał, by odprowadzić je do drzwi, ale w ostatniej chwili Kamilla się odwróciła.

- A może wybierzesz się z nami na przejażdżkę które-goś popołudnia, Klaro, jeśli będzie ładna pogoda? - zaproponowała. - Bardzo by mnie to ucieszyło i wiem, że mamę i Julię także. Dołożę starań, byś nie zmarzła w po-wozie i została ciepło okryta.

- Nie jestem kaleką - odparła Klara ze śmiechem. - Chociaż nie mogę chodzić. Freddie nalega, bym codziennie wyjeżdżała na świeże powietrze w odkrytym powozie, oprócz tych dni, gdy pada deszcz. Ale tak, chętnie się z wami wybiorę, Kamillo. Dziękuję.

- Tak czy tak, najpierw musisz odwiedzić mamę - powiedziała Kamilla. - Może za parę dni? Będziemy mogły wtedy wszystko omówić. Och, to takie ekscytujące, mieć nową kuzynkę. My wszyscy pożeniliśmy się między sobą, Daniel z Julią, a ja z Malcolmem, choć ktoś może uznać, że jest to niewłaściwe i niezdrowe. Ale tak naprawdę nikogo z nas w tych małżeństwach nie łączą więzy krwi. Ale nie mam teraz zamiaru dłużej się nad tym rozwodzić. - Roześmiała się cicho.

Rozmawiały jeszcze przez minutę czy dwie, zanim Kamilla wyszła. Klara doskonale zdawała sobie sprawę, że tamtych dwoje szło razem do drzwi, gdy Kamilla zawróciła.

Uśmiechnęła się promiennie do Harriet.

Frederick uświadomił sobie, że Kamilla nie towarzyszy im do drzwi, lecz wróciła do Klary, by jej coś jeszcze powiedzieć; ogarnęła go panika. Po drodze Jule nie przyjęła jego ramienia, choć je podał.

- Powiedziałaś mi wtedy, że nigdy ci nie wybaczę, Freddie - przypomniała cicho głosem drżącym od emocji. - Nie przebaczyłam i nie przebaczę. Nienawidzę cię.

- Nie mam o to do ciebie pretensji, Jule. Żałuję tylko, że musieliśmy tak wpaść na siebie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zejść ci z drogi. Zabiorę Klarę z powrotem do Ebury Court.

. - O nie, nie zrobisz tego - odparła gwałtownie. - Chcemy, by tu została do ślubu Kamilli. Chcemy ją przyjąć do rodziny. Freddie, jak mogłeś to zrobić? Biedna Klara. Frederick odchrząknął.

- Nie sędzę, by moje małżeństwo powinno cię intere-sować, Jule.

Ale, oczywiście, ta wypowiedź nie zdołała powstrzymać Julii.

- Jest bardzo bogata - powiedziała. - Być może jest najbogatszą kobietą w Anglii, tak przynajmniej twierdzi Daniel. Jest również dobrą i miłą osobą. Człowiekiem.

Czy kiedykolwiek zadałeś sobie trochę trudu, by to spo-strzec?

- Tak - odparł Frederick.

- Podejrzewam, że z pieśnią na ustach pospieszyłeś pospłacać swe długi. A potem jeszcze szybciej i jeszcze radośniej zacząłeś robić nowe, i to jeszcze wyższe. Przy-puszczam, że tak było. Nie potrafisz się zmienić, choćbyś tego chciał, Freddie. Ale ja ci tego nigdy nie wybaczę. Nigdy. I nie waż się zabierać jej z powrotem na wieś. Słyszysz, co mówię? Żebyś mi się nie ważył!

Stali zwrócenii twarzami do siebie tuż przed drzwiami frontowymi. Julia niemal syczała przez zęby.

- Będę to musiał skonsultować z żoną i zrobię to, czego sobie zażyczy - powiedział.

- Och. - Popatrzyła na niego z pogardą. - To miało wyrzeć na mnie wrażenie, Freddie? Od kiedy to bierzesz pod uwagę czyjekolwiek życzenia, prócz własnych? Lubię ją. I nie jest to jedynie współczucie, ponieważ jest kaleką i nie jest tak piękna, jak można się było spodziewać po wybranej przez ciebie żonie. Ani dlatego, że została podstępnie wmanewrowana w małżeństwo przez hulakę, darmozjada i rozpustnika. Lubię ją za to, jaka jest, i chcę zostać jej przyjaciółką. I będę jej przyjaciółką. I jeśli zabierzesz ją na wieś, to namówię Daniela, by mnie też tam zabrał.

- Byłoby to bardzo niezręczne dla nas trojga - zauwa-żył. - Jule, posłuchaj mnie. Nie mogę zmienić przeszłości, choć bardzo bym chciał. I nie mogę uczynić nic ponadto, że przeproszę cię za to, co się stało. Chciałbym móc. - Próbował się do niej uśmiechnąć. - Czy możemy wreszcie zawrzeć rozejm?

- Nie próbuj robić do mnie tych słodkich oczu, Freddie. Odpowiedź brzmi: nie. Nienawidzę cię. Uciekłam od ciebie i jestem z Danielem bardziej szczęśliwa, niż mo-głabym sobie wymarzyć. Ale Klara nie może uciec. Nigdy ci nie wybaczę, że prosto ode mnie uciekłeś do niej, choć spodziewałam się, że będzie ci przykro i okażesz skruchę za to, co uczyniłeś. I nie wybaczę ci, że natychmiast ci się powiodło z kimś, kto cię nie znał i nic o tobie nie wiedział. Podejrzewam, że Klara zakochała się w tobie. Byłoby dziwne, gdyby tak się nie stało, skoro wszystkie inne kobiety ulegały twemu czarowi. Czy już jej złamałeś serce? Czy też potrwa trochę dłużej, nim nadzieja umrze, a serce pęknie?

- Jule! - Fredericka zaczął ogarniać gniew. - Posuwasz się za daleko. Moje

małżeństwo to nie twój interes.

Julia z pewnością kontynuowałaby sprzeczkę i jak to zwykle ona wtrącałaby się w nie swoje sprawy, ostrzyła język i wymachiwała pięściami, ale w drzwiach salonu pojawiła się Kamilla, która zbliżała się do nich z uśmiechem. Spokojnie i miło przeprosiła, że musieli na nią czekać.

- Freddie - powiedziała chwytając go za ręce i wspinając się na palce, by pocałować go w policzek. - Klara jest zachwycająca. Bardzo jestem szczęśliwa, że tak ci się udało. Odwiedzi mamę pojutrze albo za trzy dni. Przynie-siesz ją?

- Muszę się zastanowić - odparł wymijająco, ściskając jej ręce. Kamilla przynajmniej oferuje mu szansę. - Dziękuję wam za wizytę. Wiem, że miała ona wielkie znaczenie dla Klary.

Obie damy wyszły. Jule nie zaszczyciła go już ani słowem, ani spojrzeniem. Wpatrywał się w zamknięte drzwi i rozmyślał. Kłopot w tym, że nie może nawet zapłonąć sprawiedliwym i słusznym gniewem. Miała rację, mówiąc o nim w ten sposób. We wszystkim. Oprócz tego, że nie wiedział, iż Klara jest urocza i delikatna. A jemu na niej zależy.

„Nie zdołasz się zmienić, nawet gdybyś chciał, Freddie.” Zatrzymał się z jedną nogą na stopniu. Skrzywił się boleśnie. W tym także się myliła. Myliła się w wielu sprawach. Myślała, że go zna, ale prawda wygląda inaczej.

Park był niemal pusty. Klara pomyślała, że każdy, kto zobaczy ich w otwartym powozie w taki zimny, wietrzny dzień, uzna ich za szaleńców. Ale oboje byli ciepło ubrani, a jej niewiele zależało, co sobie ktoś pomyśli. Przez tyle lat była pozbawiona świeżego powietrza, że teraz uwielbiała ten zimny powiew na twarzy, który sprawiał, że cerę miała tak czerwoną jak dojrzałe jabłko.

Zaczynała czuć się zdrowo. Przepelniała ją energia. Pod okrywającą jej kolana ciepłą szubą robiła doświadczenia i poruszała stopami. Udało się jej unieść je trochę i przesunąć bliżej siedzenia. Czowała się tak, jakby odniosła wielkie zwycięstwo.

Frederick ujął jej dłoń okrytą rękawiczką. Byli sami, ponieważ Harriet wymówiła się od tej późnej przejażdżki. Przez kilka minut jechali w milczeniu, jakby uciekając - od trywialnej rozmowy.

- Cóż, czy cieszysz się z poznania nowych kuzynek, Klaro? - zapytał po chwili tonem zbyt obojętnym.

- Tak. To bardzo przyjemne, zwłaszcza gdy nie ma się własnej rodziny.

Znała go na tyle dobrze, by rozpoznać napięcie w jego głosie.



- Kamilla i Jule zjawily się tuż przed moim powrotem do domu? - zapytał.

- Nie. Siedziały już przez dłuższą chwilę.

- Ach. I co miały ci do powiedzenia?

- Podobała im się moja fryzura - powiedziała Klara ze śmiechem, modląc się w duchu, by rozmowa zawróciła z obranych torów. Z całej duszy pragnęła, by ta okropna tajemnica w ogóle nie istniała. Chciałaby traktować ją obojętnie. - Rozmawialiśmy o pogodzie, o wczorajszym przedstawieniu, o Bath i o ślubie Kamilli. - Przerwała na chwilę. - I o tym, co zaszło w Primrose Park na początku lata.

- Aaa.

Nie mogła mu pomóc. Czy Freddie opowie jej resztę? Czy ona chce ją usłyszeć? O, jakże chciałaby przestać o tym myśleć i zapomnieć o całej tej sprawie.

- Czy powiedziały ci o wszystkim? - zapytał.

- Tak.

- Mmm. - Nastąpiła dalsza chwila ciszy. Frederick uniósł derkę, wsunął pod nią rękę Klary i starannie przy-krył. Teraz już w ogóle się nie dotykali.

- Zawsze znałaś mnie jako łajdaka, Klaro. A jeśli miałaś jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz możesz je skreślić. Musisz straszliwie mną pogardzać.

Za odejście od kobiety, którą kochał i oczarował, do małżeństwa z bogatą, kaleką, wstrętną i samotną starą panną? Nikt jej nie opowiedział całej historii, a ona nie miała zamiaru wypytywać. Wcale nie była pewna, czy chce poznać prawdę. Czy Freddie i Julia byli kochankami? Przypuszczała, że to możliwe, zważywszy na istniejące między nimi napięcie. Ale Klara nie знаła prawdy. Być może tylko mylnie zinterpretowała wszystko, co usłyszała i zaobserwowała. Możliwe, że Julia i Kamilla powiedziały jej jednak prawdę. Ale szczerze w to wątpiła.

Frederick roześmiał się gorzko.

- Nieuleczalnie uczciwa Klara - powiedział. - Nie chcesz kłamać, więc wolisz nic nie mówić.

- Jesteś moim mężem, Freddie - odparła.

- Potulna i posłuszna. W tym jesteś dobra, nieprawdaż? Nie zniweczysz swego wizerunku dobrej żony, jeśli mi powiesz, że mną gardzisz. Cóż, i tak o tym wiem. Jeśli nawet nie gardzisz teraz, to niedługo zaczniesz. Ktoś niedawno nazwał mnie rozpustnikiem i hulaką. Oba te określenia są trafne.

Klara nie chciała tego słuchać. Nie chciała niszczyć i tak już kruchego porozumienia, jakie udało im się ostatnio wypracować. Miała przecież tak niewiele. Jeśli Freddie będzie

rozwijać ten temat, między nimi powstanie mur nie do przebicia i utracą szansę na utrzymanie w miarę normalnego związku.

- Freddie, jesteś moim mężem. To jest dla mnie naj-ważniejsze.

- Ale nie jestem na tyle godny zaufania, by powierzyć mi twój majątek, prawda? - zauważył z przekąsem. - Zrozumiałem to dobrze już dawno temu, Klaro. Nie życzyłaś sobie po prostu, by cały twój majątek był w moich rękach. Byłaś bardzo mądra, bo prawie cały twój hojny posag utraciłem zgodnie z twymi oczekiwaniami. Moje własne dochody także czeka taki sam los. Ale nie martw się, twój majątek nie wpadnie mi w ręce i nawet gdybyś mi go ofiarowała, to nie wezmę ani odrobiny. Zrobiłabyś to, Klaro? Skoro jesteś taką dobrą żoną? Przecież w końcu po to się z tobą ożeniłem, prawda? Zawsze któregoś dnia możesz przyjść do mnie na widzenie w więzieniu dla dłużników. Każesz się tam zanieść Robinowi.

- Freddie, proszę, przestań. - Ale już i tak było za późno. Wszystko zostało zrujnowane.

- Od chwili naszego ślubu zdradziłem cię z kilkunastoma kobietami - powiedział. - A nawet było ich więcej. Ale przecież wiedziałaś o tym, Klaro, prawda? Kiedy wychodziłaś za mnie, wiedziałaś, że jestem rozpustnikiem. I wiedziałaś, że kobieta nie zmieni mężczyzny po ślubie. Byłaś na tyle mądra, by nawet nie próbować.

Boże. O Boże. O Boże. O Boże! Zagryzła wargi i wbiła wzrok przed siebie.

- Przypuszczam, że częściowo winisz za to samą siebie - kontynuował. - Myślę, że uczciwe i cnotliwe kobiety często tak postępują. Winisz siebie, ponieważ jesteś kaleką i ponieważ uważasz, że jesteś brzydka. Wydaje ci się, że gdybyś mogła chodzić i byłabyś piękna, to udałoby ci się zdobyć moją miłość i wierność oraz sprowadzić mnie na drogę cnoty. Zrób coś dla siebie, Klaro, i naucz się mnie nienawidzić. Na nic lepszego nie zasługuję.

- Zawieź mnie do domu.

- Archie i ja bardzo do siebie pasujemy, prawda? - zapytał. - Wiem, że wczorajszego wieczoru złożył propozycję twej cnotliwej towarzyszce i został odrzucony. Ona ma więcej rozsądku niż ty, Klaro.

- Jutro wracam do Ebury Court.

- Szkoda, że nie możesz dostać rozwodu z powodu mojej niewierności - powiedział. - Miałabyś mnie z głowy, Klaro.

Zamknęła oczy i ze wszystkich sił pragnęła, by jak najszybciej znaleźli się z powrotem w domu. Przed kilkoma minutami wyjechali z parku.

- Z pewnością chciałabyś otworzyć teraz oczy i znaleźć się na powrót w Bath oraz by się okazało, że te kilka ostatnich miesięcy było jedynie złym snem - powiedział Frederick.

- Tak - potwierdziła Klara. Roześmiał się.

- Pewnie obwiniasz mnie za jeszcze jedną słabość charakteru - dodał. - Gdybym tylko trochę bardziej naciskał, to Jule wyszłaby za mnie, a ty byłabyś uratowana, Klaro. Nigdy byś mnie nie spotkała. Problem jednak w tym, że ja wcale nie naciskałem. Wycofałem się, a ona wyszła za Dana.

O Boże. O Boże!

Powóz w końcu zatrzymał się przed domem. Frederick wyskoczył i wyciągnął rękę po Klarę. Na' twarzy miał cyniczny uśmiezek. Klara zobaczyła go i natychmiast z powrotem zapatrzyła się przed siebie.

- Chcę, żeby Robin wniósł mnie do środka - powiedziała.

Frederick mruknął coś ze zniecierpliwieniem, sięgnął po nią niezbyt delikatnie i przesunął ją po siedzeniu ku sobie, przygotowując się do wzięcia jej na ręce.

- Chcę, żeby Robin wniósł mnie do środka - powtórzyła lodowatym tonem.

Dopiero po chwili opuścił rękę i bez słowa zniknął za drzwiami. Po niecałej minucie pojawił się Robin; zaniósł Klarę do jej prywatnych apartamentów. Nie zobaczyła już męża przed wyjazdem do Ebury Court następnego ranka.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Poczucie odrazy do siebie bywa czasami tak głębokie, że niebezpiecznie blisko graniczy z rozpaczą. Frederick mniej więcej to właśnie odczuwał nazajutrz po przejażdżce. Wracał do domu, wciąż w tym samym wieczorowym stroju, czuł się brudny, niechlujny i zarośnięty. Ale przede wszystkim brudny.

Ostatecznie przyłączył się do Archiego u White'a i wypił morze wina do kolacji oraz mnóstwo porto po posiłku. Następnie wieczór przebiegał według przewidywanej kolejności. A raczej noc. Lizzie chyba nic nie powiedziała Anette, ponieważ Frederick został przyjęty bez kłopotu i dostał nową panienkę, młodziutką i pracującą od niedawna. Świadomie korzystał z jej wdzięków, a panienka głośno protestowała, gdy zadawał jej ból. Przed wyjściem hojnie ją wynagrodził, choć wiedział, że dziewczęta mają absolutny zakaz przyjmowania napiwków. Mimo to cały czas czuł się tak, jakby zbrukał niewinność.

- Kłopoty w raj? - zapytał lord Archibald.

- Nie chce mi się o tym nawet myśleć, Arch, a co dopiero mówić.

Nie rozmawiali już więcej na ten temat.

Potem zaczęły się karty i picie - woleli czynić to w prywatnym domu, nie w klubach. Po czym obudził się, a raczej odzyskał przytomność w łóżku, w tym samym domu, kiedy już było jasno, z głową jak dzwon i jeszcze cięższą duszą. Rozejrzał się ostrożnie. Przynajmniej obok niego ani nigdzie indziej w pokoju nie było tym razem żadnej nagiej kobiety. Było to pocieszające, choć jedynie do chwili, kiedy przypomniał sobie młodą dziewczynę u Anette. I dopóki nie przypomniał sobie gry, w której stracił poważną sumę. Oraz całego tego picia.

Karty, alkohol, kobiety - wszystkich tych wstrętnych nałogów mógłby się pozbyć w jednej chwili. Była to jedynie kwestia silnej woli. Przysłonił ramieniem oczy przed blaskiem dnia, który wzmagał ból.

Znużonym krokiem, zbrukany, wracał do domu. Wiedział, że nawet po gorącej kąpieli i goleniu nadal będzie się czuł brudny. Wiedział, że prawdopodobnie nigdy nie poczuje się czysty. Albo nie stanie się czysty.

Gdy się obudził, a nawet trochę później, kiedy się ubrał i wyszedł z domu, gdzie nikt jeszcze nie wstał i nie zauważył jego wyjścia, nie pamiętał o wydarzeniach poprzedniego dnia. Teraz wspomnienia uderzyły go ze wszystkich sił i tłukły się w skroniach oraz w ciężkim sercu.

Jule zemściła się na nim i opowiedziała o wszystkim Klarze. A on, tak niby

skończenie szlachetny, przeobraził swe poczucie winy, upokorzenie i rozpacz w cyniczną furję, którą wyładował na najcenniejszym skarbie, jaki posiadał. Na żonie.

Powiedział, że ją zdradzał. Klara prawdopodobnie i tak o tym wiedziała. Nie jest głupia. Ale obowiązujące w towarzystwie surowe konwenanse nakazują chronić żonę przed poznaniem prawdy, przed jawnym wyznaniem, że mąż nie dochowuje wierności. Tym samym złamał jedno z najważniejszych przykazań dobrego wychowania. A co ważniejsze, i o wiele gorsze, niezmiernie ją zranił. Jeśli go nawet nie kocha i ma świadomość, jak sprawy wyglądają, to tego rodzaju wyznanie męża musiało być dla niej bardzo bolesne i upokarzające. Przez niego poczuła się jeszcze bardziej bezwartościowa, choć i tak nie miała wysokiego mniemania o własnej wartości.

Już choćby tylko za to zasłużył na kulę w łeb.

Przeprosi ją. Powziął taką decyzję zbliżając się do domu i patrząc w zasłonięte okna. Choć przeprosiny będą żałośnie niewspółmierne do przewinienia, to jednak musi to zrobić. I złoży przysięgę, że się zmieni, jeśli Klara znajdzie w sobie tyle dobrej woli, by przewyciężyć odrazę, jaką niewątpliwie musi do niego żywić. On może się zmienić i się zmieni. Była to wyłącznie kwestia woli. A on tego chce. Jest już chory od takiego życia. Śmiertelnie chory. Sama myśl o wczorajszej nocy bardziej go mdliła niż nie ustępujący ani na jotę ból głowy.

Po wejściu do domu poszedł prosto do swoich pokoi, zażądał gorącej wody na kąpiel i przyborów do golenia. Przed pójściem do Klary przynajmniej zmyje z siebie zewnętrzny brud, choć chciał się do niej udać bezzwłocznie. Pragnął rozpocząć nowe życie i chciał to uczynić już, zaraz, natychmiast, z żoną przy boku. Z nią musi mu się udać. Ale pójście do niej w tej chwili graniczyłoby z brakiem ogłady. Zaczeka, aż będzie czysty.

Po godzinie, zbyt zdenerwowany, by pójść samemu do jej bawialni, jak czynił to zazwyczaj, posłał lokaja z za-pytniem, czy może mieć ten zaszczyt i złożyć jej wizytę. Takie formalności mogły się wydawać przesadne wobec własnej żony, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że Klara może wcale nie chcieć go oglądać. Może będzie musiał ćwiczyć się w cierpliwości, która byłaby męką, i posyłać lokaja do żony przez cały dzień, dopóki nie skruszeje i nie pozwoli się zobaczyć. Lokaj wrócił po chwili.

- Pani Sullivan nie ma w domu, proszę pana. Frederick zmarszczył czoło. Wyszła? Tak wcześniej?

- Dowiedziałaś się, dokąd poszła? - zapytał.

- Do Ebury Court, jak sądzę, sir - odparł lokaj z kamienną twarzą.

„Jutro wracam do Ebury Court.” Przypomniał sobie, co powiedziała wczoraj w powozie. Zapomniał o tym. A więc mówiła poważnie.

- Kiedy wyjechała? - spytał.

- Ponad pół godziny temu, sir.

Był już wtedy w domu. Moczył się w mydlanej wodzie. Próbował się dla niej oczyścić. Być może wiedziała, że wrócił do domu. A może nie. Może w ogóle jej to nie interesowało.

- Dziękuję, Jerret - powiedział. - Możesz odejść.

Przez pierwsze dwa tygodnie wydawało jej się, że nie ma po co żyć. Absolutnie. Przerażająca była myśl o czekającym ją pustym, tak pozbawionym wszelkiego znaczenia życiu. Nie warto było w ogóle wstawać z łóżka. Robiła to tylko po to, by utrzymywać pozory przed Harriet i służbą. I dlatego, że sąsiedzi i przyjaciele, dowiedziawszy się o jej przyjeździe, zaczęli składać wizyty. Niektórych gości należało także rewizytować.

Musiała żyć dalej, ponieważ nie była także przygotowana na odebranie sobie życia. Była to jedyna rzecz, której nie mogła uczynić. Ale jej życie ograniczało się do tego, że robiła tylko to, co musiała. Przestała wychodzić z domu, poza nielicznymi wizytami i sporadycznymi wyprawami do kościoła w zamkniętym powozie. Pogoda się zmieniła i zamiast jesiennych chłódów nastąpiła zimowa aura. Było za zimno na przejażdżki otwartym powozem i przesiadywanie na tarasie. Poza tym nie miała ochoty na wysiłek, jakiego wymagało staranne i ciepłe ubranie się, i nie chciała, by nosił ją Robin.

Zastanawiała się, czy Freddie zacznie pisać listy, naka-zując jej każdego dnia zażywanie świeżego powietrza. Gdyby tak się stało, to pewnie by go posłuchała. Wciąż jest jej mężem i zawsze będzie, dopóki jedno z nich nie umrze. Ale listy nie nadchodziły.

Przestała też ćwiczyć. Było to kłopotliwe zajęcie, za-bierające wiele czasu, a do tego bolesne. I daremne. Nigdy nie będzie mogła chodzić. Nie ma sensu nawet próbować. Spędzała całe dni w domu, wyszywając, czytając, rozmawiając z Harriet i sporadycznymi gośćmi - a czasami nie robiła w ogóle nic.

Minęły dwa tygodnie, podczas których próbowała sobie wytłumaczyć? że nie jest wcale gorsza, niż była kilka miesięcy temu jako panna Klara Danford. Życie było takie samo jak wtedy, puste i nudne, owszem, ale także wygodne i na pewnym poziomie. Tysiące biedaków z całej Anglii dałoby sobie uciąć prawą rękę, żeby znaleźć się na jej miejscu. Gdyby tylko zdołała wymazać z pamięci kilka ostatnich miesięcy - od momentu poznania Freddiego - zdołałaby się pozbierać.

Ale życie nie jest takie proste. Tych miesięcy nie da się wyrzucić z pamięci ani z serca. Nie da się także zapomnieć Freddiego.

Po dwóch tygodniach spojrzała w lusterko i zobaczyła siebie. Naprawdę się zobaczyła.

Wyglądała podobnie, choć z inną fryzurą. Chuda twarz, tak blada, że niemal żółtawa. Wielkie, smutne oczy. Zastanawiała się, czy przez ten czas odżywiła się dobrze lub chociaż wystarczająco, ale nie mogła Sobie przypomnieć.

- Jaki miałam ostatnio apetyt? . - zapytała przyjaciółkę podczas śniadania. Kamerdyner nałożył jej dwie kielbaski i dwa tosty. Kiedy popatrzyła na tę porcję, perspektywa zjedzenia wszystkiego wydała jej się przerażająca.

Harriet przyglądała się Klarze dość dziwnie.

- Słaby - odparła. - Jak zwykle.

- Kiedy ostatni raz byłam z wizytą?

- Dwa dni temu. U Goughsów.

- Pojechałam karocą - przypomniała sobie Klara. - A kiedy ostatni raz byłam na powietrzu?

Harriet zastanawiała się przez chwilę.

- Wydaje mi się, że jeszcze w Londynie.

Tego popołudnia, gdy pojechała z Freddiem do parku. Całą wieczność temu. Spojrzała za okno. Ciężkie szare chmury. Drzewa kołyszące się na wietrze. Zimowy krajobraz. Zimna, brzydka zima, nie mająca nic wspólnego z uroczą, bajkową scenerią świąt Bożego Narodzenia.

- Dziś po południu pojedę otwartym powozem na półgodzinną przejażdżkę - poinformowała przyjaciółkę. - Ty możesz zostać w domu, jeśli chcesz, Harriet.

Jej przyjaciółka się uśmiechnęła.

- Witaj z powrotem - powiedziała.

Klara spojrzała na swój talerz i z determinacją wbiła widelec w kawałek kielbaski. Przez te dwa tygodnie obie kobiety były jak najdalsze od uznania, że dzieje się coś niedobrego. Harriet przypuszczalnie nie miała w ogóle pojęcia, co zdecydowało o ich nagłym powrocie na wieś.

Witaj z powrotem. Tak, wróciła, myślała ponuro, odgryzając większy niż przystało na damę kawałek to - sta. Wróciła i zostanie. Może żałować, że nie jest już panną Klarą Danford z Ebury Court. Może odczuwać ból na wspomnienie ostatnich kilku miesięcy, które zmieniły ją w panią Frederickową Sullivan. Ale czeka ją całe życie, które należy porządnie przeżyć. Jedno dane od Boga życie; nie należy go marnować na uzalanie się nad sobą.

- Zastanawiam się, co Robin może wiedzieć o uczeniu chodzenia - odezwała się.

Robin był niegdyś bokserem z niezłymi widokami na wielką karierę, dopóki jeden fatalny cios zadany przez czempiona nie powalił go na deski. Po miesiącu spędzonym w

stanie śpiączki lekarze zabronili mu ponownie stawać na ringu, ale mógł się utrzymywać z uczenia i trenowania bokserów, wiedział więc sporo o utrzymaniu formy i ćwiczeniu ciała.

Pomysł, aby ćwiczył z nią mężczyzna, wydał jej się trochę krępujący. Gdyby sąsiedzi się o tym dowiedzieli, uznaliby to za skandal, a ojciec chyba przewróciłby się w grobie. Freddie prawdopodobnie wpadłby w szal. Harriet zaś była zaciekawiona.

- Zawsze czułam się przy tym taka bezradna - powiedziała. - Tak bardzo chciałam ci pomóc, Klara, ale nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Ciągłe robiłyśmy zbyt małe postępy.

W swej bawialni Klara miała leżankę, którą uznała za bardziej odpowiednią do ćwiczeń i mniej krępującą niż łóżko w sypialni. Do ćwiczeń starannie okrywała się od pasa w dół białym bawełnianym prześcieradłem. W bawialni zawsze była obecna Harriet, która szyjąc coś lub robiąc na drutach uśmiechała się dopingująco, gdy uznawała, że trzeba Klarze dodać otuchy.

I w końcu okazało się, że te ćwiczenia wcale nie są krępujące. Dotyk rąk Robina był silny i bezosobowy. W rzeczy samej, do Klary docierały okruchy plotek z po-mieszczeń dla służby, spowodowanych faktem, że Robin - taki młody, postawny, muskularny i dość przystojny mimo złamanego kiedyś nosa - sprawiał wrażenie absolutnie nie zainteresowanego żadną z pokojówek ani innych dziewcząt z sąsiedztwa. Ale Klara już dawno uznała, że jego preferencje seksualne nie powinny jej interesować. Przeciwnie, była zadowolona, że Robin nie reaguje na nią jak mężczyzna.

Bała się tych ćwiczeń, które wyglądały na niewykonalne, lecz ku jej zaskoczeniu okazały się prawie bezbolesne. Skończyło się delikatne zaciskanie palców i zginanie nóg w kostkach, całe nogi były zginane i prostowane, szybko i mocno, w pozycji na plecach i na brzuchu. Potem następował masaż, o wiele mocniejszy i głębszy niż w wykonaniu Harriet - czasami Robin wsuwał ręce pod prześcieradło nie zdejmując go - dopóki nie czuła w nogach pulsującej krwi i napinających się i rozluźniających mięśni. Tylko czasami zagryzała wargi, powstrzymując się od krzyku. I raz tylko płakała, głośno i niemal histerycznie.

- Jak długo to potrwa, Robin? - zapytała go po tygodniu ćwiczeń, gdy z podnieceniem zauważyła spore postępy. - Według twojej opinii, jak długo?

- Do Bożego Narodzenia, pani Sullivan - odpowiedział. - Jeśli nie zabraknie pani odwagi i będzie się pani dobrze odżywiać.

Robin dał jej nawet instrukcje dotyczące odżywiania się, zalecając zdrowe i odpowiednie, wzmacniające organizm pokarmy.

- Jeśli stać mnie na przetrzymanie tych tortur, to z pewnością będę miała odwagę



zacząć chodzić, gdy tylko nadejdzie właściwa pora.

Robin uśmiechnął się; był to jeden z rzadkich momentów, gdy tracił swój bezosobowy wyraz twarzy.

- Na wiosnę będę musiał odejść, pani Sullivan - oświadczył.

Tego się nie spodziewała. Robin sumiennie wywiązywał się ze swych obowiązków.

- Co będziesz robił? - zapytała.

- Otworzę klub piéściarski - odparł. - Zobaczą, może uda mi się odciągnąć trochę klientów od Jacksona.

- Gdybyś potrzebował referencji, skieruj swoich klientów do mnie, Robinie.

Zaczynała poruszać nogami siedząc na wózku inwalidzkim. Mogła je nawet na chwilę odrywać od podłogi. Ale Robin, dokładny i sumienny specjalista, nie pozwolił jej próbować wstawać, ponieważ mogłaby upaść i zrobić sobie krzywdę, co z pewnością podziałałoby na nią deprymująco, i trzeba by znowu zaczynać wszystko od początku.

Ale Klara czuła, że znowu żyje. Kiedy budziła się rano, z podnieceniem myślała o tym, że czeka nowy dzień.

W tych dniach miała troje nieoczekiwanych gości, ale Freddie się nie pojawił. Nie przysłał też listu. Powiedziała sobie, że może tak nawet lepiej. Łatwiej budować nowe życie nie oglądając się za siebie.

Wróciwszy pewnego słonecznego popołudnia z przejażdżki Klara i Harriet ledwo zdążyły usiąść w salonie, gdy kamerdyner zaanonsował przybycie gości.

- Hrabia i hrabina Beaconswood, proszę pani - powiedział uroczyście.

Klara szybko zerknęła na Harriet.

- Wprowadź - poleciła.

Serce mocno jej biło. Lubiła Julię. Nadal ją lubi, ale nie miała ochoty jej widzieć. Chciała patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość. Uśmiechnęła się, gdy ponownie wkroczył kamerdyner i uklonił się gościom wchodzącym do salonu.

- Klaro! - zawołała hrabina niemal przebiegając przez salon z wyciągniętymi rękami. - Jak to cudownie znowu cię zobaczyć! - Chwyciła obie dłonie Klary, uścisnęła je mocno i pochylając się ucałowała ją w policzek. - Jak się masz, Harriet?

- Witaj, Klaro - pozdrowił ją hrabia, trochę mniej spontanicznie, lecz niezwykle uprzejmie. Ujął prawą rękę Klary i uniósł do ust. Uklonił się Harriet, gdy Klara dokonywała prezentacji.

- Przejeżdżaliśmy w pobliżu i postanowiliśmy złożyć ci wizytę - wyjaśniła radośnie hrabina, po czym roześmiała się perliście i usadowiła się na sofie. - A właściwie

przyjechaliśmy prosto do ciebie, prawda, Danielu?

- Tak - potwierdził. - Julia poczuła się ograbiona z towarzystwa swej nowej kuzynki, Klaro, gdy wyjechałaś z miasta. A moja siostra jest przygnębiona myśląc, że być może nie wrócisz na jej ślub za miesiąc. Mimo to muszę przyznać, że jest to raczej długa podróż jak na wizytę na południową herbatę.

- Cieszę się, że poruszyłeś ten temat, Danielu - powiedziała hrabina, znowu się śmiejąc. - Jestem straszliwie spragniona. Oraz głodna jak wilk, choć wiem, że mówienie o tym jest niedelikatne i że patrzysz na mnie karcąco, gdy myślisz, że Klara i Harriet tego nie widzą.

- Julio! - napomniął ją surowo, kiedy Harriet wstała, by zadzwonić na służbę.

- I tak miałyśmy zamiar wypić herbatę - uspokoiła ich Klara z uśmiechem.

- A to przecież wina Daniela, że jestem taka głodna - rzekła hrabina. - Tylko jego. Nie moja.

- Julio - powtórzył hrabia trochę ciszej.

- Klara należy do rodziny - odparła uśmiechając się do męża - a ty wiesz przecież, że mnie aż rozpiera, by powiedzieć o tym każdemu, komu mogę. Uważam się za niezwykle sprytną i zdolną, zupełnie jakbym była jedyną kobietą na świecie, zdolną do takiego wspaniałego wyczynu. A poza tym, Danielu, to niedługo już będzie dla wszystkich widoczne gołym okiem. Chyba że zachowasz się jak średniowieczny magnat i zamkniesz mnie na cztery spusty, by zaoszczędzić rumieńców tym młodym damom, które ciągle jeszcze wierzą w bociany. Klaro, za pięć miesięcy będziemy mieli dziecko!

Klara powstrzymała odruch położenia dłoni na własnym brzuchu.

- Jakże się cieszę - powiedziała.

- Przestań mnie mierzyć wzrokiem, Danielu. I usiądź koło mnie. - Hrabina wyciągnęła do męża rękę. - Przecież sam niemal pękasz z dumy. Nie musisz udawać, że jesteś na mnie zły.

- Zły? - powtórzył kręcąc głową po czym wziął żonę za rękę i usiadł obok niej. - Czy nie zauważasz, Julio, że krępujące jest dla mnie obwieszczenie zagrażającego mi ojcostwa w obecności samych dam, oczywiście poza mną?

Hrabina roześmiała się i popatrzyła na niego z czułością.

Z czułością. A więc zaczęła żywić do niego cieplejsze uczucia? Klara doszła do wniosku, że nie powinno jej to dziwić. Czasami po ślubie budzą się uczucia, których przedtem nie było. A lord Beaconswood jest bardzo przystojnym mężczyzną - prawie tak przystojnym jak Freddie. Klara przypuszczała, że musi uwielbiać Julię.

Przy herbacie towarzystwo prowadziło lekką konwersację, głównie zdominowaną przez hrabinę, choć hrabia dbał o to, by poruszano różne tematy, i był na tyle uprzejmy, że wciągał do rozmowy Harriet, która zazwyczaj w takich sytuacjach starała się zostawać w cieniu.

- Panno Pope - zwrócił się do niej wstając po wypiciu herbaty - mam wrażenie, że przyjeżdżając tu widziałem od zachodniej strony domu cieplarnię. Czy jest tam wiele roślin? Zechciałaby pani może mi je pokazać?

Klara spojrzała na niego z zaskoczeniem. Harriet właśnie wstawała, natomiast hrabina wyglądała tak, jakby się w ogóle nie przejmowała, i cały czas uśmiechała się do Klary.

- To było z góry zaplanowane - przyznała się po ich wyjściu. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu, iż Harriet przez pewien czas zostanie bez przyzwoitki. Daniel i ja doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, jeśli porozmawiam z tobą na osobności.

Klara patrzyła na nią ostrożnie i wyczekująco.

- Wyjechałaś z Londynu następnego dnia po tym, jak z Kamillą złożyłyśmy ci wizytę - kontynuowała hrabina. - Być może oba te wydarzenia nie miały żadnego związku, a ty mi powiesz, żebym się w to nie wtrącała, jeśli tak było istotnie. A jeśli nawet nie, to też możesz mnie uznać za impertynentkę, wściubiającą nos w nie swoje sprawy. Daniel powiedział mi w zeszłym tygodniu, że twoje małżeństwo rzeczywiście nie jest moją sprawą. Ale ja mimo to wciąż czuję się odpowiedzialna za to, że zostałaś tu zesłana.

Jej twarz już w ogóle nie miała promiennego wyrazu; patrzyła Klarze w oczy szczerze i smutno.

- Zesłana? - powtórzyła ze zdumieniem Klara. - Freddie mnie tu nie zesłał, Julio. Przyjechałam na wieś z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Ale pod wpływem odruchowej decyzji. Przecież nie planowałaś tego, prawda? Bo z pewnością byś nam o tym powiedziała. Nie obiecywałaś, że złożysz wizytę mej teściowej za dzień lub dwa.

Klara ścisnęła dłonie na podołku i spuściła wzrok.

- Czasami działam impulsywnie - powiedziała. - Ale zachowałam się bezmyślnie, nie wysyłając wam wiadomości. Przepraszam, Julio. To było takie miłe z twojej strony, że mnie odwiedziłaś w mieście. Powinnam was zawiadomić podejmując decyzję o wyjeździe.

- Przypuszczam, że tak się stało na skutek tego, co powiedziałam, prawda? - Hrabina była wyraźnie zasmucona. - I z powodu mojej kłótni z Freddie'm przy drzwiach. Wrócił do salonu i pokłócił się z tobą, czy tak? I tak cię zasmucił i unieszczęśliwił, że wolałaś wyjechać. Jestem taka wścibska! Powinnam zostawić sprawy ich własnemu biegowi. Nie powinnam

była próbować wytłumaczyć pewnych spraw, których nie było potrzeby tłumaczyć. Należało to raczej zostawić Freddiemu, gdyby uznał to za konieczne.

- Julio, w niczym nie było twojej winy - zapewniła ją Klara. - I nic złego się nie stało. Sprawy wyglądają tak, że ja po prostu wolę mieszkać tutaj, a Freddie w mieście. Odwiedziłam go jedynie na kilka tygodni, po czym wróciłam na wieś. To wszystko.

- I wrócisz do miasta na ślub? - zapytała Julia. Klara zawahała się z odpowiedzią.

Hrabina zerwała się na równe nogi.

- Mam wrażenie, że strasznie to wszystko pogmatwa-łyśmy - powiedziała. - Chociaż rozmawiałam przed tym z Kamillą, a ona zawsze jest rozsądna, to jednak wszystko strasznie skomplikowałyśmy. Ty byłaś przekonana, że Freddie mnie kochał, prawda? I że dlatego mi się oświadczył.

- To nie ma znaczenia - odparła Klara. - Nie powinno mnie interesować nic, co wydarzyło się przed moim ślubem, Julio.

- Ach, ale to jest ważne! - Hrabinie łzy zakręciły się w oczach. - Bo gdyby mnie kochał, poprosił o rękę i dostał kosza, a potem wyjechał do Bath i poślubił ciebie, Klaro, to byłoby straszne! Straszne dla ciebie. Ale to wyglądało inaczej. On mnie nie kochał, był jedynie szarmancki. I ja go także nie kochałam. A może myślisz, że kochałam, ale wyszłam za Daniela, dlatego że jest bogaty? Poślubiłam Daniela, ponieważ go kocham. Bo go uwielbiam. Nigdy nie było nikogo innego i nigdy nie będzie.

Klara z uwagą przyglądała się swoim dłoniom. Nie chciała o nic pytać. Nie chciała nic więcej wiedzieć. Ale i tak zapytała.

- W takim razie co zaszło między tobą a Freddiem?

- Kłopotliwe nieporozumienie - odparła szybko hrabina.

- Nie. Ale zostawmy to tak, jak jest. Myślę, że nie chciałabym się dowiedzieć. Boję się dowiedzieć. Za tym, co mi powiedziałaś, kryje się o wiele więcej, prawda?

Hrabina z powrotem usiadła i przez chwilę milczała.

- Dlaczego tak nagle wyjechałaś? - zapytała. - Kamilla i ja specjalnie przyszłyśmy do ciebie po to, by ci wszystko ułatwić. Ponieważ jesteś naszą kuzynką. Ponieważ polubiłyśmy cię i chciałyśmy, byś została naszą przyjaciółką. Dlaczego wyjechałaś?

- Powiedziałam Freddiemu, że o wszystkim mi opowiedziałaś - odparła Klara. - Ale tak nie było. Wydaje mi się, że nie opowiedziałaś mi nawet ułamka tego, co naprawdę się zdarzyło. Ale wydaje mi się, że Freddie mi uwierzył.

Hrabina zamknęła oczy i pochyliła głowę.

- Nic się nie wydarzyło, Klaro. Nic, co miałoby jakie-kolwiek znaczenie. Och, ten

Freddie. Co za idiota! Mogłabym go zabić. Ty go kochasz, prawda?

- Tak.

- Podejrzewam, że sprawił, byś się w nim zakochała już w pięć minut po waszym spotkaniu - powiedziała gorzko hrabina. - W tych sprawach Freddie jest ekspertem. Mogłabym go zabić.

- Nie - zaprzeczyła Klara. - Nie byłam taką niewinną, głupią gąską, Julio. Nie musisz się obawiać, że mnie oszukał i namówił do małżeństwa, czyniąc mi miłosne wyznania. - Uśmiechnęła się słabo. - Choć muszę przyznać, że próbował. Jednak wyszłam za niego z własnych powodów. Dopiero później go pokochałam. Hrabina pochyliła się ku niej.

- W takim razie zapomnij o tym, co się wydarzyło w Primrose Park - powiedziała. - Cokolwiek to było, nie musisz o tym wiedzieć. Był to jedynie typowy dla Freddiego przejaw największej głupoty i nierozwagi, który ostatecznie okazał się nieszkodliwy i bez znaczenia. Za-pomnij o tym, Klaro, bądź szczęśliwa i ciesz się tym, co masz. Freddie nie jest złym, zdeprawowanym człowiekiem, możesz mi wierzyć. Bywa nawet na swój sposób kochany. Zawsze go kochałam, jako kuzyna i przyjaciela. Niemal jak brata. Zapomnij o tym wszystkim, Klaro, i wracaj do Londynu. Zostań członkiem rodziny, wszyscy tego gorąco pragniemy.

- To miło z waszej strony - odparła Klara z uśmiechem. - Ale myślę, że Freddie nie zdoła zapomnieć, Julio. Myślę, że jest nieszczęśliwy. Bo przecież cokolwiek zaszło, to jednak stało się to z jego winy, prawda? Uważam, że on nie potrafi sam sobie przebaczyć. A ja nie mogę przebaczyć i dać mu tak potrzebnego rozgrzeszenia. Nie mogę, bo ta sprawa mnie nie dotyczy.

Hrabina zamknęła oczy.

- Myślę, że tylko ty zdołasz to uczynić - dodała smutno Klara. Choć w głębi duszy poczuła także radość. Cokolwiek wtedy się stało, a musiało to być coś strasznego, to jednak nie to, o czym myślała. Mylnie odczytała wszystkie wskazówki. Julia go nie kochała. Kochała i kocha męża. I jeśli Julia ma rację, a wygląda na to, że jest absolutnie pewna, to Freddie także jej nie kochał. Nigdy nie kochał. Och, tak, ucieszyła ją ta wiadomość. Jeśli tak było, to cała reszta w ogóle nie ma znaczenia.

- Powiedziałam mu wtedy - odezwała się hrabina - po naszej wizycie u ciebie, że nigdy mu nie wybaczę. Nie chodziło o to, co mi uczynił. Po pewnym czasie uświadomiłam sobie bowiem, że to tylko pomogło mi i Danielowi zbliżyć się do siebie. Ale powiedziałam tak z powodu tego, co wkrótce po tym zrobił tobie. Powiedziałam mu też, że go nienawidzę. Ale to było kłamstwo, wielkie kłamstwo. Jak w ogóle można nienawidzić Freddiego?

- On mi nie zrobił nic złego - zapewniła ją Klara. - Ożenił się ze mną i dał mi zaznać trochę radości w życiu.

- I całej masy trosk - dodała hrabina.

- Tak.

- Och, ten Freddie - westchnęła hrabina. - Mogłabym go zabić.

Klara tylko się uśmiechnęła.

- Podejrzewam, że Daniel i Harriet do tej pory dokład-nie już obejrżeli wszystkie listki każdej rośliny w cieplarni - powiedziała hrabina. - Muszę zejść na dół i wyratować ich z opresji. A poza tym chyba już będziemy musieli ruszać w drogę. Gospoda, w której zamówiliśmy nocleg, jest o co najmniej pięć mil stąd.

- Ależ wy zostajecie tutaj! - zawołała Klara. - To przecież rozumiałe. Było to dla mnie tak oczywiste, że nawet nie pomyślałam o zaproponowaniu wam tego, gdy przyjechaliście. Wybacz mi, proszę.

- Ale nie chcielibyśmy się w żaden sposób narzucać.

- Narzucać się? - Klara roześmiała się w głos. - Ciągle mi powtarzasz, że jesteśmy rodziną. Niech więc tak będzie.

- Cudownie! - uradowała się hrabina, po czym wstała z sofy. - Ale tak czy inaczej, muszę iść im na ratunek. Zaraz wrócę. Czy to nie okropne uczucie, być tak przykutym do jednego miejsca? I czy nie zachowuję się grubiańsko, wspominając o twej niedomodze? Gdyby Daniel był tutaj, to zabiłby mnie wzrokiem.

Klara znowu się roześmiała, a Julia nie czekając na odpowiedź na żadne z pytań wybiegła z pokoju. Hrabina ze wszystkich sił starała się rozproszyć ponurą atmosferę i udało się jej tego dokonać. Pod pewnym względem Klara czuła się tak, jakby z jej ramion spadł ogromny ciężar. Sama jednak nie rozumiała, dlaczego tak zareagowała. Właściwie przecież nic się nie zmieniło.

Zupełnie nic.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Trzeci gość pojawił się cztery dni później. Harriet nie odwiedzało wielu gości, ale tym razem kamerdyner za-anonsował wizytę właśnie do niej.

- Lord Archibald Vinney do panny Pope, madame - zwrócił się do Klary stając w drzwiach jej prywatnej bawialni.

- Do mnie? - Harriet zerwała się na równe nogi z nietypowym dla niej pośpiechem. - Lord Archibald? Och, nie. To musi być jakaś pomyłka.

- Masz zamiar go przyjąć? - spytała Klara ze ściąg-niętymi ustami. - Jeśli nie chcesz, to go odeślę. Nie powinien się tu pojawić bez zaproszenia i nawet bez zapowiedzenia wizyty.

Harriet popatrzyła najpierw na Klarę, później na wy-czekującego kamerdynera.

- Przyjmę go - powiedziała w końcu. - Proszę mu z łaski swojej wskazać drogę do salonu, panie Bains.

Po co przyszedł? Gorączkowo rozmyślała o powodach wizyty lorda biegnąc do swojego pokoju, by przynajmniej przejrzeć się w lusterku, skoro nie było czasu na zmianę sukni. A zresztą i tak nie ma ładniejszej. Zabrakło jej także czasu na zmianę fryzury. Uszczypnęła się mocno w policzki, by nabrać rumieńców, i nagle wyprostowała się z zachmurzoną miną.

Co ona robi? Co ona robi?! Popada w histerię na wiadomość o wizycie lorda Archibalda Vinneya? Serce jej bije z powodu mężczyzny, który chciał z niej uczynić kochankę? Harriet wyprostowała ramiona, głęboko za-czerpnęła tchu i wyszła z pokoju.

Stał oparty o gzyms kominka, w którym buzował ogień, w pozie pełnej wystudiowanej niedbałości. Przypatrywał się jej z błyskiem rozbawienia w oku.

- Ach, panna Pope. Jak to miło, że uczyniła mi pani ten zaszczyt i przyjęła mą wizytę. Trochę się obawiałem, że zostanę stąd wyprowadzony za ucho.

Przyjechał do szanowanego domu, by złożyć jej wizytę. Przejechał całą tę drogę z Londynu tylko po to. Dlaczego? Bo trudno się spodziewać, że męskie intencje w tym względzie ulegają zmianie. Ale Harriet znowu poczuła przypływ bolesnej nadziei. I jak tu mówić o zdrowym rozsądku?

- Co mogę dla pana zrobić, milordzie? - Była dumna, że udało jej się postawić pytanie spokojnym głosem.

- Możesz tu podejść i dać mi buziaka, Harriet - odpowiedział. - Stęskniłem się za tobą.

Została na miejscu, w drzwiach, złączyła z przodu opuszczone ręce.

- Czy pomyślałaś choć trochę o mojej propozycji, moja mała ślicznotko? - zapytał.

Pomyślała, i to nie tylko trochę.

- Otrzymał pan już moją odpowiedź, milordzie.

- Która się nie zmieniła i jest niezmienna - powiedział. Wyprostował się i zrobił krok do przodu. - Nie będę ci proponował lepszych warunków materialnych, bo zdaję sobie sprawę, że niewiele dla ciebie znaczą, prawda? Ale jeśli zaoferuję ci najgłębsze zainteresowanie, Harriet?

Moją wierność i niepodzielne zainteresowanie, dopóki będziemy razem? Bylibyśmy świetną parą moja droga. Bardzo dobrą. W to nie wątpiła.

- Myślę jedynie o tobie, Harriet. Śniesz mi się. Budzę się z myślą o tobie.

Dobrze wiedziała, jak to jest.

- Harriet. - Łagodność jego głosu działała jak pieszczota. - Przyznaj przynajmniej, że czujesz pokusę.

Spojrzała na niego.

- Byłoby bardzo dziwne, gdybym nie czuła - odparła. - Oraz niewiarygodne. Ale to, co pan proponuje, jest grzeszne, milordzie.

- A mimo to czujesz pokusę. - Uśmiechnął się.

- W tym nie ma nic grzesznego. Dopiero w uleganiu jej. A ja nie ulegnę, milordzie.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Nie ulegniesz. Widzę to. Przeliczyłem się, prawda? No cóż, Harriet, możesz sobie poczytywać za honor, że okazałaś się moją jedyną wpadką. Ale też nigdy nie zdarzyło mi się wybierać sobie kochanki spośród cnotliwych kobiet.

Serce pękało jej z bólu, gdy przyglądała się swoim dłoniom. Zastanawiała się, czy powinna wyjść z salonu, czy też poczekać, aż on wyjdzie. Nie miała doświadczenia i nie wiedziała, jak należy postąpić w takiej sytuacji.

Lord Archibald podszedł bliżej, zatrzymał się tuż przed nią i uniosł ręką jej podbródek.

- Będziesz mogła opowiadać wnukom o łajdaku, który mógł cię zniszczyć - powiedział - i porównywać go bardzo niekorzystnie z ich porządnym i odpowiedzialnym dziadkiem. Ale być może powiesz im także, a może wyznasz to tylko przed sobą, że temu łajdakowi ofiarowałaś kawałek serca.

- Nie ofiarowałam... - zaczęła bardzo dumnie, ale jego usta nie dały jej dokończyć zdania. Tym razem fakt, że całował ją otwartymi, rozchylonymi wargami, nie zaszkodził jej



tak jak za pierwszym razem. Były ciepłe, wilgotne i pożądlive, tak samo jak jego język, wdzierający się głęboko w usta Harriet. A wtedy dostrzegła te srebrne oczy, które śmiały się do niej, ale ta radość była zduszona odrobiną smutku. Albo Harriet widziała jedynie to, co chciała zobaczyć.

- Masz moje przyzwolenie, by opowiedzieć im o tym, że on także ofiarował kawałek serca ich babci - rzekł. - Czy teraz mogę cię prosić, byś opuściła me sny, panno Harriet Pope?

Oby tylko on zechciał opuścić jej sny.

- A więc żegnaj - powiedział. - Ośmielam się przy-puszczać, że spotkamy się jeszcze, jeśli Freddie kiedyś postanowi z powrotem przywieźć panią Sullivan do miasta. Być może czas nadweręży twoją niezłomną opinię na temat grzechu. Ale nie dałbym za to głowy.

- Czas niczego nie zmieni, milordzie.

Przed oderwaniem ręki od jej policzka delikatnie prze-sunął kciukiem po wargach Harriet.

- Do widzenia, mała różyczko.

- Do widzenia, milordzie.

Zamknął za sobą drzwi tak cicho, że przez chwilę nawet nie wiedziała, że wyszedł. Nie poruszyła się. Jeśli powoli policzy do dwudziestu - nie, lepiej do stu - bardzo powoli, jego już tu nie będzie. Odjedzie z tego domu, będzie daleko na drodze, poza zasięgiem głosu. Jeśli zdołałaby wytrzymać tak długo, licząc bardzo wolno, wtedy być może udałoby się jej zwalczyć przemożną chęć pobiegnięcia za nim i zawołania go.

Ale jak miałyby zawołać? Nigdy przecież nie zwracała się do niego po imieniu, więc jak? A jak by go nazywała, gdyby została jego kochanką? Jeden, dwa, trzy - liczyła w duchu, poruszając nieznacznie wargami. Czuła w sobie dotyk jego ciała, od ramion aż po kolana. Rozgrzał ją jak ciepłe okrycie. Cztery, pięć, sześć. Gdy wsuwał język w jej usta, kolana się pod nią ugięły. Czy była to zaledwie próbka tego, co mężczyzna może zrobić z kochanką? Siedem, osiem. Kocha go. Ona go kocha! Dziewięć, dziesięć. Nie. Nie, nie, nie. Zakryła dłońmi twarz, energicznie kręcąc głową.

To już ostami moment. Już więcej go nie zobaczy. Nie powinna. Musi sobie uświadomić, że nigdy go już nie zobaczy. Nigdy jeszcze grzech nie wydawał się jej tak pociągający. Za każdym razem, gdy widziała lorda, coraz bardziej pociągający. Siła woli ma także swoje granice, a to stawało się wręcz nie do zniesienia. Musi mieć pewność, że już nigdy go nie zobaczy. Nie może już nigdy wrócić z Klarą do Londynu.

Widziała go ostatni raz. Ostatni raz w życiu.

Tygodnie upływające po odjeździe Klary do Ebury Court były okropne. Frederick w

pierwszym odruchu chciał jechać za nią i prosić o przebaczenie, którego tak rozpaczliwie potrzebował. Chciał spróbować jej wytłuma-czyć... ale co? Próbować jej wmówić, że chce zacząć nowe życie? Ale byłoby to tak banalne w jego ustach! Czy byłby do tego zdolny? I czy chce naprawdę poświęcić się wyłącznie Klarze? Zaczęło mu na niej coraz bardziej zależeć, zaczął ją bardziej doceniać. Ale czy czuł do niej coś więcej? Czy chce tego? Odczuwał lekkie strach na myśl o całkowitym oddaniu i podporządkowaniu się.

Postanowił, że jeszcze zaczeka. Oczyszczi swe życie z brudów, odmieni je i dopiero wtedy spróbuje zebrać na powrót zerwane nici tego małżeństwa. Koniec z piciem. To dość łatwe zadanie. Picie w zasadzie nigdy nie było poważnym problemem. Było to coś, czemu od czasu do czasu się poddawał, kiedy cała reszta źle się układała. Rzucił to w diabły. Kobiety także. Poza chwilową zmysłową rozkoszą z partnerkami, po ślubie nie odczuwał praktycznie żadnej innej przyjemności w zadawaniu się z ko-bietami. Czuł się po tym zawsze zbrukany, nieprzyjemnie pusty i zmęczony. Oraz winny. Na pewien czas zrezygnuje więc z kobiet całkowicie, a potem podejmie racjonalną decyzję bądź o normalnej kontynuacji małżeństwa - jeśli Klara zechce go przyjąć - bądź o utrzymywaniu stałej kochanki. Ale koniec z uprawianiem seksu na prawo i lewo.

Zostaje otwarta sprawa hazardu. Ta jest najtrudniejsza. Gra w karty jest tak przyjemną, uznawaną w towarzystwie zabawą, a robienie zakładów i gra o wysokie stawki dają wiele radości i rozrywki. Chociaż czasami wygląda na to, że wstępnie w niego demon hazardu. Wystarczy, że zaczyna grać, że zasiada do gry, a już nie może się od niej oderwać. Nie wie, kiedy przestać, kiedy skończyć przegrywać albo odejść z wygraną. W chwili gdy ogarnia go gorączka hazardu, nie umie racjonalnie ani ostrożnie myśleć. Jedynym wyjściem więc jest całkowite porzucenie tego nałogu.

Po wyjeździe żony poczuł się samotnie w pustym domu, gdy owa samotność przygniotła go wraz z poczuciem winy oraz wyrzutami sumienia. Zaczął odczuwać do siebie odrazę za to, co uczynił ze swoim życiem. Wszystko w ciągu jednego roku, a nawet mniej. Do wczesnej wiosny był szczęśliwym kawalerem, bez trosk pędzącym życie w mieście pośród kilkudziesięciu podobnych mu znajomych. Żył w ten sposób od lat i kochał to życie; miał zamiar żyć w ten sposób, dopóki nie nadejdzie czas - w dalekiej, nieokreślonej przyszłości - na ustatkowanie się, ożenek i założenie rodziny. Życie wydawało się nieskomplikowane i bardzo przyjemne.

A potem nagle, bez żadnego ostrzeżenia, znalazł się w matni, a im większe podejmował wysiłki, by się z niej wyzwolić, tym bardziej się pograżał. Kilkakrotnie z kło-potliwych sytuacji wyratował go ojciec. To było jeszcze bardziej kłopotliwe niż owe

sytuacje. A później umarł wuj i zaczęła się ta cała koszmarna sprawa z Jule. I paskudne oszustwo wobec Klary. I nagle jego nałogi, które jeszcze tak niedawno wyglądały na nieszkodliwe wybryki młodości - bo młody człowiek musi się przecież wyszumieć - zaczęły boleśnie dotykać innych ludzi. Krzywdzić ich. Jule. Klarę.

Jule po prostu uciekła od niego i jest szczęśliwa z Danem. Ale Klara jest do niego przykuta. Przypomniał sobie nagle, jak podczas tej okropnej przejażdżki po parku powiedział jej, że pewnie chciałaby się obudzić i stwierdzić, że te kilka minionych miesięcy było jedynie złym snem. Odpowiedziała twierdząco.

Klara. Zamknął oczy. Przez całe życie ojciec krzywdził ją swą samolubną, nadopiekuńcza miłością. A teraz czyni to jej mąż, który w dodatku nie może się usprawiedliwić miłością.

Klara.

Trzeciego dnia po wyjeździe żony nie mógł już dłużej znieść samotności. Kiedy jest sam, zbyt wiele myśli kłębi mu się w głowie. Musi przebywać wśród ludzi, potrzebuje ich towarzystwa. Najprościej było je znaleźć w jednym z klubów. Tam jednak czyha niebezpieczeństwo wciągnięcia się w grę. Wstając postanowił, że użyje całej siły woli, żeby się nie dać wciągnąć. Ale ani chwili dłużej nie wytrzyma siedzenia w domu.

Przez dwa dni nie wracał do domu w ogóle, a potem pojawił się tylko po to, by się wykapać, przespać i zmienić ubranie. Podczas następnych dni i tygodni często zapominał nawet o tym, pogrążając się w szaleńczej orgii pijaństwa, hazardu i odwiedzin we wszystkich porządnych burdelach, a nawet tych gorszych. Jego towarzysze byli raczej gronem luźnych znajomych niż przyjaciół; jego styl życia stał się tak gorączkowy i dziki, że nawet najbliżsi przyjaciele, nie wyłączając lorda Archibalda Vinneya, nie zdołali dotrzymać mu kroku.

Jednak szaleństwo nie przyniosło mu spokoju ducha. W różnych chwilach dopadały go myśli i wspomnienia, odzywało się sumienie, niezależnie od tego, czy się przed tym bronił, czy nie. Czasami przychodziło mu do głowy, że nie potrafił sobie poradzić nawet z prostym zobowiązaniem, choć przecież mógł, gdyby naprawdę chciał. Kiedy indziej przypominało mu się, że jest żonatym mężczyzną. Jego żona mieszkała na wsi, nie tak znowu daleko. Powinien do niej napisać. Powinien wydać jej instrukcje i polecenia, nakazać dbanie o zdrowie i zażywanie świeżego powietrza, gdy tylko pogoda pozwoli. Ale kimże on jest, by wydawać jej takie polecenia? Kim jest, by w ogóle dawać jej jakieś instrukcje? Z całą pewnością byłaby im posłuszna. Ale kim on jest, by wymagać posłuszeństwa?

Nienawidził spać, bo śnił o niej. Budził się sięgając po nią, a znajdował jedynie puste prześcieradło i łomocący w głowie ból lub, co gorsza, obce nagie ciało. Wynajmowane

dziwki poinstruował, że nie licząc się z niczym, za wszelką cenę nie mogą pozwolić mu zasnąć.

Stracił wszelką rachubę dni i tygodni. Gdy zapowiedziano mu wizytę hrabiostwa Beaconswood, nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od wyjazdu Klary. Odwiedzili go wczesnym popołudniem, gdy istniało największe prawdopodobieństwo zastania go w domu, zanurzonego w gorącej wodzie podczas kąpieli.

- Powiedz im, że nie ma mnie w domu - polecił kamerdynerowi, któremu lokaj otworzył drzwi. - Powiedz im, że dziś w ogóle mnie nie będzie. - Przesunął dłonią po kilkudniowym zarostie - sam już nie pamiętał, kiedy golił się po raz ostatni, i zamknął piekące z niewyspania oczy.

- Tak, sir - odpowiedział kamerdyner, a lokaj zaczął zamykać drzwi.

- Zaczekaj! - zawołał Frederick. Boże, już dawno temu powinien był odwiedzić ciotkę! Z pewnością niedługo zacznie się pojawiać reszta rodziny z powodu tego zbliżającego się przekłętego ślubu. Kiedy to właściwie ma być? Boże, ależ to zaniedbał! Tak jak zresztą wszystko. - Zaprowadź ich do salonu, jeśli zechcą poczekać pół godziny, zanim będę gotowy.

- Tak, sir - powtórzył kamerdyner.

Dziesięć minut później stał przed lustrem, jeszcze nie ubrany. Jakiż czarujący widok ujrzą goście w jego osobie. Włosy, które należało przystrzyc już ze dwa lub trzy tygodnie temu, oblicze tak blade, jak niegdyś u jego żony, oczy podkrążone i podbiegnięte krwią. Nawet po goleniu, do którego przystępował, ten obraz niewiele się poprawił. Wyglądał tak, jakby potrzebował przynajmniej tygodnia nieprzerwanego snu. Właściwie przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz.

Czasami, pomyślał gorzko przerywając tę raczej bolesną kontemplację swego wizerunku, obraz nie kłamie.

Wizyta owa nawet z daleka nie przypominała tych, na których swobodnie plotkuje się i rozmawia o pogodzie, ale właśnie od tego zaczął Frederick po przywitaniu gości z serdecznością, od której aż skrzyło go w środku, i momentalnie pożałował, że nie może zacząć powitania jeszcze raz od początku. Goście odpowiedzieli mu uprzejmie. Lordowskie moście zgodziły się z opinią, że istotnie, jest bardzo chłodno. Hrabina dodała jednak, że takie powietrze dodaje animuszu. Wspaniała pogoda na spacer.

- Freddie - zaczęła w końcu tonem wskazującym, że już nie może wytrzymać z wyjawieniem powodu ich wizyty, która nie miała podłoża towarzyskiego i nie była przypadkowa. - Freddie, już dłużej nie mogę tego wytrzymać. Powiedziałam to Danielowi, a

on zgodził się ze mną i zaproponował, że mnie tu przyprowadzi. Tak się nie robi. To jest po prostu nie do zniesienia.

Frederick, który najpierw posadził gości, po czym sam usiadł przed rozpoczęciem pogawędki o pogodzie, wstał i podszedł do okna.

- Myślę, Jule, że jesteśmy kwita - odpowiedział jej. - Wydawało mi się, że nic gorszego ponad to, co ci uczyniłem, nie można zrobić, ale okazało się, że można. Mogę zrozumieć twą żądzę zemsty, zgadzam się nawet, że zasłużyłem na większą karę, niż wówczas otrzymałem. Cios w szczękę od Dana trudno nazwać karą. Ale twoja zemsta powinna być wymierzona i skierowana na mnie, tylko na mnie. Nie na niewinną osobę, która więcej wycierpiała w życiu, niż ktokolwiek inny mógłby znieść. Powiedziałaś mi, Jule, że nigdy mi nie przebaczysz. Cóż, ja teraz mogę ci odpłacić tym samym. Nie mogę ci wybaczyć, że zraniłaś Klarę. Tak więc wyrównaliśmy rachunki, a teraz poproszę was, byście opuścili mój dom.

- Freddie! - To był głos starej Jule, oburzonej, wściekłej i gotowej do walki. - O czym ty mówisz, na litość boską?! Danielu, o czym on mówi? Ależ tak, już wiem. Klara mi to wyjaśniła przed paroma dniami w Ebury Court. Ty myślisz, że ja jej o wszystkim opowiedziałam, prawda? Boże, ty naprawdę uważałeś, że byłabym do czegoś takiego zdolna! Chyba postradałeś zmysły. Gdybym chciała się na tobie zemścić, przyszedłabym tutaj i trzasnęła cię w nos. Powinieneś pamiętać, że zawsze tak rozwiązywałam tego rodzaju sprawy.

Tak, złośliwość nie leżała w naturze Jule. O tym wcześ-niej nie pomyślał.

- Wyznała mi, że opowiedziałaś jej o wszystkim, co wydarzyło się w Primrose Park - stwierdził.

- Ona tak myśli - odparła zirytowanym tonem Julia. - Kamilla i ja wiedziałyśmy, że Klara wyczuwała napiętą atmosferę między nami, wtedy w teatrze. Polubiłyśmy ją i chciałyśmy się z nią zaprzyjaźnić. Wcale nie miałyśmy zamiaru jej zranić. Dlatego odwiedziłyśmy ją tutaj, żeby jej powiedzieć, że oświadczyłeś mi się w rycerskim geście, ponieważ myślałeś, że po śmierci dziadka zostaną bez środków do życia. Powiedziałyśmy jej też, że byłeś zakło-potany i skrępowany, gdy zamiast ciebie poślubiłam Da-niela, i dlatego pojechałeś do Bath, obawiając się mnie zobaczyć. To wszystko, co ona wie, Freddie.

Frederick pochylał się tak głęboko, że oparł się czołem o zimną szybę okna. Zamknął oczy.

- Częściowa prawda może być czasami gorsza od kłamstwa - zauważył hrabia. - Wolałbym, aby Kamilla i Julia najpierw omówiły to ze mną, Freddie, ale kiedy już coś się stało, nietrudno wyrokować, co powinno być powiedziane lub zrobione. Im się wydawało, że

postępują jak najlepiej, i z pewnością nie chciały doprowadzić do nieporozumienia między tobą a twoją żoną.

Klara. Wtedy w parku wylał na nią całą swą złość i obrzydzenie do siebie.

- Wiedziałam, że coś poszło nie tak, kiedy Klara wyjechała na wieś natychmiast po naszej wizycie - ciągnęła hrabina - mimo że obiecała odwiedzić mamę Daniela. Przed kilkoma dniami pojechaliśmy tam, żeby się z nią zobaczyć, Freddie.

Tysiące pytań kłębiły mu się w głowie. Jak ona się czuje? Czy jest szczęśliwa? Czy nieszczęśliwa? Cały czas miał zamknięte oczy.

- Klara sama doszła do wniosku, że nie wie o wszystkim - kontynuowała hrabina. - Jednak nie uzupełniliśmy tej opowieści i nic nie dodaliśmy, prócz ponownego za-pewnienia, że mnie nie kochałeś. Wiem, że to właśnie było jej największą troską. - Boże. O, dobry Boże, dlaczego oni sobie nie pójda?!

- Klara dobrze wygląda, Freddie - dodał cicho hrabia. To było przynajmniej coś. A więc nie zniszczył jej doszczętnie. A jednak nawet teraz wykazał przerażający egoizm, myśląc, że byłby w jakiś sposób usatysfakcjonowany, gdyby usłyszał, że jest chuda i blada oraz pogrą-żona w nieszczęściu.

- Freddie. - Hrabina dotknęła jego ramienia. - Przebacz mi, że stałam się przyczyną waszej sprzeczki.

Frederick roześmiał się gorzko, nie zmieniając pozycji i nie otwierając oczu.

- Ty przepraszasz mnie, Jule? - zapytał.

- Tak. I sama ci przebaczam. Myślę, że tego potrzebu-jesz, Freddie. Wszystko ci wybaczam. To chyba oczywiste. I tak byłeś za mało nikczemny, by zrealizować swój plan. Właśnie odwoziłeś mnie do domu, jeśli pamiętasz, gdy wpadł na nas Daniel z Kamillą i Malcolmem. Właściwie nic złego się nie stało, a ty na swój sposób stałeś się środkiem prowadzącym do połączenia mnie z Danielem, choć wcześniej czy później i tak by do tego doszło. Przebaczyłam ci natychmiast, gdy tylko ochłonęłam, i po-wiedziałam ci o tym, ty głupcze, gdybyś nie zniknął tak nagle i po kryjomu. Nie przypuszczałam, Freddie, że uciekasz, by nie stawić czoła konsekwencjom. Powiedzia-łam przed kilkoma tygodniami, że ci nie przebaczę, bo chodziło mi o to, że ożeniłeś się z Klarą. Ale w gruncie rzeczy to nie moja sprawa, jak Daniel nie omieszkał mi wytknąć.

Przełknął ślinę. Dwukrotnie. Boże, niech oni sobie wreszcie pójda! Chciał sam się oskarżać i upokorzyć, jeśli oni tego nie uczynią.

- To był jeszcze jeden zwariowany wybryk w Primrose Park - powiedziała hrabina. - Jeden z wielu, wprost niezliczonych przez te wszystkie lata. Zapomnijmy o tym, Freddie.

Zostańmy znowu przyjaciółmi. Och, ty głupi idioto, jak możemy się nie przyjaźnić, skoro całe życie byliśmy sobie najbliżsi?

- Myślę, że powinniśmy już pójść, Julio - odezwał się hrabia. - Przyjdziemy kiedy indziej, Freddie. Albo jeszcze lepiej, przyjdź zobaczyć mamę. Ona się zastanawia, co się właściwie dzieje. Przyjechała też ciotka Roberta z wujem Henrym i Stellą, by wesprzeć Malcolma przed zbliżającym się ślubem. Chodź, kochanie, idziemy.

Ale zanim zdążyła zrobić choć krok, Frederick gwałtownie oderwał się od okna i objął ją mocno, chowając twarz w jej włosach.

- Ty głupi idioto! - jęknęła; przyciskał ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać. - Och, Freddie, jesteś taki głupi. Mogłabym cię zabić.

- Mów dalej do mnie tak czule - powiedział niepewnym głosem - a Dan robi to za ciebie, Jule.

- Lepiej nie ściskaj mnie tak mocno - zaprotestowała. - Między nami spoczywa czteromiesięczne dziecko. Prawda, że jesteśmy sprytni, mój Daniel i ja? Czy to możliwe, że on się rumieni? Naprawdę? - Podniosła uśmiechnięte oblicze, by spojrzeć mu w twarz. - Lepiej byś nam pogratulował.

Frederick pocałował ją w czoło.

- Gratuluję, Jule. Zawsze wiedziałem, że jesteś mądrą dziewczynką. Moje gratulacje, Dan. - Popatrzył na stojącego obok kuzyna, który obserwował go z poważną miną.

Dan wyciągnął do niego rękę. Frederick przyjął ją i uścisnął mocno, drugą ręką wciąż obejmując Julię.

- Okropnie wyglądasz, Freddie - zauważyła Julia. - Kiedy spałeś ostatni raz? Podejrzewam, że byłeś...

- Ciii, kochanie - przerwał jej mąż. - Freddie, wycho-dzimy już. Odwiedź mamę, dobrze? I resztę rodziny. Ostatecznie to ja jestem teraz głową rodziny i nie życzę sobie żadnych zatargów. Przywieziesz Klarę na ślub?

- Zobaczę - odparł Frederick.

- Przywieź ją - poprosiła Julia. Roześmiała się i pocałowała go w policzek, po czym wzięła męża pod rękę. - Słyszałeś, co powiedział Daniel? To rozkaz. Kiedy przemawia do mnie w ten sposób, cała się trzęsę.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

- Tak jedynie gwoli jasności, Jule - powiedział Frederick, kiedy już wychodzili i odprowadzał ich do drzwi. - Ja ją kocham.

- Idiota - odparła uśmiechając się. - Nie musisz mi mówić. Od chwili gdy tu

przyszliśmy, mówiłeś to po tysiäckroć, choć nie słowami, Freddie.

O Boże, pomóż mi, pomyślał, gdy rozpacz opuściła go i odzyskał spokój ducha, otrzymawszy ich przebaczenie. Boże, dopomóż, te słowa są prawdziwe!



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Frederick dał sobie dwa dni na regenerację, potrzebną do odzyskania ludzkiego wyglądu, po czym wybrał się z wizytą do ciotki Sary, wicehrabiny Yorke, matki hrabiego. Odwiedził również rodziców Malcolma. Ciotka Sylwia i wujek Paul lada dzień mieli zjechać do miasta wraz z Gussiem i Wiolą, a rodzice Fredericka napisali, że wrócą do Londynu za tydzień i przywiozą ciotkę Millie. Cały klan zbierał się więc tak jak zwykle każdego lata w Primrose Park, odkąd Frederick sięgał pamięcią.

Rzecz jasna, że każdy, ale to każdy przejawiał wielkie zainteresowanie jego żoną i wszyscy pytali, kiedy będą mogli ją zobaczyć. Czyżbyś, ty huncwocie, czekał na ostatni moment z przywiezieniem jej na ślub? Tłumaczył, że żonie wygodniej mieszka się na wsi, ze względu na jej kalectwo. Frederick żywi nadzieję, że uda mu się namówić żonę na przyjazd do miasta, ale nie może mieć pewności. Żona jest trochę wstydliva i nieśmiała. Ostatnie kłamstwo zostało wypowiedziane w obecności lorda oraz hrabiny i tym większe odczuwał z tego powodu zakłopotanie i za-wstydzenie.

Frederick uświadomił sobie, że jeśli Klara nie pojawi się na ślubie, jego ojciec z pewnością będzie się domagał wyjaśnień. Kiedy myślał o tym, czuł znajome łomotanie i zamieranie serca. Ostatnio jego serce zamiera co chwilę, właściwie bez przerwy, aż dziw, że jeszcze w ogóle nie odmówiło mu posłuszeństwa. Ojciec znowu będzie z niego niezadowolony i rozczarowany. Frederick nie zdołał udowodnić, że stał się dorosły, że umie żyć jak człowiek, że potrafi być odpowiedzialny.

Zawiódł, zawiódł ich wszystkich. Ale to prawda, że teraz może już zapomnieć o epizodzie z Julie. Przekonał się, że przebaczenie czyni cuda, zdejmując ciężkie brzemie z sumienia. Ale całe to zajście okazało się w gruncie rzeczy mniejszym przewinieniem niż to, co uczynił Klarze. Zawiódł i zniszczył ich małżeństwo. Tragicznie zawiódł. Wyrządził krzywdę nie do naprawienia osobie, która ostatecznie okazała się kimś najważniejszym w jego życiu.

Właśnie to obezwładniające poczucie porażki zaprowa-dziło go pewnego wieczoru na prywatne przyjęcie, na którym, o czym bardzo dobrze wiedział, będzie się grało w karty o wysokie stawki. Pomyślał, że nie ma przecież sensu unikać gry, bo jeśli nawet tę opuści, to pójdzie następnego dnia lub dwa dni później. Nie ma po prostu dość silnej woli, by zmienić swoje życie. Ani żadnej motywacji, żadnego celu. Być może właśnie ten fakt był głównym powodem? Nic właściwie nie ma dla niego większego znaczenia.

Postanowił, że przynajmniej spróbuje nad sobą zapana-wać. Ograniczy przegrane; kiedy przegra określoną sumę, wróci do domu. Właściwie nie powinien sobie pozwolić na żadną stratę. Od czasu zawarcia małżeństwa przegrał pokaźną sumę i jeśli nie będzie ostrożny, bardzo ostrożny, to wkrótce znowu znajdzie się w niebezpiecznej sytuacji i będzie musiał błagać ojca albo Klarę - choć wolałby umrzeć niż to uczynić - lub stanie w obliczu więzienia dla dłużników.

W trakcie wieczoru pomyślał, że jest w tym spora doza ironii, iż nie wyznaczył sobie granicy wygranej, z którą mógłby się z czystym sumieniem udać do domu. Był to jeden z owych wspianiałych wieczorów, czuł to od samego początku. Nie mogło pójść źle. Nawet jeśli próbowałby przegrać, to by mu się nie udało. Albo przynajmniej takie miał wrażenie. Nie pił. Mógł się w pełni napawać swym triumfem.

Jak długo powinien grać? Śmiał się w duchu na myśl, że wygrał już chyba tyle, ile utracił od czasu ślubu z Klarą. A więc grać, póki szczęście się nie odwróci, co jest nieuchronne? Wiedział dobrze, że co łatwo przyszło, jeszcze łatwiej pójdzie. A mimo to przymus kontynuowania gry, gdy wygrywał, był tak samo silny jak zawsze, gdy przegrywał. Jeszcze jedno rozdanie, powtarzał sobie, aby zobaczyć, czy nadal ma szczęście. Jeśli nie, to przerwie grę. A gdy przegrywał, to czekał na jeszcze jedno rozdanie, by sprawdzić, czy los się odmieni. Gdy tak się działo, grał jeszcze raz. I tak w kółko. Za każdym razem koło się zamykało, wpadał w otchłań, która nieuchronnie wciągała go w wir.

Więść o jego nadzwyczajnym szczęściu obiegła pokoje graczy, co spowodowało, że Fredericka obstąpił milczący tłumek. Chciało mu się śmiać z poczucia triumfu, ale okazywanie jakichkolwiek uczuć przy stoliku karcianym należy do złego tonu. Siedział więc na pozór obojętny i niewzruszony. Wszyscy się zgromadzili, by być świadkami jego szczęścia w kartach.

I wtedy lord Archibald Vinney dotknął jego ramienia. Było to jedno, bezosobowe dotknięcie, bez słów, a mimo to informacja została przekazana. I z oczu Fredericka opadły łuski. Ten tłum nie zebrał się tu po to, by sekundować jego szczęściu. Czy tłum kiedykolwiek się zbiera dlatego, że chce być świadkiem cudzego szczęścia? Nie, zawsze jest odwrotnie. Nie byli tu z powodu dobrej passy Fredericka, ale po to, by oglądać nieszczęście Hancocka.

Sir Peter Hancock, przystojny i nierozważny młodzieniec, tracił właśnie swą umiarkowaną fortunę. Nie, nie miał przed sobą żadnych widoków na przyszłość. Przegrał już właśnie wszystkie pieniądze i stawiał teraz weksle, w nadziei na przyszłe wygrane. Następny kandydat do więzienia za długi. Jego ojciec zmarł przed dwoma laty, zostawiając go z matką i trzema siostrami, które musiał utrzymywać. Ta odpowiedzialność okazała się zbyt ciężka na

jego młode barki.

Frederick zerknął na stawkę przeciwnika, popatrzył w dół na swoje karty, nie do pobicia, postawił wszystko co miał, słysząc niemal westchnienie współczucia dla Hancocka, przyjrzał się krytym kartom przeciwnika i... złożył swoje koszulkami do góry, po czym wstał z wyrazem niesmaku i niezadowolenia.

- Wygrałeś, Hancock - powiedział ziewając na oczach zdumionych gapiów. Jego przeciwnik patrzył na niego z takim wyrazem twarzy, jakby mu właśnie zdjęto stryczek z szyi. - Spotkajmy się jeszcze na dole w hallu przed moim wyjściem, drogi kolego - zaproponował.

Gdy Frederick prowadził go do salonu na parterze, który odnalazł przypadkiem, otwierając po kolei wszystkie drzwi, sir Peter Hancock był niemal pijany ze szczęścia.

Weszli do dużego pokoju, w którym krzesła i fotele były poustawiane pod ścianami, a w środku było dużo wolnej przestrzeni.

- Ile kobiet masz na utrzymaniu, Hancock? - zapytał Frederick. Nie słyszał o zamążpójściu żadnej z sióstr.

- Cztery - odparł Hancock. - Matkę i trzy siostry.

- I tylko od ciebie zależy, czy nie będą całkowicie pozbawione środków do życia?

Hancock wzruszył ramionami.

- Miałeś pecha, Sullivan. Mam na myśli fakt, że całą wygraną postawiłeś na jedną kartę. Dla mnie, oczywiście, było to pomyślne.

Nie zdążył jeszcze dokończyć ostatniego słowa, gdy runął na podłogę i przez chwilę patrzył zamroczony w sufit, zanim uświadomił sobie, że powalił go cios Fredericka. Ten zaś pochylił się nad nim, złapał go za klapy surduta i postawił na nogi.

- Ty i ja, Hancock, jesteśmy z jednej gliny - wycedził przez zęby. - Być może zgniatając ci gębę na miazgę ukarzę sam siebie. Możliwe także, że ty dostaniesz nauczkę, ocierając sobie pięści na mnie. A więc nadstawiaj je teraz, bo na miły Bóg, kiedy walczę, to muszę mieć godnego przeciwnika!

Wściekły z upokorzenia Hancock momentalnie skoczył na niego z pięściami. Przez kilka długich minut zajadłe i wytrwale walczyli w milczeniu. W końcu Hancock po-nownie wylądował na podłodze. Nie stracił przytomności, ale był wyczerpany, pobity i pokonany. Gdy Frederick czekał nad nim z zaciśniętymi pięściami, aż się podniesie i znowu zacznie bronić, przeciwnik wyciągnął do niego rękę. Frederick pochylił się, złapał go i pomógł mu wstać.

- Całkiem dobrze ci to idzie - powiedział wygładzając ubranie, po czym dotknął

czubkami palców obrzmiałego policzka. - Dlaczego nigdy cię nie spotkałem u Jacksona, Hancock?

Sir Peter zaśmiał się ponuro.

- Dwa lata temu obiecałem matce, że nigdy nie wpłacę się w nic złego i niebezpiecznego - wyznał. - Biedna matka, nigdy nie wiedziała, jak łatwo składa się obietnice. Zawsze bardziej dbała o moje bezpieczeństwo niż o własne. Masz szczęście, Sullivan. Gdybym wytrwale ćwiczył, to ty byś teraz leżał na dywanie i widział wirujące gwiazdy. Powiedz mi, co naprawdę miałeś w ręku?

- Kompletne zero - odparł Frederick. - Blefowałem licząc na to, że ty jeszcze bardziej blefujesz. Idziesz w moją stronę?

Sir Peter kiwnął głową, poprawił ubranie i opuścił dom gospodarzy wraz z Frederickiem.

- Nazywam to diabłem, który we mnie siedzi - powiedział po drodze. - Na szczęście nigdy nie podnosił łba wobec przeciwnika o tak niesamowitym szczęściu. Zastanawiałem się, jak długo potrwa ta dobra passa.

- Skończyła się dość widowiskowo - zauważył Frederick. - Było lepiej, gdy trwała. Diabeł, mówisz? Owszem, trafne określenie. Można tylko mieć nadzieję, że zastąpi go jakiś anioł.

- Anioł w duszy. - Hancock roześmiał się. - Zapewne żeńskiego rodzaju?

Frederick pomyślał, że on wzgardził swoim aniołem, jednocześnie wyrządzając mu wielką krzywdę. I nie miał na tyle przyzwoitości ani odwagi, by popatrzeć jej w twarz i prosić o wybaczenie. Albo spróbować ją uwolnić. Anioły powinny mieć swobodę latania.

Harriet pojechała na konną przejażdżkę. Klara siedziała w bawialni przed kominkiem; nie czytała i nie wyszywała. Było to jedno z owych sennych popołudni, gdy nie chciało się jej nic robić, ale nie miała również ochoty dzwonić na służbę i kazać się zanieść do łóżka. Nieobecny spojrzeniem wpatrywała się w ogień buzujący w kominku, trzymając jedną rękę na brzuchu, jak to często ostatnio czyniła.

Odbyła sesję wyczerpujących ćwiczeń z Robinem, tak jak codziennie. Czowała, że nogi ma silne i umięśnione, choć było to zwodnicze wrażenie. Tego ranka Robin po raz drugi postawił ją na nogach, obejmując ją ciasno wokół talii, dzięki czemu wziął na siebie cały jej ciężar. Ostrzegł, że jeszcze za wcześnie, by sama próbowała tej sztuki. Może za tydzień lub dwa. Nie chciał, by upadła i przstraszyła się.

Niemniej, było to cudowne uczucie, wprost nie do opisanego. Stała wyprostowana! Czowała podłogę pod stopami, kostki i kolana podtrzymujące jej ciało. Fantastyczne wrażenie,

mimo świadomości, że wciąż jeszcze są bardzo słabe.

- Chciałabym zatańczyć na Boże Narodzenie, Robin - powiedziała. - Zatańczysz ze mną?

- Szkockiego skocznego, pani Sullivan? - zapytał. - Bo to jedyny taniec, jaki znam.

Oboje się roześmiali, choć Robin nie był skory do żartów czy śmiechu. Klara jednak podejrzewała, że uczenie jej chodzenia oraz obserwowanie, jak czyni pewne postępy, daje mu choć namiastkę poczucia sukcesu. Po-żegnanie się z marzeniami o karierze musiało być dla niego bardzo ciężkim przeżyciem. Nie ulega wątpliwości, że czekał na możliwość zwolnienia się u niej ze służby, która w najlepszym razie musiała być dla niego nudna.

Uśmiechnęła się. Nie powinna być taka zachłanna. Samo chodzenie będzie już cudowne. Możliwość przechodzenia z pokoju do pokoju, bez wzywania czyjejś pomocy. Możliwość wyjścia na taras. Możliwość pójścia do letniego domku. Ach! Letni domek. I będzie mogła jeździć konno po parku. Ale nie trzeba być zachłanną.

Nawet nie wiedziała, że usnęła, lecz po chwili ogarnęło ją nagłe wrażenie, że nie jest sama. Gdy powoli odwróciła głowę, zobaczyła, że w otwartych drzwiach stoi Freddie, oparty ramieniem o framugę. Nie miała pewności, czy śni, czy się obudziła. Podszedł do niej cicho, jak zawsze w snach. Zgięła palce dłoni, którą trzymała na brzuchu. Powoli uśmiech pojawiał się na jej ustach.

- Przyszedłem, by dać ci wolność - powiedział. Były to dziwne słowa, z gatunku tych, które często słyszy się w snach. Ale w tej chwili uświadomiła sobie, że wcale nie śni, a on naprawdę stoi w drzwiach. A więc wrócił do domu.

- Witaj, Freddie - powiedziała.

- Niestety, nie można tego uczynić w pełnym znaczeniu tego słowa - kontynuował. - Jesteś związana ze mną na całe życie. Ale zrobię co w mojej mocy. Zabiorę cię ze sobą do Londynu na ślub Kamilli i Malcolma. Poznasz moją rodzinę, wszystkich bez wyjątku. To serdeczni i mili ludzie, Klara, staną się także twoją rodziną. Przygarną cię i nigdy nie opuszczą. Nie będziesz już nigdy samotna. A po ślubie wyjadę do Ameryki albo może do Kanady i nigdy już nie będziesz musiała mnie oglądać.

- Nie możesz tego zrobić, Freddie - powiedziała wciąż uśmiechając się do niego, choć w jej oczach krył się cień smutku. - Będę miała dziecko. Oboje będziemy cię po-trzebowali.

Jeśli kiedykolwiek wyobrażała sobie, w jaki sposób oznajmi mu tę nowinę, to nigdy nie był on tak suchy i rzeczowy. Obserwowała męża wciąż trzymając głowę opartą o fotel. Nie poruszył się. Ale zagryzał wargę, a do oczu napłynęły mu łzy. Nagle podniósł głowę i patrząc w sufit głośno zaszlochał.

- O mój Boże, Klaro, cóż ja ci uczyniłem! Wybacz mi. Tak bardzo tego żałuję!

- Czego? - spytała cicho ze ściśniętym z bólu i współ-czucia sercem. - Że będę miała twoje dziecko? Będę je nosić i dam mu życie. Będę trzymać przy piersi mojego syna lub córkę. Jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się to absolutnie niemożliwe, a teraz jest faktem. Dałeś mi radość, Freddie. Nie żałuj.

- Jakże ja mogę być ojcem dla tego dziecka? - zapytał. - Nie mam mu nic do zaoferowania. Nie ma we mnie nic, z czego mogłoby brać przykład. Będzie lepiej, Klaro, jeśli zniknę. Jeśli wyjadę, jak zaplanowałem.

- Freddie! - Wyciągnęła ku niemu rękę, choć nie spodziewała się, że ją przyjmie. - Opowiedz mi o swoim cierpieniu. Kiedy poznałam cię w Bath, byłeś pełen życia i radości, ale także miałeś diabła za skórą. Nie wyczuwałam w tobie jednak nienawiści do samego siebie. To rozwinęło się później. Opowiedz mi, co się zdarzyło w Primrose Park.

Roześmiał się gorzko i założył rękę.

- Dlaczego nie? Równie dobrze możesz poznać całą prawdę. Kiedy ją poznasz, sama mnie wyślesz do Ameryki, Klaro. Mój wuj zapisał w testamencie Primrose Park temu ze swych pięciu bratanków, któremu uda się zdobyć rękę Julii. A Primrose Park to bardzo dochodowy majątek.

- Ach - szepnęła cicho.

- Aby ją zdobyć, użyłem wszystkich swoich sztuczek i wdzięków - kontynuował. - Ale, rzecz jasna, Julia mnie za dobrze znała, a poza tym zakochiwała się właśnie w Danie, choć nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy. A on w niej. Kiedy w końcu zrozumiałem, że Julia za mnie nie wyjdzie, uprowadziłem ją.

Klára patrzyła na niego, w milczeniu czekając na koniec tej opowieści.

- Chciałem ją zabrać do Gloucester, podstępnie zwa-biwszy do mego powozu, w którym byłem sam. Myślałem, że spędzenie dnia poza domem popsuje jej reputację na tyle, że uzyskam jej zgodę, ale Julia to uparta dziewczyna. Mój ostateczny plan zakładał więc przetrzymanie jej przez noc poza domem, co już nie dałoby jej wyboru. Chociaż Julie i tale miałyby wtedy jeszcze jakiś wybór. Pozostawało mi już jedynie dokonanie wyboru.

Klára głęboko zaczerpnęła tchu.

- Czy Daniel zdążył was przyłapać w samą porę?

- Tylko dlatego, że byliśmy w drodze powrotnej do domu - powiedział Frederick. - Bo jednak nie mogłem tego zrobić. Łajdak bez kręgosłupa.

- Niedoszły łajdak z sercem i sumieniem – poprawiła go Klára.

Frederick znowu się roześmiał.

- Gdybyś nie miał sumienia, Freddie, to byś nie cierpiał.

- Tak więc uciekłem do Bath, nie skażony, czysty jak łąka wyszukałem tam bogate niezamężne kobiety, skoncentrowałem się na tobie i przypuściłem zdeterminowany szturm do twego serca, ponowi wykorzystując cały swój urok, Klaro. Istotnie, człowiek obdarzony sercem i sumieniem.

- Ale ty mnie nie oszukałeś, Freddie, już wcześniej ci to powiedziałam. Wysłałam za ciebie z własnej woli bo sama tego chciałam. Podobnie jak ty, nie wzięłam ślubu z miłości - powiedziała. - Nie kochałam cię, Freddie, kiedy wychodziłam za ciebie.

- o nie ma znaczenia. I tak wkrótce po tym odkryłabyś pomyłkę.

- Miłość narodziła się później - tłumaczyła Klara. - Podczas tego tygodnia, który tu spędziliśmy wspólnie, i myślę, że potem rosła z każdym dniem. Jesteś o wiele bardziej wart miłości, niż ci się wydaje. - Mówiono mi, że jestem przystojny - powiedział - Lusterko mówi mi, że wiara w to, co mi powtarzano, nie jest z mej strony zarozumiałością. Zostałaś więc oszukana wyglądem, Klaro. Kochasz przystojne zero.

- Podczas tego tygodnia byłeś dla mnie niezwykle dobry. Był to niewątpliwie najcudowniejszy tydzień mojego życia. I gdyby nic już potem mu nie dorównywało, to dla tego tygodnia warto było żyć. Zrozumiałam, że wreszcie wiem, czym jest szczęście. Wiem Freddie że udawałeś miłość, której nie czułeś, ale ty żyłeś wtedy tą udawaną miłością. Byłeś cały czas ze mną. Dałeś mi zaznać cudownej przyjemności, jaką była jazda konna, i podarowałeś mi owo wspaniałe popołudnie w letnim domku. Cały czas rozmawiałeś ze mną i uśmiechałeś się do mnie. Przy tobie czułam się niemal piękna. I kochałeś się ze mną. Nie potrafię opisać, jakie to było cudowne, że poznałam smak miłości po tylu pustych latach.

- Klaro - przerwał jej - nie rób ze mnie świętego. Porzuciłem cię. I kiedy ty tu zostałaś, ja wiodłem w mieście koszmarnie rozpustne życie.

- Ale pisałeś do mnie listy - zaproponowała - bo chciałeś, bym była zdrowa. Poszedłeś też do doktora Grahama i zabrałeś mnie do miasta, by mógł mnie zbadać. Chciałeś dać mi szansę całkowitego powrotu do zdrowia, chciałeś, bym znów mogła chodzić. Bez ciebie, Freddie, nigdy bym się nie dowiedziała, że to w ogóle jest możliwe. Nie pozwolę ci myśleć, że niszczyłeś mi życie, skoro prawda jest dokładnie odwrotna. Byłeś dla mnie wszystkim, co najpiękniejsze i najlepsze. A co najważniejsze, sprawiłeś, że poznałam smak miłości. Nie tylko fizycznej, ale prawdziwej miłości. I co najlepsze ze wszystkiego, natchnąłeś mnie życiem. Sprawiałeś, że poczułam się w pełni i pod każdym względem kobietą.

Stał milcząc, nadal oparty o framugę; oczy mu się szklily. Nie udało jej się do niego dotrzeć.

- Wiem, że jestem tylko żalostną istotą - powiedziała - ale ty mi dałeś szczęście, Freddie. Nie uważaj się za kompletnego łajdaka i wykolejeńca.

- Żalostną istotą! - zawołał. - Klaro, jesteś jedyną piękną częścią mojego życia. W moich oczach stałaś się piękna. Gdyby ciebie nie było, to myślę, że do tej pory mógłbym się targnąć na swoje życie.

Jej także łzy napłynęły do oczu.

- Och, Freddie. - Westchnęła. - Kocham cię. Potrzebuję cię.

- Nie wygląda na to, że się zmienię. Nie wydaje mi się, że mógłbym tego dokonać samą siłą woli, Klaro. Szukałem możliwości zagrania w karty z jakimś chorobliwym lękiem. Ganiałem za innymi kobietami, chociaż jedyną, której pragnę, jest moja żona. Jakże mogę ci zaofiarować siebie? Jak mogę się zobowiązać, że będę dobrym mężem?

- Ale czy chcesz tego, Freddie?

- Tak - odparł.

- Dlaczego? - Zamrugła, by usunąć łzy z oczu.

- Bo cię kocham - odparł.

- W takim razie pozwól, że coś ci powiem. Coś, co właściwie wcale nie jest ważne, ale wydaje mi się, że powinieneś to usłyszeć. Freddie, jeśli kiedykolwiek postąpiłeś ze mną źle, to uważam, że zrobiłeś to oszukując mnie na samym początku oraz zdradzając mnie bezustannie. Owszem, skrzywdziłeś mnie. Aleja ci przebaczam. I zawsze będę ci wybaczać, jeśli mnie znowu skrzywdzisz. Dlatego, że cię kocham i wiem, że zawsze będziesz żałować, gdy zbłądzisz. Nie możesz się już dłużej karać. Karząc siebie, mnie również karzesz.

- Czy cokolwiek osiągnę próbując, próbując i znowu próbując? Poddawać się i znowu próbować? I tak w kółko? - zapytał.

- Wydaje mi się, Freddie, że nie ma łatwiejszej drogi - odparła. - Jedynie poprzez codzienny wysiłek. Chcę ci pokazać, że to skutkuje. Obiecasz mi, że się nie poruszysz?

Oparła ręce na podłokietnikach fotela i mocno je zacisnęła. Ustawiła lekko rozchylone stopy na podłodze i przesunęła się bliżej brzegu fotela. Obserwowała podłogę przed sobą i mocno się koncentrowała. Starła się zapomnieć o tym, że oprócz niej ktoś jeszcze jest w pokoju. Próbowwała zapomnieć, że tak bardzo ważny jest teraz fakt, żeby się jej udało. Odepchnęła od siebie ostrzeżenia Robina. Uniosła się odrobinę do przodu, cały ciężar ciała opierając na rękach. A potem, gdy ręce miała już maksymalnie wyciągnięte, musiała zmusić do pracy mięśnie nóg.

I wreszcie stanęła. Prosto i spokojnie, nawet się nie chwiała. Odwróciła głowę, bardzo powoli, żeby nie stracić równowagi, i promiennie uśmiechnęła się do Fredericka.



- Nie mogę jeszcze chodzić. Właściwie nie powinnam nawet jeszcze stać. Robin byłby bardzo rozgniewany, gdyby się dowiedział. I w dodatku nie mam pojęcia, w jaki sposób mam z powrotem usiąść. Freddie, proszę, podejdź teraz do mnie. Jesteś mi potrzebny.

Po raz pierwszy od chwili gdy się obudziła, Freddie się poruszył. Lotem błyskawicy przemierzył pokój i chwycił ją w objęcia, zanim jeszcze skończyła mówić. Ścisnął ją tak mocno, że nie musiała się już podpierać.

- Och, kochana moja - szeptał jej we włosy. - Kocha-na, kochana, kochana!

- To wszystko dzięki tobie - powiedziała ze śmiechem. - To, że sama stoję, Freddie. I to, że jestem brzemienna. I kochana. Szczęśliwa. To wszystko dzięki tobie. Powiedz to jeszcze raz. Proszę, powtórz to.

- Że cię kocham? - zapytał.

- Tak, proszę cię, powtórz. - Odchyliła głowę, by spojrzeć w jego ciemne oczy.

- Kocham cię. Czy te słowa cię uszczęśliwiają, Klaro? Czy tak łatwo kogoś uszczęśliwić?

- Powiedz mi, że jesteś szczęśliwy z powodu dziecka - poprosiła. Zarzuciła mu rękę na szyję i przytuliła ze wszystkich sił. - Tak strasznie chcę ci dać syna. Albo córkę. Zdrowe dziecko, Freddie. Powiedz mi, że jesteś szczęśliwy.

- Na samą myśl uginają mi się kolana. Tak łatwo robi się dziecko, prawda?

- I całkiem przyjemnie - dodała ze śmiechem. Była niemal pijana ze szczęścia. - Nie możesz mieć miękkich kolan, Freddie, bo to jedyna jak dotąd stabilna para kolan, jaką mamy.

- Jesteś wyższa, niż myślałem. - Uniósł ją, po czym usiadł na sofie i posadził ją sobie na kolanach. - Klaro, kochana moja, tak bardzo chciałbym ofiarować swe życie i oddanie tobie i naszemu dziecku. Naszym dzieciom. Ale skąd mogę mieć pewność, że znowu nie ulegnę starym nałogom?

- Nie możesz mieć pewności, Freddie. Ani ja nie mogę przysiąc, że zawsze będę dla ciebie kochającą i dobrą żoną. Myślę, że nie zasługivalibyśmy na szczęście, gdybyśmy nie musieli stale nad nim pracować. Za każdym razem, gdy rozdzieli nas sprzeczka lub cokolwiek innego, zawsze potem będzie radość godzenia się i kojące działanie przebaczenia. Ale nigdy nie pozwolę ci na to, byś czuł się nic niewart. Jesteś dla mnie najwartościowszym skarbem na całym świecie.

Kiedy przytulił głowę Klary do swego ramienia i cicho westchnął, poczuła w końcu, że odzyskał spokój i zado-wolenie.

- A poza tym - dodała - chcę zatańczyć na Gwiazdkę i muszę to zrobić z tobą, Freddie, bo Robin przyznał się, że umie tańczyć tylko szkockiego skocznego. Nie sądzę, bym była na

ten taniec przygotowana, przynajmniej nie do tych świąt.

Roześmiali się, a potem całowali, długo, czule i namięt-nie.

- Chcę także jeździć z tobą konno - powiedziała. - Z tobą i obok ciebie, gdy już nabiorę więcej odwagi. I chcę leżeć z tobą na trawie koło letniego domku, gdy nadejdzie wiosna, w powodzi krokusów i przebiśniegów. Do tej pory będę już ogromna. Och, Freddie, o tak wielu sprawach marzyłam w samotności przez kilka ostatnich miesięcy.

- Możesz teraz marzyć przy mnie głośno, ukochana - zapewnił ją. - A twoje marzenia staną się także moimi.

- Chcę spędzać z tobą i obok ciebie całe i wszystkie noce.

- Uhm.

- Chcę, żebyś był tu ze mną w domu, gdy nadejdzie rozwiązanie i urodzę nasze dziecko. I chcę, byś natychmiast po tym wziął go w ramiona. Chcę widzieć twoje oczy, gdy ujrzysz go po raz pierwszy.

- Albo ją - powiedział.

- Albo ją. Chcę pojechać z tobą do Londynu i poznać twoją rodzinę. Chcę pojechać na ślub Kamilli. Chcę pojechać do Primrose Park i obejrzeć wszystkie miejsca, w których bawiłeś się jako dziecko. Chcę także, by nasze dzieci czasami się tam bawiły. Z dziećmi Daniela i Julii oraz Kamilli i Malcolma.

- Klaro, mam mokrą szyję. Czy ja się mylę, czy ty płaczesz?

- Tak, Freddie, płaczę. Przez cały ten czas tłumiłam w sobie wszystkie te marzenia. Teraz znalazły wreszcie ujście.

- Głupia gaska - powiedział czule.

Ale gdy uniosła głowę, by spojrzeć na niego, w jego oczach także dostrzegła łzy.

- Para głupich gęsi - poprawiła go. - Pocałuj mnie jeszcze raz, proszę cię, Freddie. Ale najpierw powiedz to jeszcze raz.

- Kocham cię, głupia gasko - powiedział. - I obiecuję ci, że w święta Bożego Narodzenia będziemy tańczyć. Tańczyć i tańczyć, bez przerwy.

Znowu ją pocałował.